



ADOLF DYGASIŃSKI.

NOWELE

TOM II.

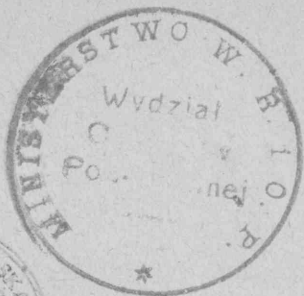
WARSZAWA
NAKLAD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT”.

ADOLF DYGASIŃSKI

NOWELE



WARSZAWA.
NAKŁAD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO „ŚWIAT”.
1914.



AUTOBIOGRAFIA OSŁA.

42
204
19/45

Urodziłem się w dworskiej stajni, gdzie rodzice moi mieli własną przegrodę, oddzieloną od koni. Pierwsze chwile życia upłynęły mi w szczęściu; dobra matka nie skąpiła pieczy: często lizała mnie językiem, podawała wymię do ssania, mówiąc: „Pociecho ty moja, kochanku jedynaku!”

Kiedym po raz pierwszy żwawo sobie bryknął obok rodzicielki, spojrzała na mnie z czułością i rzekła do ojca:

— Patrz-no, stary, co to za rozkoszne dziecko!

Wtedy ojciec odwrócił ku mnie głowę, uśmiechnął się z przymusem i rzekł krótko:

— Głupi, to i wesoły!

A matka mu zaraz na to:

— Mógłbyś przynajmniej wobec syna ukryć swoją gorycz... Powinniśmy przecie dobrze wychować dziecko i nie zniechęcać go odrazu do życia.

— Niech się nauczy prawdy, niech wie, że jest tylko osłem, zwierzęciem pogardzanem i prześladowanem — odparł stary.

Mnie jednak bardzo dobrze było na świecie, nie wyobrażałem sobie nawet, żeby gdzieś mogła istnieć jakaś ustrona przyjemniejsza od naszej ciemnej stajni i od dziedzińca, zasłanego kupami nawozu. Jedno mię tyl-

ko trapiło: oto z wymienia matki codziennie rano zabierano mleko dla jakiejś kobiety chorej na suchoty, przeto ja głód cierpiełem.

— Poszukaj sobie paszy w mierzwie — mawiała matka ze zwykłą sobie tkliwością — bo widzisz, mój synu, nie mam cię czem nakarmić.

Wydobywałem więc z pod stóp rodziców różne źdźbła słomy i taką marną strawą zaspakajałem uczucie głodu. Ale kiedy podszedł do ojca z przodu, chwycił mnie zębami za ucho, a gdym się zbliżył od tyłu, dostałem w głowę kopytem. Matka zwróciła się do starego z wymówkami, nazywając takie postępowanie barbarzyńskim; on zaś rzekł:

— Uczę go tego, co dla osła najpotrzebniejsze: kąsać i wierzgać.

Za taką naukę nie czułem dla ojca żadnej wdzięczności.

Raz w zimie zaprzężono moich rodziców do wózka, na którym przewożono ze stodoły do stajni siano dla cieląt i źrebiąt. Po drodze koła wozu ugrzęzły w zaspie śniegu; mój ojciec się uparł i ciągnąć nie chciał, wtedy dopadł do niego fernal i począł starego okrutnie smagać biczem. Naraz mój życiodawca wierzgnął i fernal upadł na ziemię, dotkliwie ugodzony kopytem. Byłem z tego bardzo zadowolony, że mam zucha ojca, więc zacząłem podskakiwać, a matka rzecze:

— Nie ciesz się, mój mały, bo twój ojciec wkrótce odbierze okrutną karę za upór, nieposłuszeństwo i krnąbrność.

Zaledwie to wymówiła, a już dwóch fernali poczęło zawzięcie okładać starego; jeszcze parę razy wierzgnął, lecz potem ciężko westchnął i pociągnął wózek z sianem. Innym razem, podczas takiej samej wyprawy po siano, pozwoliłem sobie w stodole wziąć w usta kłak koniczyny; ale natychmiast przyskoczył

do mnie karbowy, uderzył mnie pięścią w gębę, wołając: — Jeszcze czego!... Tego tylko brakuje, żeby osły jadły koniczynę!

Cios był dotkliwy, i odtąd pamiętam sobie dobrze, iż jestem zwierzęciem, któremu niewolno jeść koniczyny, chociaż ją jadały cielęta i źrebięta. Wiele przykrości sprawiały mi obelgi, jakie miotano na naszą rodzinę; każdy bowiem wymawiał wyraz osieł z takim przekąsem i z taką złością, jakgdyby urodzić się osłem stanowiło hańbę ostatniego stopnia. Kiedy się ludzie pomiędzy sobą znieważali, jeden drugiemu wymyślał wtedy od osłów. Zapytałem więc raz matki:

— Dlaczego ani koń, ani krowa, pies, kura, kaczka i żadne inne stworzenie nie jest w takiej pogardzie, jak my, osły?

— Jesteśmy bowiem najnieszcześliwsze ze wszystkich zwierząt — odpowiedziała mi matka.

Było to na początku lata. Jednego pogodnego dnia rodzice moi wozili beczkę z wodą do polewania kwiatów w ogrodzie. Pod wieczór wyprężono ich i pozwolono im skubać trawę; wszyscy troje zachwycaliśmy się przyjemnym chłodem, pogodnym niebem, swobodą i dostatkiem pożywienia. Rzadko kiedy osłom tak dobrze jest na świecie, jak było nam onego wieczora. Mój ojciec, zwykle ponury, milczący i opryskliwy, naraz zaczął podskakiwać i śpiewać nadzwyczajnie głośno: „I-a, i-a, i-a!“ Przyznam się, że mię to postępowanie ojca mocno zdziwiło; nie wyobrażałem sobie bowiem, aby stary był zdolny do takich wybryków. W niejakej odległości pan dziedzic i pani dziedziczka siedzieli pod drzewem na ławeczce, uśmiechali się do siebie, słyhać było ich szepty, a nawet widziałem wyraźnie, że się całowali. Spłoszyły ich krzyki mojego ojca, powstali i poszli w głąb ogrodu. Pies, który niedaleko od nas leżał na murawie i zasypiał, porwał się także z przestachem, odskoczył na bok o kilkanaście

kroków i zaczął wyć przeraźliwie; inne psy pozbiegały się do niego, i wszystkie dopiero jęły wyć i szczekać. Pomyślałem sobie teraz w duszy: „Dziwne to rzeczy! Pogardzają nami, kiedy pracujemy o głodzie, a przerażają się kiedy nam weselej zaczyna być na duchu“. Tych myśli chciałem udzielić swojej rodzicielskiej parze, zbudziło się bowiem we mnie poczucie, że jestem osłem. Ale ojciec popatrzył na mnie dziwnie, następnie odwrócił się tyłem i kopnął mię bardzo boleśnie w biodro.

— Spodłone bydlę! — rzekł z lekceważeniem — już i osłego ryku wydać z siebie nie potrafisz... Pogardzam takim synem, który się w filozofię bawi, zamiast naśladować ojca.

— Złość mię zdjęła i, jakkolwiek żywiłem uszanowanie dla starego, miałem wielką ochotę oddać policzkiem za policzek. Ale przeniosłem i to na siebie. Oczekiwało mię coś gorszego jeszcze. Prawie w pół roku jakoś po swoich urodzinach podchodzi raz w najlepszej wierze do matki, ażeby posać ciepłego mleka; pierwszy raz w życiu doznałem odmowy z jej strony. Uparłem się i począłem nalegać; wtedy otrzymałem energiczny cios, wymierzony macierzyńskim kopytem między oczy. Dostałem ogromnego zawrotu głowy, a kiedy przyszedłem do siebie, uczułem, że życie jest dosyć przykre i moja rodzicielska para osłów niewarta szacunku. Potem ojciec przez jakiś czas na krok nie odstępował matki, składał jej nieustanne dowody czułości, mnie zaś zupełnie zaniedbano i pozostawiono samemu sobie.

Dużo czasu spędzałem na rozmyślaniach, że istotnie słusznie świat pogardza osłami; zdawało mi się, iż w porównaniu ze swym ojcem jestem mniej uparty, mniej głupi, a dzięki temu bliższy raczej koniom, niż osłom. Do rodzicielskiego żłobu miałem bardzo trudny dostęp; musiałem słuchać ciągle morałów, wy mówek i rodzinne niesnaski co chwila wybuchały w na-

szej osłej stajence. Ojciec naprawdę zaczął we mnie podejrzewać brak krwi rodowej; karmił mnie surowo i wypędzał z domu, a matka, jakby nie matka, wcale się za mną już nie ujmowała. Morzony głodem, bez ożywczego ciepła rodzinnego, wyrastałem na żrebaka samotnie prawie.

— I co mnie z nimi wiąże? — myślałem sobie. — Dlaczego koniecznie mam być osłem?

Kilkakrotnie usiłowałem wejść w stosunki z młodemi końmi i przekonałem się, że obyczaje tej rodziny są o wiele szlachetniejsze, aniżeli postępowanie moich rodziców. Teraz ideałem moich marzeń było zostać wierzchowcem w przyszłości. Wypadek, jakkolwiek przykry dla mnie osobiście, pomógł mi urzeczywistnić owe marzenia. Będąc bowiem głodnym, wlałem raz przez otwartą furtkę do ogrodu i wszedłem w klomb pięknych kwiatów, gardząc ostami oraz lichym chwastem, stanowiącym przysmak dla moich rodziców. Pamiętam dobrze: objadłem się najpiękniejszych georginii i astrów; ale kiedy mię spostrzegł ogrodnik, dopadł z grabiami i bił dopóty, póki się grabie nie złamały, a swoją drogą nieustannie wymyślał mi od osłów. Kopnąłem go za to potężnie i począłem pędzić cwałem takim, jaki znamionuje konie wierzchowe; przytem zadarłem do góry ogon i parskalem po końsku, a nozdrza rozszerzyłem, o ile się tylko dało.

Biegając tak pięknie, spotkałem na drodze towarzystwo: dziedzic, dziedziczka, syn ich i dwie córki używali przechadzki w alei. Stałem, nastawiłem uszy, aby zwrócić na siebie uwagę państwa. Pierwszy chłopiec zbliżył się ku mnie, obejrzał mnie od stóp do głowy, a potem przemówił do ojca:

— Tatku, подарuj mi tego konika, będę na nim jeździł.

— Przecież jeden człowiek poznał się na mnie! — rzekłem sam do siebie.

Ale pan dziedzic czempredzej odparł:

— To nie koń, to osieł! Powinieneś to sobie zapamiętać, mój chłopcze, żeby nie być podobnym do osła, gdyż zwierzę to odznacza się głupotą, lenistwem i uporem.

Chłopiec się zamyślił trochę, a potem znowu nalegał na ojca:

— Niech mi go ojciec podaruje tylko!... Już ja uważam, że to w sam raz dla mnie wierzchowiec.

— Jeżeli nauczyciel poświadczy w końcu tygodnia, że ani razu nie byłeś osłem, w takim razie uczynię zadosyć twemu żądaniu.

Pani dziedziczka zrobiła uwagę, że siedmioletni chłopczyk powinien mieć swego kuca, nie osła; ale chłopiec się uparł i prosił, abym ja koniecznie został jego wierzchowcem. Był zaś ten mały panicz tak wytrwały w uporze, iż w tym tygodniu wyjątkowo zyskał pochwałę nauczyciela i zostałem przeto własnością Henia.

Zmieniło się zupełnie moje życie. Przedewszystkiem oddano mię pod opiekę niejakiego Maćka parobka, któremu pan dziedzic zalecił, ażeby ze mnie zrobił wierzchowca. Oprócz tego, ku wielkiej swej radości, dostałem zupełnie oddzielną przegrodę w stajni; właśnie bowiem jeden z koni zakończył życie śmiercią nagłą i niespodziewaną. W sąsiedztwie mojem po jednej stronie stał wałach łysy i ślepy, po drugiej — kobyla w bardzo podeszłym już wieku, oboje wielce szanowani z powodu zasług, jakie położyli w ciągu życia. Były to rzetelne konie, znające rodowód całej stajni i pogardzające każdym zwierzęciem, które miało w sobie krew nie końską. Rozmowy tej arystokratycznej pary wpłynęły na mój umysłowy rozwój tak dalece, iż począłem sobie urabiać poglądy na stosunki międzyzwierzęce z racjonalnego punktu widzenia. Zwolna dochodziłem do przekonania, że należy szano-

wać wyobrażenia innych zwierząt, jeżeli się chce odegrać jakąś rolę w życiu.

— Co się też to już dzieje na świecie! — mówiła sędziwa klacz — wstawili nam znowu oto w sam środek osła i wszyscy się nim zajmują.

— Gotowi niedługo pomieścić nas z trzodą chlewną — odrzekł wałach. — Zgubne zasady wszędzie się dziś rozpowszechniają...

— Żeby ten nasz sąsiad był przynajmniej mulem! — powiada ona — ale to osieł czystej krwi... I taki ma zająć stanowisko nieboszczyka kasztana?...

— Licha epoka! — zawołał łysy. — Młodemu paniczowi zachciało się jeździć na osle... Słyszane rzeczy?

Wyrozumiałem z tego, że, jakkolwiek mię uważają za osła, liczą się jednak ze mną, jak z koniem, ponieważ zająłem stanowisko konia.

Z rodziną swoją zerwałem stosunki i dowiadywałem się o niej tylko z rozmów prowadzonych przez konie.

— Słyszałaś aśka — odzywa się stary wałach — co to rwetusu było dzisiaj nocą po stajni?

— A jakże! Oka przecie nie mogłam zmrużyć, bo ludzie nieustannie biegali od dworu do stajni i od stajni do dworu; wrzawa była ogromna i latarniami świecili mi w oczy.

— Także nadzwyczajność w swoim rodzaju! — rzekł łysy. — Wielkie rzeczy, że się oślica ożrebiła!

— Nie mów ożrebiła, bo przecie osły się nie żrebią tak, jak konie.

— Prawda, one się koca, szczenią lub proszą — prawil wałach. — Ale co to może znaczyć, że teraz osły tak idą w górę?...

Dowiedziałem się więc, że mi się siostra urodziła.

— Osły idą w górę, — rzeknie klacz — ponie-

waż młodzi dziedzice lgną do nich... Nowonarodzona oślica ma być wierzchowką najstarszej panienki; wszyscy już o tem wiedzą. Ja wydałam na świat sześciu synów, z których jeden odbył sławną kampanię, a drugi na wyścigach otrzymał nagrodę pierwszej klasy; prócz tego jestem matką pięciu córek; mam wnuki, chodzące w karecie i pod siodłem, a nigdy nie wyprawiano mi takiej owacyi.

— Mówię asani, że świat się popsuł — odparł wałach. — Koleje żelazne, welocypedy, a najwyżej osły są w użyciu, taka moda...

W parę dni po tej rozmowie wszedł do mej przegrrody Maciek; trzymał w ręku uzdę i bez ceremonii zaczął mi ją wkładać między zęby. Widziałem, że stara klacz ironicznie na mnie spogląda ukradkiem. Chłop wyprowadził mię ze stajni, wziął w rękę pręt i jednym zamachem na grzbiet mi się rzucił. Chciałem się teraz pokazać, wystąpić jako paradujący wierzchowiec, więc stanąłem na tylnych nogach; ale Maciek zaklął najprzód okrutnie, ścisnął mi boki nogami, obutemi w buty z żelaznymi podkówkami, i potem zaczął okładać prętem. Spuściłem zaraz z tonu, stanąłem na czterech nogach i chciałem dać porządnego susa; lecz parobek ściągnął mię wędzidłem tak, że tylko w tył iść mogłem. Dostałem za to nową chłostę, z czego wynioskowałem, iż jeździec życzy sobie, abym szedł bokiem. Zaledwie to jednak zrobiłem, kiedy potok ciętych uderzeń spadł na moją skórę. Chwilę jakąś wiłem się w prawo i w lewo, a chłop bił ciągle, kłął, ściągał wędzidłem, drażnił piętami, zbrojnymi w żelazne podkówki. Nie wiedząc, co robić, zacząłem wierzgać, ale nic to nie pomogło, bo chłop siedział na mym grzbiecie, jak kamień, a ręką mnie ciągle młócił i piętami wymierzał dotkliwe razy. Doprowadzony do rozpacz, rzuciłem się teraz na ziemię, przzwalać Maciowi jedną nogę. Ale on porwał się natychmiast, wy-

ciągnął kolek z płotu i zbił mnie na kwaśne jabłko.

Tak się skończyła pierwsza lekcya wychowania mnie na wierzchowca. Spocony, drżący i zbolały, wróciłem do swej klatki; w cichości parę łez uroniłem, miałem bowiem tę ambicyę, ażeby wobec koni nie przedstawiać się jako zwierzę słabe i *sentymentalne*. Klacz jednakże odgadła widać stan mej duszy, bo drwiącym tonem przemówiła:

— Uszy szanownego sąsiada bardzo jakoś na dół opadły.

Zniósłem ten uszczypliwy przycinek i nic nie odrzekłem.

W kilka dni potem byłem już znakomicie ujeżdżony, chociaż nie czułem na ciele jednego zdrowego miejsca, któreby mię nie bolało dotkliwie, a Maciek też miał pełno guzów i sińców powszędę.

Przychodzi wreszcie Henio do stajni i zapytuje parobka:

— Jakże tam mój wierzchowiec?

— Chodzi już teraz, jak panna w tańcu! — zawołał Maciek. — Niech panicz wsiada i przejedzie!

Wtenczas Henio wyjął z kieszeni dziesięć groszy, które Maćkowi ofiarował za trudy około mego wykształcenia; mnie zaś młody dziedzic obdarzył słodkim karmelkiem, pogłaskał pieśczośliwie po głowie i kazał mnie natychmiast osiodłać.

Parobek już przedtem wystrzygł mi każdy dłuższy włos na głowie, nogach i w uszach, uporządkował mą grzywkę i całego wycesał zgrzebłem. Teraz nałożono mi na głowę piękną uzdeczkę z mosiężnymi sprzączkami, grzbiet nakryto miękkim siodełkiem z błękitną, jak niebo, popręgą. Konie z mojego sąsiedztwa chrapaniem wyrażały niezadowolenie, mówiły między sobą pocichu, iż wołałyby widzieć wilka, niż takie przecenianie osła przez ludzi. Maciek cmokając wyprowadził mnie ze stajni, ustawił na trawniku i pod-

sadził panicza na siodło. Uczułem, iż teraz dopiero wzniosłem się na rzeczywiście wysokie stanowisko.

Jeździec był lekki, jak piórko, przeto łatwo mogłem z nim kłusować. Kiedyśmy zaś obaj z Heniem stanęli przed gankiem dworu, liczne towarzystwo przyglądało nam się stamtąd i jedni uwielbiali mnie, że tak byłem niepodobny do osła, inni mojego jeźdźca.

Stałem u szczytu marzeń i na myśl mi nawet nie przyszło żałować trudów oraz cierpień, kosztem których wzbiłem się tak wysoko. Ale u stóp pana dzieźdźca leżał właśnie na ganku buldog żółty, z błyszczącymi oczyma, wyszczerzonymi zębami i w świecącej obroży. Ten pies uśmiechał się bardzo złośliwie, tak, iż odrazu spostrzegłem w nim zazdrość z powodu mego powodzenia. Murat, było nazwisko owego zwierzęcia.

— Wio! — zawołał Henio, uderzył mnie lekko szpicróżgą, trącił delikatnie nóżkami i ruszyłem naprzód z całą pompą.

Zaledwie ujechałem kilkadziesiąt kroków, gdy poczułem, że mnie ktoś zębami chwyta za nogę w samej pęcinie.

Nie namyślałem się długo: wierzgnąłem, i w tej chwili posłyszałem żałośliwe skargi Murata: „Au, Auuu!...“ On to był bowiem. Podstępnego psa trzasnąłem kopytem tak energicznie, iż mu wybiłem zapewne kilka zębów. Ale, wierzgnąwszy, wyrzuciłem jednocześnie ze strzemion i Henia, który narobił krzyku jeszcze znacznie większego, aniżeli Murat. Spojrzałem za siebie mimowoli i spostrzegłem, że od strony dworu mnóstwo ludzi ku mnie nędzi, a na ich czele Maciek z ogromnym kijem. Miałem przeczucie, że mi zagraża coś okropnego, więc, nie tracąc czasu, zebrałem wszystkie siły i w pełnym cwale puściłem się przed siebie.

— Co będzie, to będzie — myślałem — a już nie sfolguję w biegu, chyba że padnę.

Słyszałem, że Maciek klnie, piorunami sady, woła: „prec, prec!“ Ale nic nie pytałem, tylko sadziłem dalej. Po drodze spotykałem wielkie kamienie, rowy i wszystko to przesadzałem bez namysłu. Zapał do biegu ogarnął mnie całego, tak, że nawet pobrykałem sobie podczas tej pogoni. Uszedłem daleko i zupełnie zniknąłem z oczu ludziom, którzy mnie ścigali.

W parę godzin znalazłem się niedaleko od powiatowego miasteczka, ale nie miałem chęci wchodzić tam, gdyż mi było w polu bardzo dobrze. Teraz spostrzegłem pole pełne zielonej paszy, a że mi głód dokuczał, więc naprzód wytarzałem się po ziemi swobodnie, potem począłem wieczerzać.

Dobrze się już zmierzchało, kiedym poczuł, że mam porządnie wypchane boki, że mi nic więcej do zrobienia nie pozostaje, jak popić swą kolację, a potem legnąć i wypocząć po całej przygodzie. Ścieżką przeto podążyłem przez pole w stronę, gdzie mi zwierzęcy rozum kazał przypuszczać obecność wody. Wtem zaszło mi drogę dwóch ludzi, którzy w te słowa rozmawiali między sobą:

— Koń to czy osieł? — pytał jeden.

— Wszystko jedno — odrzekł drugi.

— Zwierzę bez właściciela jest jakby dla nas stworzone. Nie należy pogardzać szczęściem, które samo w ręce wchodzi.

I dwaj ci ludzie z wielką chciwością rzucili się ku mnie, chcąc mnie pochwycić. Po odbytej forsownej podróży i obfitej wieczerzy byłem bardzo ociężały, nie pozwoliłem się jednak odrazu pojmać; dopadłem do rzeki i tam się, jak bąk, opilem. Oni nie dali za wygraną, poszli za mną i, kiedy wychodziłem z rzeki, czatowali na mnie przy brzegu. Byłbym im może

uszedł, gdyby nie to, że mi się noga nieszczęśliwie zaplątała w wodzie; zostałem więc niewolnikiem.

Z ubioru i z rozmowy wniosłem, że obecni moi panowie są to izraelici. Żaden z nich nie wsiadł na grzbiet mój, lecz jeden mnie prowadził, drugi ganiał z tyłu, dokuczając kawałkiem twardego patyka. Zrobiła się noc nadzwyczajnie ciemna, a żydzi gadali ze sobą; słyszałem wyraźnie, że się umawiają, aby mnie zaprowadzić na noc do karczmy pod lasem.

— Wszystko mi jedno — pomyślałem sobie — czy mam nocować w polu, w karczmie, czy w stajni dworskiej. To gorsza, że ci ludzie bardzo mi się nie podobają, ponieważ żaden z nich nie wygląda na to, ażeby potrafił ocenić wartość takiego, jak ja, zwierzęcia. Bił mnie ojciec, bo wiedział, za co, Maciek, bo udzielał nauki; ale ten oto z tyłu bije bez najmniejszej przyczyny, a tamten z przodu wcale się za mną nie ujmuje, choć słyszy dobrze, że kij aż skrzypi na moich żebrach.

Złość mnie zdjęła i zapragnąłem dać naukę człowiekowi, który mnie chłostał bez żadnej potrzeby. Właśnie zaczęliśmy wchodzić pod górę, a ja się teraz umyślnie opierałem swemu przewodnikowi, ażeby mój prześladowca od tyłu podszedł ku mnie na odległość nogi. Kiedym sobie zmiarkował, że dosyć mi wyciągnąć kopyto, aby go dosięgnąć, wtedy wierzgnąłem i, jeśli się nie mylę, trafiłem w brzuch izraelitę. Krzyknął tylko: „Aj! aj!” i upadł na ziemię.

— Miał mój ojciec rację — rzekłem sobie w duchu — że wierzganie jest znakomitą wynalazką zwierzęcym. Mogę się zaprzec wszystkich właściwości osła, lecz nigdy się nie wyrzeknę wierzgania. Dokonałem oto drugi raz w życiu arcydzieła zemsty przy pomocy wierzgania.

Mój prześladowca podniósł się nareszcie z ziemi,

lecz był już znacznie przyzwoitszy, siedł za mną w dobrej odległości i nie tak często używał swojego kija.

Późno już w nocy przybyliśmy do karczmy pod lasem. Panowie moi zapukali do okna, zbudzili karczmarza i opowiedzieli krótkimi słowy, w jaki sposób ja zostałem ich własnością. Karczmarz wyszedł do nas z latarką, obejrzał mnie bardzo skrupulatnie i wyrzekł te pamiętne dla mnie słowa:

— Bardzo porządne bydlę!... Radzę wam prędko się uwinąć i puścić to między ludzi.

Następnie wprowadzono mnie do stajenki, gdzie była para koni, obie klacze, i może półroczna źrebiczka. Jak tylko tam wszedłem, prowadzony za uzdę, karczmarz przywiązał mnie do żłobu, a obie kobyły nadzwyczajnie ciekawie mi się przyglądały przy świetle latarki; osobliwie też młoda źrebiczka zdawała się być mną całkiem zajęta.

Kiedy już karczmarz opuścił stajenkę i zamknął mnie razem z klaczami na kłódkę, w tej chwili zapytuje najmłodsza:

— Moja matko, co to za zwierzę dziwnego nabożeństwa przybyło do nas na nocleg? Niby koń a nie koń; po raz pierwszy w życiu widzę istotę z końskim łbem, krowim ogonem i świńskimi uszama.

— Trzeba ci wiedzieć, że to jest osieł — odpowiedziała matka — stworzenie nadzwyczajnie ograniczone pod względem umysłowym, a do tego leniwe w najwyższym stopniu. Żadne na świecie zwierzę z osła przykładu brać nie powinno.

Dosyć już obcowałem w świecie z rozmaitymi zwierzętami i odrazu mnie uderzył brak taktu w starej klaczy, która córkę swą uczyła nietolerancy i zazszczepiała w niej ducha kastowego. Odpłacając dobrem za złe, chciałem zarzęć tak, jak to czynią po stajniach konie płci męskiej, kiedy im przychodzi wyrazić komplement dla płci pięknej. Ale zamiast rżenia, mi-

mowoli z ust moich wydobył się śpiew taki sam, jaki niegdyś od ojca słyszałem w ogrodzie: „I-a, i-a, i-a!”

— Czyś ty zrozumiała, co ten osieł mówi? — zapytała stara klacz swojej towarzyszki, która leżała rozciągnięta na ziemi.

— Zrozumiałam wybornie — odrzekła zapytana — jest to miłosne oświadczenie, wyłącznie ku mnie skierowane. Jak ci wiadomo, jestem dotąd panną, i ten oto kawaler wyraził mi swój sentyment.

— Ależ to arogancya niesłychana! — zawołała stara głosem pełnym oburzenia. Wprawdzie ty jesteś starą panną, jednakże nawet w twoim wieku nie godzi się wysłuchiwać afektów miłosnych osła, zwłaszcza też w przytomności mojej niewinnej córeczki. Zabierzmy się obie do tego młokosa i pokażmy mu, jak dużo w końskim rodzie zależy klaczom na reputacyi.

— Ej kuzynko — odpowiada tamta — wszystko mi się zdaje, że to nie jest taki osieł, o jakim ty myślisz, a więc i egzaltacya twoja na temat cnoty nie jest na miejscu... Zresztą, walka nie może być tak dalece rzeczą płci naszej.

— Rozumiem — odparła żywo stara klacz — jesteś bezwstydnica, która gotowa od łada osła przyjmować hołdy. Pamiętaj, że stoisz na pochyłości, ja się bynajmniej nie solidaryzuję z twemi przekonaniami i zaznaczam to wyraźnie... Zbliź się tu do mnie, córko — ciągnęła dalej w oburzeniu — i pamiętaj na całe życie, że cnota żeńska powinna być bez skazy.

To rzekłszy, stara klacz urwała się od żłobu, pełna grozy, i poszła ze swą żrebiczką w najciemniejszy kąt stajni.

Co do mnie, byłem szczęśliwy, że, jakkolwiek przywiązany do żłobu, uchodzę jednak za niebezpiecznego adonisa. Przez całą noc powtarzałem pieśń swojego ojca, która, otwarcie mówiąc, była serenadą miłości; od czasu do czasu zaś zwracałem ogniste spojżenia

w kierunku pozostałej przy żłobie klaczy. Ta w milczeniu przez długi czas odbierała me hołdy, aż wreszcie szepnęła:

— Nie przysięgaj mi swej miłości tak głośno, gdyż i bez tego zapalę twoje pojmuje, a narażasz mnie na obawę, ponieważ stara jest zazdrosną i niezawodnie podsłuchuje.

Ta przemowa wpłynęła na mnie nadzwyczajnie; przestałem śpiewać, a zacząłem wzdychać; potem zdobyłem się na głos, jak można, najtkliwszy i szepnąłem:

— Czuje, iż serca nasze dla siebie są stworzone... O najdroższa moja, w tułaczem życiu po raz pierwszy spotykam istotę, która mi duszę hartuje na nieszczęścia... Pozwól, niechaj ci miłość dozgonną przysięgnę.

Przysięg nie lubię — odrzekła moja bohdanka — bo łatwo przysięgę wymówić, lecz trudno jej dotrzymać. Dla mnie istnieje jedna tylko miłość: ta, która jest wolna i nieprzymuszona, której przysięgać nie trzeba.

Takie poglądy jeszcze bardziej mnie rozentuzjazmowały, więc drżącym głosem błagałem, aby przyjęła me hołdy, a istotnie miałem silne postanowienie wykraść ją, uprowadzić w świat szeroki, lub życie sobie odebrać. Ale ona ciągle powtarzała:

— Zaklinam cię na wszystko, mów pocichu!...

Była to najbardziej uroczą noc w mojem życiu, i nietylko duszę mą napełniła zdrojem szczęścia z miłości, ale mnie zbliżyła zupełnie do koni. Niestety, taka już moja dola, ażeby zawsze doznawać rozczarowania!

Skoro tylko rumiany dzień wniknął do stajenki przez liczne szpary, przekonałem się niebawem, iż przedmiotem moich gorących uczuć była stara bardzo habeta — skóra i kości. To też, kiedy sentymentalnie załawione oczy zwróciła ku mnie, spuściłem na dół głowę i wstydziłem się samego siebie. Niebawem na-

deszli moi właściciele, a raczej niewłaściciele, i uprowadzili mnie ze stajni. Naprzód jeden wgramolił się na mój grzbiet, potem drugi uczynił to samo i poczułem, że się gnę w krzyżu. Jeździł na mnie młody szlachcic, dobre dziecko — że do rany przyłożyć, gdyby nie pies jego; nosilem chłopca grubianina, prawie że tak surowego, jak mój ojciec, stary osieł, ale teraz dosiadło mnie dwóch żydów. Nikt sobie nie wyobrazi, co to za wielki ciężar. Nietylko fizycznie byłem obciążony, lecz i moralnie, ponieważ zmysły moje wystawione zostały na ciężką próbę. Mam słuch bardzo delikatny i nie mogę ścierpieć szwargotu, jakiegoś cmokania, chlipania i akcentu, który powstaje i ginie gdzieś w gardle. Jeszcze delikatniejsze mam powonienie, a z chałatów moich panów wydobywał się z jednej strony zapach stęchlizny wiekowej, z drugiej biła tak silna woń cebuli, że mimowoli łzy poczęły mi się cisnąć do oczu. Obaj byli bardzo dłudzy i nogami prawie dostawali do ziemi, a kręcili się, kiwali nieustannie, co mi również sprawiało dużo przykrości. Jeden z nich, rudy, nosił imię Abram, drugi, czarny — Mosiek.

— Pierwszy raz w życiu widzę osła — rzecze Abram, który był uczony na książce — ale powiem ci, Mosku, że jest w przykazaniu: „Nie będziesz pożądał osła bliźniego twego“.

— A bośmy to jego pożądali? — powiada Mosiek. — On sam prawie wpadł nam w ręce.

— Przykazanie dlatego to zapowiada, żeby cudzego osła nie posiadać...

— To co z tego?... My go sprzedamy i kto inny będzie go posiadał.

W milczeniu przebyliśmy kilkaset kroków, aż się Mosiek znowu odezwał:

— Powiedz mi, Abramie, dlaczego przykazanie tak wyraźnie osła zaznacza?

— Duża to historia — powiada Abram. — Osieł

był z ludem wybranym w ziemi obiecanej... Ty wiesz, Mosiek, co to za jeden był Samson?... Ogromnie mocny żydek, który porwał raz w złości łeb ośli i dziesięć tysięcy ludzi nim pozabijał...

— Nu, co z tego?... Po co się gniewał, po co zaraz zabijał?... Ty mi powiedz, Abramie, dlaczego przykazanie nie pozwala żydkowi pożądać osła?

— Jaki ty głupi! — rzecze Abram. — Małej rzeczy nie rozumiesz... Bo jakby jeszcze kiedy był na świecie drugi taki mocny żydek, a miał pod ręką łeb ośli, to on-by pozabijał wszystkich nieprzyjaciół i inni żydowie nie mieliby z kim prowadzić geszeftu...

Uważałem, że moi panowie doszli do takiego mniej-więcej wniosku: Ponieważ żaden z nas dwóch nie jest w stanie zabić łbem oślim dziesięciu tysięcy ludzi, przeto przykazanie nas nie obowiązuje.

Potem Abram opowiadał jeszcze, jak jedna znająca osła komita osłica w ziemi obiecanej rozmawiała ludzkim głosem ze znakomitym izraelitą Balaamem, którego niosła na swym grzbiecie. Z tych i innych jeszcze rozmów poduczyłem się historii, a przytem doszedłem do przekonania, że losy żydów i osłów są nadzwyczajnie podobne. Uwaga tego rodzaju sprawiła, że chętniej już dźwigałem swoje brzemie. Zdażaliśmy ku granicy pruskiej, po za którą, o ile mogłem wyrozumieć z rozmowy jeźdźców, miano mnie sprzedać. Ujechaliśmy już dobrą milę, kiedy na drodze swej znowu spotkaliśmy młodego żydka. Abram i Mosiek czempredzej powstrzymali mnie w biegu, chcąc porozmawiać ze swym ziomkiem. Pieszy podróżnik oznajmił z całą szczerością, iż pochodzi z Wolbromia i ucieka przed poborem wojskowym, ponieważ czuje w sobie brak odwagi na widok broni palnej. Jeźdźcy uznali racjonalność czynu i zaproponowali młodzieńcowi, aby się przysiadł do nich na moim grzbiecie. Teraz miałem ogromną ochotę przemówić ludzkim słowem, jak owa

osłica z Biblii, i w tym celu otworzyłem usta. Ale tylko ciężkie westchnienie wyrwało mi się z piersi, a słowa ugrzęzły w gardle. Postanowiłem zrazu stać i nie ruszać się z miejsca; rozparłem się przeto nogami, opuściłem głowę ku ziemi, rozmyślając o znikomości i nędzy życia. Od czasu, jakem pokazał, że umiem należyście władać kopytami nóg tylnych, izraelici obchodzili się ze mną bardzo grzecznie; żaden z nich nie pobudzał mię ani kijem, ani piętą, a to z obawy, abym nie wierzgał. I teraz wszyscy trzej siedzieli na mnie cierpliwie, wołając tylko: „Wio, wio, wio!” Ja stałem spokojnie, poruszałem niekiedy ogonem lub przestępowałem z nogi na nogę. Trwało to z godzinę czasu i potrwałoby dłużej jeszcze, gdyby mi do głowy nie przyszła myśl, że im dłużej się będę ociagał, tem dłużej muszę dźwigać na grzbiecie ciężar. Ruszyłem przeto po drodze ku miasteczku nad pruską granicą; bo cóż innego miałem zrobić?

Okolo południa spostrzegłem z góry karczmę przy gościńcu, a przed karczmą uwijał się tłum ludzi, widocznie czemś zaniepokojonych. Zdjęła mię ciekawość, coby to być mogło, i popędziłem żwawiej. Za ledwie przybyłem na miejsce zbiegowiska, gdy dziwny obraz przedstawił się oczom moim: Koń, zaprzężony do nadzwyczajnie wyładowanej fury, padł właśnie oto na ziemię i kończył życie. Na tej furze jechało z piętnastu żydów, więc wszyscy byli teraz w ogromnej rozpacz, iż nie przybędą w swoim czasie na jarmark do miasteczka, a przeto utracą spodziewane korzyści. Trzej jeźdźcy zeskoczyli z mego grzbieta i połączyli się z obradującą gromadą. Jak tylko mnie spostrzeżono, wnet zasępione fizyognomie właścicieli fury przybrały weselszy wyraz. Narada nie trwała długo i stanęło na tem, ażeby mnie zaprządz do fury w miejsce umierającego konia. Włosy mi kołkiem stanęły na skórze, kiedym posłyszał, o co chodzi.

Abram przywiązał mię tymczasem do fury, mogłem więc być świadkiem ostatnich chwil życia konia, który umierał z pracy i wyczerpania sił. Chcąc pocieszyć nieszczęśliwego męczennika, rzuciłem mu spojrzenie wyrażające współczucie, a on cichym głosem przemówił do mnie w te słowa:

— Strasznie jest umierać i nie mieć nikogo z bliższych przy łożu śmierci!... Jesteś tylko osłem, ale i tak powinienbyś zrozumieć okropność mego obecnego położenia... Większą część swego życia strawiłem bowiem, zarabiając na sławę w służbie Marsa, drugą część obróciłem na użyteczną pracę przy pługu... Patrz, taki jest koniec sławy i zasługi! Opowiedz przynajmniej światu o moich cierpieniach; opowiedz, żeś widział bohatera, konającego w błocie na środku drogi!...

Chciał mi widocznie uczynić jakieś zwierzenia, lecz go siły opuściły, wstrząsnął rozpaczliwie głową i kopytami, poczem mruknął:

— Może kiedyś w przyszłości lżej będzie koniom na świecie...

I to były ostatnie jego słowa.

Z całej postawy nieboszczyka wnosiłem, iż nie był zwyczajnym koniem; budowa głowy, karku i nóg świadczyła o znakomitej rasie. Uroniłem lże szczerzego współczucia nad zwłokami tej zgasłej wielkości i puściłem wodze swoim myślom, które, zaprawdę, nie były wesołe.

Niewiele atoli czasu miałem na refleksyę. Żydzi *myśleli* za marną cenę sprzedali skórę na zmarłym jakiemuś chłopu, czempredzej poskoczyli do mnie i niebawem założono mię do fury. Z jednej strony ogarniała mię zgroza oburzenia, z drugiej czułem się dumnym, że zająłem stanowisko rumaka, dla którego uczucie czci żywiłem. Miałem teraz spełnić zadanie nielada; należało bowiem pociągnąć furę, na której znajdowała się duża beczka ze śledziami, skrzynie ze szkłem, ogro-

mne paki z sierścią, stopy skór zwierzęcych i mnóstwo towarów łokciowych. Nie stanowiło to jednak jeszcze całego ciężaru. Na furę powłaziły naprzód matki, trzymając przy piersiach dzieci, pozawijane w pieluchy i bety; potem pleć męska czepiała się tu i wszędzie, gdzie było można i nie można—prawie że jeden drugiemu siadał na głowie.

Gwar, szwargot niesłychany panował na furze; każdy coś mówił, pytał lub opowiadał, a dzieci wrzeszczały.

Zdawało mi się, że na tej furze siedzi ludność całego miasteczka powiatowego i ja to mam pociągnąć własnymi siłami. Szarpnąłem, pobudzony biczem przez siedzącego na samym wierzchu woźnicę, lecz nie było sposobu dźwignąć tego mrowiska ludzi w kupie śmieci.

Wszyscy teraz wołali na mnie z góry: „Wio, wio, wio!”

Porwała mię ostatnia pasya na tę zgraję.

— Hultaje — myślałem sobie w duszy — ja jeden na tyłu pasożytów mam pracować?... Nie pójdę!

Woźnica, jakgdyby odgadł moje myśli, począł mię po bokach dotkliwie smagać.

Choć upór mój był wielki, nie mogłem jednak wobec bata pozostać niewzruszonym. Wszelkie zwierzę jest istotą słabą, a wola jego zależy od warunków. Co tu mówić o jakichś czynach nadzwyczajnych? Byłem zaprzężony do ciężkiej fury, a zaledwie zdradziłem uczucia uporu, już mię obiegło kilku żydów, z których każdy bił, lżył, lub brał za uzdę i prowadził. Ruszyłem z miejsca, jakkolwiek najwyraźniej czułem, że mi w krzyżach trzasło. Trzęsła się fura bagażów, skrzypiała nieprzyjemnie, a gwar żydowski nie ustawał. Niebawem przyszło wjeżdżać pod górę, co już najzupełniej przechodziło moje siły. Teraz nic nie pomogło wołanie: „wio, wio!”; bokami robiłem ciężko, pot spływał ze mnie obficie, a na uderzenie bata

miałem chęć odpowiedzieć rzuceniem się na ziemię. Spostrzegli to widać niektórzy z moich panów, bo zeskoczyli z fury niebawem, podsadzili się sami barami, pchnęli, i wóz wkrótce wyjechał na górę. Spostrzegłem z wysokości wieś w dolinie, drogę przerzynała rzeka, która się wiała i ginęła gdzieś w zielonych błoniach. Zapraгнаłem wody, orzeźwienia, bo ciężka praca wytworzyła w moim organizmie ogromną ilość ciepła, prawie żaru, który spiekl i przepalił moje wnętrzności.

— Oh, wody, wody — pomyślałem sobie. — Wszystkie swe marzenia oddam za kroplę wody...

Więc z góry pełnym pędem puściłem się ku rzece, a fura samym już ciężarem szybko goniła za mną; strach mię nawet zdejmował, aby ta olbrzymia wieża rupieci i ludzi nie spadła na mnie i nie przywaliła mnie swym ogromem; gnałem przeto tem pośpieszniej. Im bliżej byłem rzeki, tem większe pragnienie wody uczuwałem.

Nadaremnie woźnica szarpał lejcami, chcąc powstrzymać me zapędy; wewnętrzne pragnienie moje było silniejsze od wszelkich jego wysiłków; pozwoliłbym się teraz zabić, byle raz ustami zaczerpnąć orzeźwiającej, chłodnej wody.

Dopadłem wreszcie do rzeki i, nie dbając o następstwa, wręcz skoczyłem w bieżącą wodę. Ale zjazd był jakiś niedobry. Fura, porwana przezemnie, z wysokiego brzegu spadła i połowa pasażerów wraz z rozmaitemi gratami runęła do rzeki; przedewszystkiem zwała się beczka ze śledziami. Ludziom nie stało się nic złego, ponieważ strumień był szeroki raczej, niż głęboki; niektórzy jednak dobrze się napili wody. Ale z beczki wypadły wszystkie śledzie i zaczęły oto pływać, jakby żywe ryby. Na ten widok powstał gwałt ogromny. Pozbiegali się pasterze z błonia i chłopci, śpieszący na jarmark, a każdy wchodził w wodę, łowił

te śledzie i zjadał je, lub na zapas chował do kieszeni. Jednem okiem przyglądałem się owej scenie, a tymczasem wodę piłem i piłem. Strapieni żydzi szwargotali jeszcze zapalczywiej, usiłując wydobyć z rzeki rozmaite pudła, paki i skrzynie. Najwięcej wrzasku narobiła żydówka Rywka, której cały majątek stanowiła beczka ze śledziami; straciła ona prawie wszystko, więc ruinę swą gorzko opłakiwała. Swoją drogą, żal mi było kobiety, a swoją drogą, rad byłem, żem ugasił pragnienie.

Teraz należało wyciągnąć furę z wody, do czego bynajmniej nie miałem ochoty przykładać ręki. Kiedy mię smagano, począłem dreptać w prawo i w lewo, dając do zrozumienia, że jestem gotów położyć się w wodzie. Takie moje zachowanie wzbudziło snadź obawę w izraelitach, bo wszyscy przedstawiciele płci męskiej pozłazili czempredziej z fury i popychali wóz, brnąc w wodzie po brzuchy. Wylądowaliśmy nareszcie! Co do mnie, byłem stanowczo pokrzepiony.

Rywka zaczęła teraz bardziej jeszcze rozpacząć, rwała sobie włosy na głowie, wyrzekała, iż z głodu chyba umrze z czworgiem dzieci. Jak się dowiedziałem ze skarg tej niewiasty, była ona wdową i zaryzykowała cały swój majątek na kupienie beczki śledzi, przyczem zadłużyła się nawet. Wobec tej niedoli zachowali się prawdziwie po obywatelsku Abram i Mosiek; byli oni zwykłymi jarmarcznyimi złodziejami, przywłaszczyli sobie mnie i prowadzili na sprzedaż; ale pierwsi poczęli uspakajać Rywkę, a dając ze siebie dobry przykład, pobudzili innych do składki na biedną i strapioną wdowę. Wnet zebrano tyle pieniędzy, ile wynosiła wartość utraconych śledzi. Pomyślałem sobie przeto w duszy, że i złodzieje nawet mogą posiadać pierwiastki szlachetnych uczuć. Oprócz tego zachwyciła mnie niezmiernie ta solidarność żydowska, sprawiająca, iż wszyscy stoją za jednego.

Po takich-to przygodach przybyliśmy wreszcie do miasteczka już na sam koniec jarmarku. Abram i Mosiek natychmiast wyprzęgli mię z fury i zaprowadzili do zajazdu; tam, zamknięty w oddzielnej komórcie, mogłem teraz wypocząć po trudach. Uważałem, iż panom moim chodziło o to, aby mię ukrywać przed oczyma publiczności, ponieważ stanowiłem własność bezprawnie posiadaną. W komórcie owej dano mi nieco jałowej sieczki, do spożycia której zabrałem się niebawem. Obecne moje mieszkanie przylegało do gościnnej izby, gdzie właśnie ucztowali jacyś jarmarczni ziemianie. Podpili sobie już dobrze i przez ścianę słyszałem wyraźnie całą ich głośną rozmowę. Zebrali się tam samotrzeć i, często popijając, poszukiwali przyczyny zła, jakie właśnie w te czasy trapi rodzaj ludzki. Jeden z nich przemawiał głosem dosyć rzewnym, jak gdyby płakał, i utrzymywał, że wszystko na świecie dzieje się z woli bożej, a złe dopóty złem będzie, dopóki Pan Bóg ludzi doświadcza. Drugi wcale nie słuchał pierwszego, lecz jednocześnie krzyczał bardzo głośno, zżymał się, bił w stół pięścią, opowiadał, jak go żydzi wyzyskują, i dowodził, że izraelici są przyczyną całego nieszczęścia na świecie. Trzeci mędrkował, przerywał mowę to pierwszemu, to drugiemu, obliczał, ile pszenicy wydaje Australia a ile Ameryka, — przedstawiał niesłuszność cła zbożowego na pruskiej granicy i nareszcie począł się oburzać na rodową arystokrację. Wrzawa była nadzwyczajna, ponieważ wszyscy trzej razem mówili. Między obradujących w ten sposób wszedł czwarty, posłuchał przez chwilę dysputy i powiada:

— Nie macie sobie nad czem głowy łamać, zapijmy lepiej tę sprawę!

Zaraz wszyscy przestali mówić, zgodzili się na jedno i przyznali, że czwarty ma rację. Ten, który

na żydów wszystko zwał, przywołał żyda i kazał mu podać butelkę wina.

Oni zaczęli pić, ściskali się między sobą i całowali; wtem drzwi od mej komórki otwały się, wszedł Abram, Mosiek i jeszcze trzeci człowiek, tłusty, rumiany. Żydzi czempredzej zaczęli wychwalać moje cnoty, bo ten trzeci był to prusak, który mię chciał kupić. Nic nie mówił, zajrzał mi tylko w zęby, spróbował ogona w nasadzie, kopnął mię nogą pod kolana, potem rzekł:

— Osieł, polski osieł!... Dopłacicie mi trzydzieści talarów w gotówce i weźmiecie sobie mego konia, a ja zabiorę waszego osła.

— On jest osieł — odzywa się Abram — ale lepszy od drugiego konia, chodzi w chomacie i pod siodłem.

— Każde zwierzę tem być powinno, czym jest rzeczywiście: koń — koniem, osieł — osłem — odparł Niemiec. Wy mi osła za konia nie sprzedacie.

— Nu, a jak osieł może być i koniem i osłem, to dla pana jeszcze lepiej — rzeknie Mosiek.

— Z Polski tylko jedne wieprze coś warte — mówi Niemiec — a i te trzeba zgermanizować, żeby je zjeść można było.

Potargowali się jeszcze trochę, nareszcie układ stanął i ja w drodze facyndy za konia przeszedłem na własność prusaka. Człowiek, który mię nabył, był handlarzem zwierząt; jeździł po jarmarkach, zakupywał u żydów, chłopów i szlachty rogatego bydło, konie, wieprze; zarabiał głównie na kursie pieniędzy. Nowy mój pan kazał mię czempredzej wyprowadzić z komórki i zapędzić między krowy a woły, kupione na jarmarku. Bez uzdy, zupełnie swobodnie puszczone, wnet się znalazłem w gromadce rogatego bydła. Było nas razem sztuk kilkanaście. Zauważyłem, że niektóre krowy są bardzo smutne, zbliżyłem się więc do jednej,

zdradzającej najwięcej niepokoju, i zapytałem o przyczynę troski. Krowa popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, a potem mi opowiedziała, że jej żal serce ściska na wspomnienie stada, wśród którego żyła, i zielonych pastwisk, gdzie się wychowała od maleńkiego cielecia.

— Idę między obcych — mówiła — będę musiała karmić cudzoziemców, przyjąć ich obyczaje, więc mi smutno.

Woły obecne tej rozmowie były bardzo ponure.

Przed wieczorem właściciel nasz i pomocnik jego, kilkunastoletni wyrostek, z batami w ręku poczęli nas pędzić ku granicy; w czynności tej dopomagał im bury pies jakiś bardzo skwapliwie; jak pasterz, zaganiał on bydło i zmuszał je, aby się trzymało kupy oraz prostej drogi.

Widzę ja, że ten pies koło mnie się kręci, więc wchodzę z nim zaraz w rozmowę, chcąc zasięgnąć języka o warunkach, w jakich się znalazłem.

— Czy asan zagraniczny? — zapytuję go odniechcenia.

— I tak i nie — odrzeczcie pies. — Właściwie mówiąc, pochodzę z Królestwa, bo rodzice moi przed laty wyszli z ludźmi na Szląsk, a pochodzili z pod Będzina. Otóż na Szląsku się urodziłem w polskim domu. Ale jednego dnia kazano memu gospodarzowi i mej gospodyni, jako też i ich dzieciom, z Prus się wynosić; więc i ja też z wygnańcami przeszedłem granicę. Wkrótce atoli spostrzegłem, że moi gospodarze sami jeść co nie mają, tak sobie pomyślałem: Przecież tylko ludzi wypędzają, a zwierzęta nietylko nie podlegają prawu, lecz owszem, są pożądane. Uczepiłem się więc tego prusaka, on mi jeść daje, a ja mu pomagam polskie bydło utrzymywać w porządku.

— A skądże jego osła mość pochodzi? — pyta on mię znowu. — Wtenczas ja mu ze wszystkimi szczegółami opowiedziałem historię swego życia.

— Skoro pierwszy raz idziesz między Niemców — mówi pies do mnie — to sobie pamiętaj, że tam u nich inaczej, niż tutaj. Naród zapobiegliwy, o zwierzęta dba; ale jak przyjdzie do roboty, to ci pardonu żadnego nie dadzą. Od parady cię tam nie będą trzymali, tylko musisz rzetelnie zarobić na kawałek chleba dla siebie i dla tego, kto ci da opiekę. •

— Co oni też ze mną zrobić mają? — pytam.

— Ho, ho! Co będą chcieli, to zrobią. Tam u nich psy różny z pieczeni obracają, mleko, maślanekę, ser i masło w wózkach wożą do miasta; jakby do tego przyszło, to i dzieci muszą pokoiysać, albo nawet sztuki jakie pokazywać. Taki Niemiec, jak się uweźmie, to psa ubierze w kaftan, w kapelusz, w okulary i po linie mu chodzić każe, albo grać na katarynce. A co tam u niego znaczy?

— Ej, czy waćpan aby nie żartujesz?

— Sam się najlepiej przekonasz, jak pobędziesz między nimi.

Więc ja psu powiadam, że ten nasz pan obecny mówił do Abrama i Mośka, jako każde zwierzę tem być powinno, czem jest rzeczywiście.

Roześmiał się pies serdecznie i mówi:

— O naiwny osie!... Wiedz, że niemiecka teoria nigdy nie chodzi w parze z niemiecką praktyką. Czego oni uczą, to wszystko trzeba brać odwrotnie. Ja ci powiem krótko i węzłowato: to są egoiści! Kto im uwierzy, ten musi zginąć... Ty jesteś osieł i możesz się złapać.

Trzymałem się tego kundla, bo szelma widać nie w ciemności był bity, okrutnie wyklapany i z niejednego pieca chleb jadł; zresztą swojak na cudzej ziemi zawsze się przydać może, choć też i obcemu służy.

Przychodzimy na samą granicę, stanęliśmy tutaj: dopiero krowy i woły zaczęły ryczeć wniebogłosy, tak im przykro było, że idą na obczyznę, że może już wię-

cej nie zobaczą kraju, gdzie się urodziły. Pierwszy raz w życiu sercem mojem również owładnęła nadzwyczajna żalność i, chcąc nie chcąc, zacząłem strasznie biadać; sam nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Tylko pies jeden nie wydał z siebie żadnego głosu; widziałem jednak, że sobie łapą oczy otarł; potem się zakreślił, poskoczył i szczeknął:

— Marsz, naprzód, zwierzęta!

Do mnie się zaś podsunął i powiada:

— Czego ty głośno płaczesz? Jak chcesz, wyplacz się pocichu... Połowa tych krów i wołów pójdzie na rzeź: to może śmierć przeczuwają, więc płaczą; ale ty, osieł, żyć musisz, a zatem pamiętaj sobie, że z Niemcami trzeba prowadzić politykę racjonalną. Nie wdawaj się w żadne czułości, bo tu nikogo nie zmiękczysz, a zdradzisz się, żeś słaby.

Posłuchałem psa, zamknąłem się w sobie, a kiedy zobaczyłem, że mój pan blisko mnie podszedł, wyskoczyłem nawet w górę, jakbym się z czego cieszył. Niemiec zaraz poklepał mnie po brzuchu, powiedział mi komplement, że jestem „*ein tüchtiger Kerl*“, a dzięki *deutsche Kulture* będę jeszcze weselszy.

Na pierwszej stacji kolei żelaznej za granicą wsadzili nas do wagonu, i po raz pierwszy w życiu jak pan jechałem w jednym pociągu z ludźmi.

Potem już z rąk do rąk przerzucali mnie sobie różni właściciele; jeździłem koleją żelazną, to znowu szedłem piechotą, aż jednego dnia znalazłem się w krainie górzystej, niedaleko gór Olbrzymich, a u stóp najwyższego ich szczytu, Scheekoppe. Tutaj już poostałem, ponieważ ludzie uznali, że Stwórca po to mnie na świat rzucił, abym się wdierał na wysokie góry.

Okolicę zwiedza dużo cudzoziemców, a obecny mój właściciel jest człowiekiem, który „porządnemu gościowi“ — jako sam nazywał bogatych przybyszów — za pieniądze gotów wszystko sprzedać. Nauczył on mnie

chodzić po górach i życie moje tak usystematyzował, że w każdej porze dnia jestem zapracowany.

Latem już o świcie muszę wstawać i wielką oberżę zaopatrzyć w wodę. Ponieważ zaś służę w miejscowości, gdzie się zjeżdżają liczni goście, przeto zaraz następną mą czynność stanowi rozwożenie od willi do willi bułek, mięsa i włoszczyzny. O godzinie dziewiątej dosiada mię mój pan i na głównej stacyi pod Schneekoppe oczekujemy gości, którzy na grzbiecie moim dosięgają szczytu góry, skąd podziwiają piękne widoki. Późno wieczorem wracam do domu i natychmiast wysyłają mię na łąkę lub w pole, skąd zwożę do domu siano czy zboże, a robota moja trwa nieraz do samej północy. Oj, bardzo ciężko zwierzęciu pracować na niemca!... Wypoczywam i przyjmuję posiłek wtedy tylko, kiedy w pracy mojej z natury rzeczy jest przerwa, kiedy np. gość sam chce wytchnąć; ale pan mój za to wytchnienie bierze pieniądze, bo czas, podług mego właściciela, jest pieniądzem. Zimą czy latem pracuję ciężko, zawsze do późnej nocy zajęty, i ta polityka systematycznego życia doprowadza mię do rozpacz. O, bodaj służyć chłopu, szlachcicowi czy u żyda!... Można wtedy uchodzić za coś więcej, niż za osła.

Jedno ważne w mem życiu zdarzenie muszę tu do potomności podać. Pamiętam, staliśmy na głównej stacyi pod górą. Dzień był bardzo piękny, więc się sypali zewsząd podróżnicy-turyści, zdążając na szczyt Scheekoppe, ostatniej najwyższej słowiańskiej góry na Zachodzie. Szli niemiecscy studenci ubrani w wieniec z zielonych liści i śpiewali wesoło „Wacht am Rhein”. Za nimi podążało stowarzyszenie „Pangermania”, wykrzykując „Drang nach Osten”. Mój pan daremnie każdemu mię zachwalał, że jestem wybornym polskim osłem, że mogę ludzi i juki dźwigać wytrwale. Ironicznie uśmiechali się ci ludzie, idąc dalej.

Wtem szmer się rozległ pod górą, szeptano na wszystkie strony: „*Polnischer Graf, polnischer Graf!*...” Zabiło mi serce, kiedy mój właściciel natychmiast wysunął się naprzód, nastroił bardzo uroczystą minę i zawołał:

— Oto jest polski osieł, siadaj nań, panie hrabio, on biega szybko, jak jelen, co mówię — jak lokomotywa!... Bardzo proszę, siadaj, panie hrabio; zaręczam, iż pański szlachetny organizm nie dozna żadnego wzruszenia!...

Spojrzałem na przybysza; był młody, urodziwy, ale smutny. I on mi się przyjrzał, poczem rzekł:

— Wybornie! Spotkałem jeszcze polonizm w tych stronach. Słusznie to, abym dosiadł tego osła, z którym w parze będę odbiciem swego nowożytnego rycerstwa.

I natychmiast dosiadł mnie pan hrabia, a mój właściciel wołał:

— Nużę, polaczku, pędź teraz żwawo, wieki tradycyi dźwigasz na sobie!... Pamiętaj, osielku, że los w Niemczech jest bardzo łaskaw na ciebie!

Każdy wie, że góra jest wysoka; ale mój jeździec nie przedstawiał dla mnie wielkiego ciężaru; począłem biedz żywo, a niemiec ciągle mię jeszcze pobudzał:

— Pędź, sokole — mówił — orle, wzbijaj się w górę! Historię wieków wiesz, który wart więcej, niż pięciu angielskich lordów.

Hrabia zdawał się słów tych nie słyszeć, lecz niecierpliwie zapytywał:

— A czy daleko jeszcze szczyt góry?... Spieszmy, oh, spieszmy!

— Wzbijemy się tam wnet, jak jaskółki! — odpowiedział niemiec, a widząc, że mię siły opuszczają, począł mi ukłucia zadawać w łydki, drażnił mię żelaznem ostrzem swego kija. Była to straszna ostroga;

oprócz mnie i mojego pana, nikt nie wiedział, że mię ta pobudka do biegu podnieca.

Im wyżej wstępowaliśmy, tem większe zimno nam dokuczało; szron okrywał włosy na mej skórze i odzież hrabiego; znikala zielona roślinność, ukazały się szare mchy, mnóstwo kamieni, a pod nami bieleły śniegi. Czułem z ruchów rąk i nóg swojego jeźdźcy, że mu bardzo pilno wdrzeć się na szczyt góry; robiłem wielkie wysiłki, bo miałem dziwną jakąś sympatyę dla tego człowieka; ale cóż, kiedy mię siły opuszczały. Niemiec kłął wtedy żelazem po nogach, dodając chęci do biegu. To uklucie stanowiło wielką torturę...

Przecież nareszcie dotarliśmy do szczytu. Pod nami zostały chmury i przepaści w mgłach ukryte, dookoła było zimno. Znużenie moje doszło właśnie do kresu i padłem, jak długi. Hrabia lekko zeskoczył, na czołe miał smutek i zamyślenie; zwrócił się do niemca z pytaniem:

— W którym miejscu jest widok najpiękniejszy?

— Ku Pięciu Stawom, na Czechy!... — brzmiała odpowiedź.

Wówczas mój jeździec wyjął z kieszeni sztukę złota i rzucił ją niemcowi, a sam poszedł we wskazanym kierunku. Ja robiłem bokami, ziajałem, pary potu wychodziły ze mnie i marzły w powietrzu. Hrabia stanął nad urwiskiem przepaści, patrzył w dal, patrzył... Potem się przeżegnał i skoczył.

Na tem kończę swą autobiografię. Od tego czasu jestem bardzo chory i zapewne wkrótce umrę, bo niemiec trzyma mię ciągle w rygorze systematycznej pracy.

L I S.

Jesteśmy w Pospowie, uroczej posiadłości, która ma w pobliżu dwie koleje żelazne, dwie wspaniałe rzeki ją skrapiają, dwa bite trakty przerzynają jej grunta. Przyroda zasiała tutaj nad Bugiem i Narwią tysiące klombów, gaików, równie pięknych w świetle słonecznym, jak w księżycowym blasku. Rozległe lasy, malownicze łąki i błonia, wyspy i jeziora, zagajniki i polanki, wzgórza i płaszczyny ożywiają się na wiosnę rojami przeróżnego ptactwa. Wśród takiej różnorodności mieszkaniów miasta ma tu ciągle na ustach wykrzyk: „Jak dobrze, jak przyjemnie, jak pięknie jest tutaj!”

Pewnego dnia, coś w końcu kwietnia, rano, przybiega do dworu posłaniec pana nadleśnego z doniesieniem, że w lesie odkryto jamę lisią, w której niezawodnie pod tę porę i sam gospodarz jamy przebywa. Był zaś przypadkiem w Pospowie naówczas niejaki Płaski, człowiek z żyłką myśliwską i zwolennik chowu dzikich zwierząt. Ten na wieść otrzymaną pośpieszył niebawem do boru.

Na wzgórzu, porośniętym sosniną i krzakami jałowcu, stał nadleśny, uzbrojony w strzelbę, z ładownicą u pasa, z gwizdawką zawieszoną na piersiach. Oczywiście i rysy wyrażały jakiś gorączkowy zapał. Boro-

wiecki, stary gajowy, i dwóch chłopaków — wszyscy z rydlami, otaczali nadleśnego, wodza wyprawy. Opodał na mchu leżały dwa jamniki: Trąbka i Bibas, z wywieszonemi językami, przyprószone gliną i piaskiem, co wyraźnie świadczyło, że psy przed chwilą dopiero powróciły z lisiej jamy.

— Panie, mamy kite, a może i całą jego rodzinę, — rzekł do Płaskiego nadleśny głosem cichym i z miną tajemniczą.

— Skądże ta pewność? — zapytał przybyły.

— Trąbka przeszło godzinę borykała się z czemś w jamie!... Ale Bibas, szelma, boi się potyczki i z jamy ciągle mi zmyka. Dalibóg, albo lisa, albo borsuka mamy niezawodnie. Wnet się pan sam o tem przekona.

To rzekłszy, nadleśny przyzwał do nogi małą suczkę, wziął ją pomiędzy obie dłonie i zachęcając: „huź-go, huź-go“! wrzucił w otwór jamy, a potem jeszcze szczerł: „e-kotka la, lalala“! Trąbka zniknęła w norze, nadleśny zaś rozciągnął się na ziemi, jak długi, przyłożył ucho, zamrużył oczy i nasłuchiwał. Po niejakej chwili wznosił głowę, spojrzał tajemniczo na Płaskiego i ręką dawał mu znaki. I Płaski rozłożył się teraz na ziemi, usiłując uchem zbadać, co się dzieje w lisiej norze. Rzeczywiście, Trąbka zapalczywie ujadła w jamie; ale głos jej tak jakoś niewyraźnie dochodził z podziemia, że trudno było zmiarkować, w jakim mianowicie kierunku pies się zapuścił.

— Bierz pan strzelbę i daj baczenie na trzy otwory! — wołał nadleśny z zapalem. — Bo jeśli stary lis jest w jamie, może nam się ulotnić w oka mgnieniu.

Płaski spełnił polecenie i gotów był do strzału, wracając, gdyby się lis ukazał. Ale trudno to strzedz trzech jam odrazu. Nagle mignęło coś rudego i zniknęło w krzakach. Rozległ się strzał, cóż, kiedy bezskuteczny! Stary lis uszedł.

Tymczasem Trąbka grała a grała w podziemiu.

Nadleśny to nasłuchiwał, to znowu wydawał polecenia kopiącym, był niezmiernie czynnym. Naraz krzyknął:

— Borowiecki, ostrożnie! bo mi sukę rydlem mozesz przeciąć!

W tej chwili pograżył rękę w piasku, sięgnął głębiej, zdawał się czegoś poszukiwać. Przekopano któryś z pawilonów lisiego pałacu. Nadleśny wyciągnął za kark jakieś małe zwierzątko, osypane piaskiem i gliną, i rzucił je na ziemię. Był to młodziutki lisek.

Dalsze poszukiwania były już nadaremne, zwłaszcza, że Trąbka, znużona, nie chciała iść w norę. Jeniec, owinięty w chłopską kapotę, dostał się do pospowskiego dworu.

Tu różni ludzie wyrażali swoje przekonanie co do dalszego losu lisa. Większość była tego zdania, że takiego najlepiej odrazu zabić, bo „dzikus nigdy się nie przyswoi“. Ale Płaski, zawsze skłonny do filozoficznych uwag na temat wartości życia w przyrodzie, przekonywał wszystkich, iż szereg należycie obmyślonych i metodycznie przeprowadzonych środków pedagogicznych może zrobić swoje. Płaski twierdził, że lis syty nie będzie kur dusił. Pan rzadca i ogrodnik nazwali go optymistą; kucharz zaś, pisarz prowentowy, gorzelany i ekonom spoglądali na mowę wzrokiem pełnym niewiary, lekceważenia, szyderstwa. Dopiero gdy lisem zajął się sam pan dziedzic i wyraził wyższy humanistyczny pogląd, zniknęły wśród podwładnych uprzedzenia. Dziecko dzikiej natury przeszło pod bezpośrednie edukacyjne wpływy pana Płaskiego.

Skrzynia ze spichrza, która w swoim czasie służyła do przechowywania cementu, zamieniła się na klatkę dla lisa. Pisarz prowentowy, wydając ją z pod swego klucza, mruknął:

— We łbie im się przewróciło!

Na nakrycie dla tej skrzyni użyto drucianej kraty,

przez którą niegdyś przesiewano ziemię w inspektach. Ogrodnik, człowiek przemawiający zawsze stylem wyszukany, wręczając Płaskiemu ową kratę, rzekł:

— Niech się pan dobrodziej przedtem dobrze zastanowi, żeby nie wychować potwora, który zapomni o wszystkich odebranych dobrodziejstwach i czarną niewdzięcznością odplaci się ludzkości.

Jednakże Płaski zabrał się do dzieła; dno skrzyni wysłał lisowi sianem i rozpoczął edukację, dbając przede wszystkim o fizyczność swego wychowanka.

Malec zrazu nie chciał przyjmować pożywienia, cofał się bojaźliwie w kąt skrzyni i najczęściej przewracał podane sobie naczynie z mlekiem. Ale po upływie dwóch dni, gdy się lis już dobrze przegłodził, Płaski wziął go bez ceremonii za kark, zanurzył mu pysk w mleku i tym sposobem rychło doprowadził wychowanka do przekonania, że mleko krowie stanowi smaczny i zdrowy pokarm dla wszelkiego dziecka. Wnet też lis sam, bez niczyjej pomocy, zaspakajał potrzebę głodu systematycznie trzy razy na dzień.

Co dwa dni należało zmieniać pod lisem posłanie, i do tej czynności powoływał Płaski człowieka przezwanego Gotuj. Ów Gotuj wałęsał się przy dworze, oddany wykonywaniu takich zajęć, które były w pogardzie u innych ludzi. Chudy był, niski, głuchy i bezmyślny, nieuczesany, brudny i tak nieprzyjemnie cuchnący, iż w Pospowie mówiono: „Od Gotuja nawet trzoda chlewna głowy odwraca, a muchy zdaleka stroń”.

Człowiek ten wymawiał jeden tylko wyraz „ścierwo“, ze szczególnym naciskiem na *r*. Kto chciał, mógł go popychać, bić nawet, a on ani się skrzywił, ani zapłakał — mówił tylko: „Ścierwo“. Posłanie z pod lisa zabierał oburącz i rozścielał świeże siano. Za każdym razem otrzymywał dziesięć groszy wynagrodze-

nia; wtedy szedł z tą monetą gdzieś na ubocze i długo, długo się w nią wpatrywał.

— Jakże ci się lis podoba? — zapytywał Płaski.

— Ścierwo! — odpowiadał Gotuj.

Należało z kolei pomyśleć o tem, ażeby wychowancowi zapewnić dostateczną ilość ruchu; potrzebną więc była obróżka z kółkiem, co by umożliwiała oprowadzanie lisa na sznurku. Udał się Płaski do rymarza, zaopatrującego dominium Pospów w uprzęż na konie, i zamówił u niego obróżkę dla lisa.

Przed wieczorem tegoż samego dnia rymarz zaczął przechodzącego karbownika w te słowa:

— Panie Mikołaju, wiesz pan: jaki mam obstatunek?

— No, cóż takiego?

— Zamówili u mnie obróżkę dla lisa...

— Cholera!

— Akurat po tom się uczył kunsztu i wyzwolił w Warszawie, żeby obróżki szyć dla lisów!

Kiedy nazajutrz Płaski przybył do warsztatu, rymarz podał mu obróżkę i mówił z widocznem niezadowolaniem:

— Obróżkę zrobiłem, ale dla psa...

— Jakto dla psa? Przecież zamówiłem u pana obróżkę dla lisa i dałem miarę jego szyi.

— Nie o miarę chodzi; obróżkę zrobiłem podług miary, ale dla psa... Rzemieślnik dnia dzisiejszego musi się szanować... Oho, niechby tylko ludzie posłyszeli, że ja robię obróżkę dla lisa, zarazby obnieśli na okolicę, że w Pospowie jest rymarz, co szyje obróżki dla lisów. U mnie, proszę pana, sława grunt!

— Przecież lis nie jest nic złego.

— Zawsze on nie ludzkie zwierzę — łapikura i koniec.

— Jak widzę, pochodzenie jest wielką plamą u mego wychowanka, — myślał sobie Płaski. — Trzeba

go w drodze edukacji wyosobnić niejako z lisiego gatunku.

I wyznaczenie indywidualności rozpoczął tymczasem od nadania lisowi nazwiska; nazwał go mianem *Pompon*. Z tej nazwy, przez proces zwany mitologią językową, powstało wnet inne imię. Dziewki bowiem służebne, które do dworu nosiły wodę z pompy, słysząc, że Płaski woła na lisa: Pompon, zaczęły badać pochodzenie wyrazu. Zwykle to kobiety i dzieci są przyczyną pomieszania pojęć i wyrazów.

— Słyszysz ty, Maryśka, toć on lisa nazywa pompą! skaranie boskie! — mówiła Franka.

— Kiedy go pompą przezwą, to powinien wołać: pompa tu! A on woła: pompą! — odrzekła Maryśka.

— Oj, głupie, głupie! — odezwała się Hanka. — Toć taki osobliwy cudak sam dobrze nie wie, co gada!

Od tego czasu wszyscy nazywali lisa „Pompą“.

— A niech mu będzie i Pompa! — pomyślał sobie Płaski, nie chcąc narzucać żadnych pęt swobodnemu rozwojowi języka.

Przez pierwsze parę tygodni skrzynia z Pompą znajdowała się w przedpokoju. Pewnego razu w nocy obudziło Płaskiego jakieś kwilenie; sądził, że to głos młodych jastrzębi, które chłopiec z kredensu od kilku dni miał zamiar wybrać z gniazda i mógł je przechowywać w sąsiednim pokoju. To jakieś tęskliwe piszczenie czy gwizdanie wydało się mu skargą żalosną dzieci, pozbawionych rodzicielskiego gniazda. Jęk ów nie dawał zasnąć Płaskiemu i drażnił go niezmiernie. Więc wstał z łóżka, a następnie przekonał się, że to Pompa w ciemnościach nocy żali się na swą dolę. Lis siedział w kącie skrzyni, oczy mu się iskrzyły, nie myślał wcale o spoczynku, lecz popłakiwał. Wzruszyło to Płaskiego, chciał wychowawcowi swemu okazać tli-

wość i wyciągnął rękę, aby go pogłaskać; ale mały lisek poskoczył i zostawił opiekunowi na palcu bolesne ślady czterech zębów.

— I lisowi w dziecięcych latach ciężko na świecie bez matki, — rzekł Płaski sam do siebie, owijając skaleczony palec. — Tem lepszym powinienem być dla niego, tem więcej przywiązania będę mu okazywał.

Nazajutrz przeciągnął sznurek przez kółko obrózki i poszedł z lisem na przechadzkę; nie zmuszał go iść za sobą, lecz szedł tam, gdzie się Pompie podobało. Lis uciekał w gąszcze klombów ogrodu, a Płaski krok w krok za nim podążał, podarł na sobie suknie, a gałęzie krzewów twarz mu podrapały.

Podczas przechadzek takich ludzie pracujący w ogrodzie przypatrywali się lisowi i każdy robił nad nim uwagi:

— Dobrze się chowa ten lisek, — powiedział do swoich towarzyszy starszy ogrodniczek, Michał Kosmal.

— Cóżby się nie miał dobrze chować, skoro psia-kość samem mlekiem żyje? A jakże, precz mu dają mleko niezberane. Druga kobieta we wsi dziecku tego nie daje, co ta bestya zjada! — mówiła z oburzeniem jakaś baba.

— I tak długo nie pożyje! — rzekł znowu Kosmal. — Podrośnie, to ktobądź trzaśnie w łeb kamieniem, i koniec.

— Po cóżby go miał trzaskać? — zapytał młodszy ogrodniczek, Antek.

— Ooo! niby to ty nie wiesz? Wziąłbyś za lisią skórę od żyda dwa ruble albo i więcej — he? A jeszcze z ogona chciałbyś mieć przy kapocie kołnier, a nie, to czapkę? — mówił Kosmal.

— Juści prawda! — odrzekł Antek.

— Zabić takiego zwierza niema nijakiej szkody ani grzechu, — odezwała się baba.

— Grzech-by miał być! — zawołał z przekąsem Kosmał. — Niech on mi tylko podrośnie!

— Michał, słyszysz? to go zatłuczemy we dwóch, a potem pójdzie do równego podziału, — rzeknie Antek.

— Widzicie go, mądrala! Myślisz, że lada dureń lisa zabije!

— Cóżby nie miał zabić? Sameś powiedział, że można kamieniem trzasnąć, i koniec.

— Tak sobie powiedziałem, ale do lisa trzeba umieć strzelać, i ja umiem.

Pląski wspomniął sobie, iż każdemu stworzeniu źle żyć na świecie bez stosunków z istotami podobnymi: postarał się więc o towarzystwo dla lisa. Wprawdzie drugiego takiego lisa nie mógł dostać; ale los zdarzył, że jakoś w tym czasie suka dworska Treza miała młode. Z owych przeto szczeniąt wybrał jedno, nazwane imieniem Figa, i wsadził je do skrzyni lisa.

Młodziutki pies był zupełnie głupi, niezdarny, nie okazywał ani zdziwienia, ani lęku na widok lisa. Pompa zrazu stronił od Figi i przechodził z jednego kąta skrzyni w drugi. Wnet jednak zabrał się do strojenia figlów i żartów ze szczenięciem: to je przewracał, to zębami chwycił za ogon, za kark, za uszy, to znowu przez nie przesłakiwał. Z początku żarty takie kończyły się zawsze rozpaczliwymi krzykami i skowytem Figi. Pląski musiał ją wtedy wydobywać ze skrzyni, z czego lis bywał bardzo niezadowolony, kręcił się, podskakiwał i wyraźnie tęsknił do towarzyszk.

Figa, gdy już przestała ssać pierś macierzyńską, miała szczególną opiekę pod względem odżywiania; korystała więc zwykle z odwiedzin w domu Pompy i wypijała pozostawione przezeń resztki mleka, a w późniejszym czasie wyszukiwała kaski mięsa, których lis nie dojadł i w sianie je ukrywał. Trzeba przyznać, że młody lisek wcale nie był obżarty, i bez żadnej zazdro-

ści pozwalał psu swobodnie plondrować po swoich spiżarniach.

Pląski stopniowo zjednywał sobie wychowańca, mógł go bezpiecznie głaskać po głowie, szyi, grzbiecie, a wreszcie bawić się jego ogonem. Pompa widocznie w tych pieściznach znajdował przyjemność: stulał uszy, mrużył oczy i przyjaźnie merdał ogonem; zawsze jednak nad ludzkie pieścizoty przekładał zabawę z Figą.

Nadeszła chwila, w której należało zmienić system odżywiania zwierzęcia: Pompa z mleka przechodził na pokarm mięsny. Dotychczas żył on kosztem dworu, który karmił przecież mnóstwo innych próżniaków, wobec czego utrzymanie młodziutkiego lisa stanowiło najmniejszą część. Zmieniając pokarm wychowańca, Pląski uważał już za niewłaściwe ciągnąć nadal korzyści z dworu, i postanowił własnym kosztem odżywiać organizm lisa.

Był w Pospowie pachciarz Izraelita imieniem Dawid; ten spłodził dwie męskie głowy: Szaję i Fajbusia. Szaja, starszy syn, dorobił się majątku w Pospowie, handlując drzewem, zbożem, okowitą. Młodszy, Fajbuś, skupował znowu na rzeź krowy, woły, owce i sprzedawał mięso. Trzem tym rodzinom powodziło się bardzo dobrze. Otóż, do Fajbusia to posłał Pląski pokojowego chłopca, Władka, z propozycją, ażeby pospowska jatka dostarczała lisowi codziennie pół funta mięsa, dopóki zwierzę nie zmężnieje i nie będzie potrzebowało jeść więcej.

Władek wnet stanął przed rzeźnikiem i rzekł:

— Fajbusiu, sprzedajcie-no pół funta wołowiny! Jutro znowu przyjdę po pół funta, pojutrze także. i ciągle tak będzie.

— Pół funta, czemu nie cały funt?... A dla kogo

to? — pytał Fajbuś, który się bardzo interesował wszelkimi sprawami w pospowskim dworze.

— Dla lisa! — odpowiedział chłopiec z uśmiechem.

Teraz zastanowił się Izraelita, ponieważ wcale nie wiedział, co to jest lis, i począł badać Władka, chcąc jego wiedzę wypełnić swoją umysłową lukę. Atoli chłopak na pytanie: Co to jest lis? ze śmiechem odpowiadał: „Lis, jest to lis“. Wreszcie, zniecierpliwiony pytaniem, rzekł:

— O, jaki też to głupi Żyd z was, Fajbusiu!

Lecz Fajbuś nie chciał pozostawać w niepewności i udał się do sąsiedniej izby, gdzie mieszkał ojciec jego Dawid, istny patryarcha, z dużą siwą brodą.

— Tate, wus y dues e lis? — zapytał Fajbuś Dawida.

— E lis is e Füchs, — odrzekł ojciec z wielką powagą. — Un jest takie bidło, co nie daje ani mleko, ani mięso; on daje skórkes e pelc... Po co tobie, Fajbele, wiedzieć, co jest lis?

— Ny, jak uni we dworze chowają lis, to kto ma wiedzieć, co to jest lis?... Ja dla lisa mięso będę sprzedawał, to ja wiedzieć muszę...

— Uuum! — mruknął Dawid, gładząc brodę. — Jak ty z lis masz geszeft, dus is was anders. A ile uni mięso chcą dla lis?

— E hałbe funt codziennie.

— No, ile ty możesz na tem zarobić?

— Od dziedzic na funt mięsa mam zarobku trzy grosze.

— Fajbele, słuchaj, co ja tobie powiem: Dziedzic co innego, a lis co innego. Kto nam daje mieszkanie, drzewo, słomę, sieczkę dla konia?

— Kto, jak nie dziedzic? Un każe rządca i jes...

— Git, Fajbele! Ny, a jak się ty dziedzicowi pięknie do kolan uklonisz, co on tobie da za to?

— Un mnie braki z owczarni sprzeda w jesieni, to ja jemu się muszę kłaniać przez całą zimę i lato.

— Git, Fajbele, siajn git! Nu, a jak chłop we dworze co ukradnie?...

— To ja jemu zwymyślam: „Ty paskidnik, ty złodziej, łapserdak! Ty kradzioną rzecz do mnie przyniósł?... Ty chcesz, żeby ja tak płacił, jak w Serocku na jarmarku? Aj waj, jaki ty głupi!“

— Kikste Fajbele, ty nie trzy grosze zarobku masz od dziedzica za funt mięsa!...

— Ny, tate, to ile ja brać powinien za pół funta mięsa dla lis?

— Szaje, komm nur, szug ihm! — zawołał Dawid.

Na te słowa wyszedł z innej jeszcze izby żyd o pięknej pociągłej twarzy i o bardzo bystrych czarnych oczach.

Dawid wykladał mu, że we dworze jest lis, o którym on, pachciarz, wie już oddawna, ponieważ zwierzę od półtora miesiąca wypija codziennie kwartę mleka, więc dwór codziennie o kwartę mniej sprzedaje pachciarzowi. Tego lisa mają widać zamiar karmić teraz mięsem, którego Fajbuś będzie dostarczał; chodzi więc o dokładne obliczenie, po ile należy sprzedać funt mięsa, ażeby się pokryły wszystkie straty, jakie izraelska rodzina w Pospowie poniosła z powodu lisa na pachcie, i aby swoją drogą Fajbuś miał odpowiedni zarobek.

Szaja niebawem wziął w rękę kawałek kredy i na stole wyrachował, że lis przez półtora miesiąca wypił około dwunastu garncy mleka, więc z tej przyczyny Dawid poniósł stratę dorównyującą prawie sześciu złotym, co się dla okągłości rachunku oblicza na rubla. Podług Szai, rachunek jest wtedy mądry, gdy uwzględnia nie tylko procent od kapitału, lecz i procent od pro-

centu. Rezultatem całej owej familijnej narady było to, iż Fajbuś będzie sprzedawał mięso dla lisa po dwieście groszy za pół funta, czyli dwadzieścia groszy za funt, gdy na kuchnię dworską płacono funt po groszy piętnaście.

Kalkulacyi owej przysłuchiwał się uważnie czter-nastoletni szajgecz Icek, syn Szai, i pod koniec sesyi zrobił uwagę, że on sam będzie codziennie odnosił do dworu pół funta mięsa, ponieważ pragnie zabrać znajomość z Płaskim i dostarczać mu papierosów z zarobkiem dziesięciu kopiejek na setce.

Dawid spojrział na wnuka z wielkiem zadowoleniem i mlasnął językiem.

Pompa jadł więc teraz mięso droższe, aniżeli ludzie. Icek przynosił codziennie pół funta do mieszkania Płaskiego, a jeśli go w domu nie zastał, zostawiał mięso w sionce na nisko umieszczonym murku okna; psy — Norma, Treza lub Boj, prędko zwąchały żer, w takim razie zjadały mięso, a Płaski musiał kupować nową porcyę dla lisa.

Prawie jednocześnie ze zmianą w karmieniu lisa zaszła inna jeszcze zmiana: Płaski wyzwolił Pompę ze skrzyni, wziął go na łańcuszek i przywiązał do słupka w szkółce drzew owocowych, otoczonej dokoła parkanem. W tejże samej epoce nastąpiło zwiększenie swobody lisa podczas przechadzek; mianowicie Płaski zabierał z sobą długi sznur, na jednym jego końcu przywiązywał Figę, na drugim lisa, i tak połączoną parę zwierząt puszczal swobodnie na otwartym polu. Niejednokrotnie Pompa się upierał i żadną miarą nie chciał iść w kierunku przez psa obranym; innym razem znowu opór pochodził ze strony Figi. Zwykle jednak zwierzęta wyprawiały figle i harce, w których lis składał dowody nadzwyczajnej zręczności. Nieraz przewrócił Figę, tu i ówdzie podrażnił ją zębami, a potem uciekał w wielkim pośpiechu, ona zaś za nim gnała; to znowu

się zaczynał i znienacka napadał na towarzyszkę. Czasem oboje pogonili wspólnie za kurą, która, gdakając, wzbijała się na skrzydłach i uchodziła.

Jakoś pod ten czas powrócił był z pułtuskiego więzienia Marcin Drewniak i osiadł w Pospowie. Widywał on nieraz lisa, ścigającego kury, i ta okoliczność nastreczyła mu taką ideę: „Przecież jeżeli teraz kura zginie, to każdy rozumny człowiek będzie musiał winę przypisać lisowi“.

Drewniak, zbiedzony przez więzienie i zupełnie wyzuty z reputacyi, pozostawał w nędzy. Czasem, choć złodziej, to i tak jest szczęśliwy; ale on nie był. Ludzie go unikali, strzegli się przed nim, powiadali, że wygląda na coś gorszego jeszcze, niż złodziej. Na szczęście, znalazł on we dworze możność pracy i zarobku: chodził z siekierką do roboty, a był podobno i pilny, i zdatny. Przy tej sposobności przyjrzał się tu Drewniak, jak lis żyje, bo musiał to poznać, jeżeli miał zamiar podszyc się pod lisa, z dawien dawna osławionego bardziej, niż on, jako łapikura. Wszelką inną kradzież, dokonaną we dworze czy na wsi, bez wahania przypisanoby Drewniakowi; ale kradzież kury, kapłona, indyka, perliczki, gęsi bezwarunkowo musiała iść na karb Pompy.

Jakże się ten człowiek przyjemnie zdziwił, gdy jednego dnia przychodzi do dworu z siekierką, pewien, że będzie budował szopę nad kieratem młocarni, a tu mu właśnie powierzają reparacyę ścian i dachów w kurnikach!

— Opatrzność boska nademną — poszepnął i zabrał się do pracy.

Był teraz panem położenia, mógł przygotować drogę dla swoich zamiarów, i tak też postąpił. Jako zręczny cieśla, wstawił na tyłach kurników dwie deski ściany w ten sposób, że ile razy zechciał, mógł je wyjąć i znowu wsunąć, nie pozostawiając najmniejszego śladu. I narazie też korzystał z okoliczności; ponie-

waż pełno kur uwijało się około niego, więc podczas swej pracy, upatrzawszy dobrą chwilę, codziennie jakiejś kurze łeb ukrecał. Szło mu to, jak z płotka.

W nocy zakradał się Drewniak do szkółki drzew owocowych, rozrzucał tam pierze wyskubane ze skradzionej kury, a Pompę odwiązywał i z łańcuchem puszczał na swobodę.

Trapił się Płaski, znajdując codziennie rano lisa blakającego się z łańcuchem między drzewkami i widząc mnóstwo piór kurzych, wyraźnie świadczących, że Pompa, mimo staranne wychowanie, pozostał wier-ny odziedziczonemu od przodków instynktowi rozbójnika. Swoją drogą, trapiła się także w skrytości ducha dozorczyńni drobiu, Orlicka; ale nie podnosiła jeszcze głośnych skarg, gdyż jej chodziło o to, aby nie powiedziano, że jest niedbałą dozorczynią pańskiego mienia. Wolała tym razem rozgłaszać wieści, że panuje zaraza jakaś, pomór na kury.

Kończył już Drewniak reparację kurnika, kiedy Orlicka zwróciła ku niemu podejrzenie; pobudził ją do tego stary Roch, chłop, który zjadł zęby, nosząc nieustannie do obory wywary z gorzelnii lub pomyje z kuchni; on to szepnął jej na ucho:

— Niech jeno pani gospodyni tak z mańki zażyje tego łajdaka! Zajść go dobrze, to on się zmieni albo zaczerwieni; bo musi on, nie kto inny, kradnie dworskie kury.

Orlicka odznaczała się zdolnościami administracyjnymi, ale w małym tylko stopniu posiadała talent sędziego śledczego; zwłaszcza też dla takiego gracza, jak Drewniak, baba była czystą igraszką.

Włożywszy obie ręce pod fartuch, podążyła gospodyni przed kurniki, gdzie Drewniak, siedząc na belce drzewa, jak na koniu, ubrany w pstrokaty kaftan, pracowicie świdrował dziury w deskach. Dobrze wiedział, że gospodyni zmierza ku niemu, odczuwał nawet przez

skórę, o co chodzi; ale udał, że nic nie widzi, nie podniósł nawet głowy: milczał i robił swoje. Orlicka wpatrywała się w niego, mając wyraz twarzy nawpół smutny, nawpół uroczysty. Chłopa korciło to uparte wystawianie nad nim baby, lecz się nie zdradził, udawał nadzwyczajnie zajętego. Komedya taka trwała parę minut; naraz Drewniak podniósł oczy, udał zdziwienie, że widzi gospodynię, i uśmiechając się dobrodusznie, rzekł:

— No, będzie pani miała tera kurniki, kiep forteca! Taki psiadusza, co by stąd chciał porwać kurze piórko, musiałyby to zburzyć do szczętu.

To mówiąc, chłop miał w twarzy tyle szczerości i dobrodusznosci, że się Orlicka stropiła; powaga zniknęła z jej fizygnomii, a pozostał tylko smutek. Westchnęła ciężko, on zaś prawil dalej.

— Dyabli tylko nadali tu we dworze tego lisa!... Oho, na takiego niema sposobu; na dach się bestya wdrapie, pod przycieś się podkopie i, co chce, bierze, jak swoje.

— Lis?... — zapytała gospodyni, jakby nagle oświecona; ale wkrótce pomiarkowała się i rzekła: — Ej, gdzieby miał być lis! Toć on na łańcuchu uwiązany... Ludzki złodziej pewnikiem psotę mi robi.

— A to kury giną pani gospodni? — powiedział Drewniak, odkładając na bok świder. — No, moi ludzie, niedarmo też tyle pierza leży tam w szkółce około tej bestyi!... Oj, uwiązany on, uwiązany! A przez cóż go zawsze rano wiążą? Taki w nocy żelazo przegryzie, byle człowiekowi szkodę zrobić... Włosy na głowie stają, co ta choroba musi po nocy wyrabiać!

Twarz Orlickiej przybrała wyraz oburzenia i zgrozy. Z rękoma pod fartuchem, mocno przejęta zadaniami swego zawodu, podążyła z kolei ku szkółce drzew owocowych. Zastała tam drzwi zamknięte na kłódkę, co zwiększyło jej podejrzenie: szkółka wydała

jej się jakimś tajemniczym przybytkiem zbrodni przez lisa popełnianych na kurach. Przez szpary parkanu zajrzała wewnątrz. Rzeczywiście, oczom gospodyni przedstawiło się istne pobożowisko czy cmentarzysko kurzego gatunku. Wszędzie w nieładzie porozrzucane leżały tu pióra, jedne już przez czas uszkodzone, inne zupełnie świeże, a wszystkie świadczyły o niedawno pomordowanych ptakach.

Pompa właśnie wtedy siedział przed jamą, którą sobie był wykopał, nudząc się na uwięzi. Jednym końcem łańcucha przywiązany był do słupka, drugim do kółka swej obroży.

Piękną kitę ogona rozpostarł za sobą na ziemi, jak pies, przysiadł na tyle ciała, wsparł się na przednich nogach, nastawił ostro zakończone uszy, któremi, zdawało się, chwyta najłżejsze szmery. Bystre jego oczy latały tu i owdzie; długie wąsiki i śpiczasty pyszczek charakteryzowały to zwierzę, stworzone do swobody a pokutujące na łańcuchu.

Nad Pompą latało kilka jaskółek, wydając odgłosy trwogi, takie same, jakie u tych ptaków wywołuje widok kota. Lis ścigał oczyma ich zwinne ruchy; zdawał się tem zabawiać. W oddaleniu, pomiędzy drzewkami, trzepiąc skrzydłami, nurzały się w pyłe wróble, a tu i owdzie widać było żerującą kure.

— Moi ludzie, to psiarstwo przez taki wysoki parkan przelata i samo lisowi lezie w gębę!... Jak tu ma być dobrze na świecie! — rzekła sama do siebie Orlicka, myśląc o kurach, używających przechadzki w szkółce.

Potem radość lisa zwróciła jej uwagę: patrzyła to na niego, to na rozrzucone pióra kurze; nareszcie podniosła rękę i, grożąc nią Pompie, zawołała:

— O, ty przekłety Judaszu, niedarmo ci Pan Jezus dał rude klaki!...

Lis posłyszał te słowa, spojrzał bystro w kierun-

ku, z którego dochodziły, a potem szybko zniknął w norze.

— Łajdak jeden, jak się to kryje, chowa!... Ooo! wie on dobrze, iż ma nieczyste sumienie!...

Drewniak z pod oka zerknął czasem na gospodynię, zdaleka od niego badającą stan rzeczy w szkółce, a złośliwy uśmiech zadowolenia pojawił mu się na ustach.

Kiedy już Orlicka powracała z wyprawy, rozmawiając półgłosem sama z sobą na temat nikczemności lisa, Drewniak odezwał się głośno:

— Jakby tak człowiek kure ukradł, zaraz-by go ciągnęli na sądy, gotowi wsadzić do kryminału; ale takiemu szelmie nic nie mówią!... Oj, sprawiedliwość, sprawiedliwość na świecie!

Słyszała to gospodyni i poczuła w sobie wyrzuty sumienia, że mogła, wobec takich faktów lisiej złości, obwinić bliźniego swego. Ponieważ zaś stary Roch zbudził jej podejrzenia względem Drewniaka, przeto w skrusze swojej postanowiła przy pierwszej-lepszej sposobności rozbić garnek o łeb staremu.

Nic łatwiejszego nie było dla niej, niżeli ślubu tego dopełnić.

Tymczasem przyjaźń między Pompą i Figą bardzo bujnie wyrosła; widać było, że lis tęskni do psa a pies do lisa. Naprzód Figa podchodziła do parkanu, przy którym Pompa był przywiązany, i poprzez szpary odbywały się przyjacielskie pieszczoty czy może zwierzenia. Później już to snadź nie wystarczało do zadowolenia uczuć przyjaźni, gdyż lis przekopał swoją jamę tak, iż drugi jej otwór wychodził na zewnątrz parkanu. Tam leżały kłody drzewa, a Figa pomiędzy nie wchodziła i całymi godzinami przebywała w gościnie u lisa, któremu długość łańcuszka zaledwie pozwalała wysunąć ciało z nory za parkanem. Nareszcie doszło do tego, iż Figa odważyła się wchodzić przez norę do

szkółki. Przyjaźń psa mogła się wydawać interesowną, gdyż Pompa różne niedojedzone kaski zwykle dokoła swej jamy chował: pies je tutaj odgrzebywał i zjadał, podczas czego bywał tak gniewny, że się lisowi zbliżyć do siebie nie pozwalał. Co się tyczy Pompy, temu jak najwyraźniej chodziło o towarzystwo w niewoli.

Orlicka, dokonawszy oględzin w szkółce i nazłorzeczywszy lisowi, złożyła potem raport pani Wyrockiej, która w Pospowie stała na czele całego zarządu tak zwanego domowego gospodarstwa.

W ślad za raportem utworzyła się komisya śledcza, złożona z pani Wyrockiej, z Orlickiej i dwóch dzievek od drobiu — Julki i Bronisi. Cały ten komplet udał się do szkółki drzew owocowych, aby na gruncie sprawdzić istotę występnych czynów Pompy. Dzieci Orlickiej: ośmioletni Józek i pięcioletnia Kasia, wiedzione ciekawością, podażyły ku szkółce. Teraz już formalnie drzwi otwarto i niewieści areopag wszedł wewnątrz.

Jak raz pod tę porę Figa i Pompa, strojąc figle, zabawiały się w najlepsze; ale na widok tak liczного towarzystwa lis natychmiast pierzchnął do nory, a Figa zaczęła oszczekiwać przybyłych.

— Ooo! proszę pani! — zawołała Orlicka. — Ta psina na nic się popsuje przy takim szelmie: nauczy się kury dusić — i koniec...

Gniewnym wzrokiem spojrzała pani Wyrocka na Figę, jakby jej wyrzucać chciała obcowanie z niemoalnym zwierzęciem; potem zwróciła się do Józka i rzekła:

— Zaraz mi tego psa stąd wygoń!

Józkowi w to graj! Pochwycił długą tykę i począł nią okładać Figę; pies, gnany bólem i strachem, wpadł w lisią jamę. Józek posunął swą gorliwość daleko i w norze żgał Figę kijem. Zdaje się, że to spowodowało zerwanie przyjacielskich stosunków między psem a lisem, bo z jamy dało się słyszeć warczenie

i charkanie, a potem najwyraźniejsze odgłosy walki, z czego się dzieci bardzo cieszyły.

Orlicka podnosiła z ziemi jedno kurze pióro po drugim, pokazywała je pani Wyrockiej i mówiła:

— Oto jest, proszę pani, pierze akurat z tej przelicznej czubatej kokoszki — niebożátko moje!... A to znowu z tamtej białej bez ogona, co to najlepiej jaja niosła... Ooo! tu się poniewierają pióra z koguta kałakuta! Mój Boże, taki kogut!...

— Jezusie Nazareński, dziób z kapłona! — wykrzyknęła Julisia, podnosząc coś z ziemi.

Eee! durnico jakaś! To przecie kawałek gwoździa! — ofuknęła gospodyni, troskliwie obejrzawszy rzecz przez Julisję znaną.

Drewniak nie spuszczał oka ze wszystkiego, co się działo. Widząc, iż cały proces o kury zwrócono przeciw lisowi, stanął na pniaku i z pod kurnika patrzył, co się dzieje w szkółce drzew owocowych. Wtem ktoś go trącił: spojrzał za siebie i spostrzegł starego Rocha, który grożąc mu palcem na nosie, mruknął:

— Oj, łaska boska nad tobą, człowieku, że to wszystko poszło na babskie sądy! A niech ta! czy to moje?... Dowodziłem przecie, że nie lis kury kradnie, i ta jędza Orlicka garnek mi o łeb rozbiła. Bodaj jej jeszcze i gęsi, i kaczki wykradli!...

Pani Wyrocka, bardzo zgorzozona tem wszystkim, co widziała i słyszała, śpieszyła teraz, aby wrzeń swych udzielić panu rządcy, u którego też chciała znaleźć i radę na złe przez lisa wyrządzane. Atoli pana rządcy nie było w domu, i spotkała tylko ekonoma Wątróbskiego, który w długich butach i z kosturem w rękę przechadzał się po gospodarskiem obejściu. Ten, widząc idącą panią Wyrocką, zdjął czapkę i rzekł:

— Kłaniam się uniżenie pańskiej osobie!

— Panie Wątróbski, gdzie jest pan rządcą? — pytała Wyrocka, aż blada ze wzruszenia i frasunku

— Pan rządca zaś wyjechał za interesami, powróci dopiero w nocy; bo to niby dziś sprawa o to siano... Prawdę mówiąc, każdy zaś żyć musi, a tu się niby dziwią, że siano ukradli. Ale, z przeproszeniem pańskiej osoby, może zaś co jest do rozkazania, to się i bez rządcy skuteczni?... Czy się aby we dworze która dziewczka zaś nie zbuntowała: to my jej tu zaraz kole tego, panie dobrodzieju... Ale bez świadków, bez świadków! Przy tych sądach niby niech rany boskie bronią! Niby bez świadków, na osobności wszystko zaś można... Pamięta pańska osoba tę Jeżankę? Bez świadków zaś... i kwita.

— Nie, nie, wcale mi nie o dziewczki chodzi.

— A to chwalić Boga, że się ustatkowały!... Jeżeliby chłop, proszę łaski pańskiej osoby, to mnie zaś wszystko jedno. A jakże, zaraz na osobności bez świadków, i dalej go! Ho, ho! nie jestem ja z tych ekonomów, co to niby naród psują! Powiem pańskiej osobie zaś pod sekretem, że tu w Pospowie sam pan dziedzic wszystkiemu winien. Co to zaś dzisiaj z chłopem gładko? Można gładko, ale niby kijem... Taki Gotuj na przykład, huncwot, skórę zdjąć z niego! Czy to pańska osoba zaś nie wie, że u niego tylko „ścierwo“ w gębie?...

— Ależ, panie Wątróbski, ja się wcale nie skarżę na ludzi: jeszcze oni nie są tacy źli.

— Jak zaś nie na ludzi, to, z przeproszeniem pańskiej osoby, pewno o tego buhaja chodzi. Nie mówię ja — kto widział takiego Tatara w oborze trzymać? Podarł zaś wczoraj jednej dójce znowu spódnice... A no, świeżo niby do służby przyszła, myślała, że to krowa dojna, tak on ją też... Tu u nas potrzebny byczek łagodny...

— Panie Wątróbski! Mnie lis kury wyjada z kurnika. Radźcie co na to, bo wszystek drób przepadnie

— Lis? lis?... Oho! tego już zaś zawiele! A to proszę pańskiej osoby, w łeb go, i basta!

— Owszem, nic nie mam przeciw temu, bo o kury chodzi; ale ten lis należy do pana Płaskiego... Delikatna sprawa.

— Wiem zaś, wiem!... Pan Płaski chodzi nieraz z panem dziedzicem niby po ogrodzie, albo zaś do obiadu siada, czy do herbaty: mógłby powiedzieć: „Wątróbski niby do niczego“, — oni to umieją! Parle franse, parle franse, a potem zaś od świętego Jana szukaj posady. Czy to teraz niby łatwo znaleźć? Łatwo zaś było panu rządce przeflancować mnie z tamtego folwarku na drugi, wszystko zaś o te kartofle, co niby nie wedle kontraktu... Jak Boga kocham, zasadziłem je niby w środku między dworskim prosem. Kto mógł pomyśleć zaś, że to szelmstwo wyrośnie jeszcze wyżej prosa? No, i spostrzegli niby... Nie mieli spostrzedz, kiedy kartofle, jak konie! Potem krzyku tyle, co te kartofle nie warte, i zaraz — flanc! na inny folwark. Ale ja i tu nie zgine.

— Mówże pan, co zrobić z tym przeklętym lisem?

— Ja powiadam pańskiej osobie, że niby w łeb, i basta. Zaś żeby z tego nie było znowu jakiego flancowania, jak z tamtych kartofli, to na osobności, bez świadków, cicho, sza!...

— Ej, nie! Trzeba pana Płaskiego uprzedzić, powiedzieć mu o wszystkim. Możebyś pan, panie Wątróbski, opowiedział mu, jak się rzeczy mają.

— Ja zaś zawsze do usług pańskiej osoby... Pańska osoba tam niby koło wielkiego ołtarza, to jak zaś przyjdzie co do czego — mogą znowu przeflancować na inny folwark — niech pańska osoba raczy wyrazić swe zdanie... Nieznacznie tak o Wątróbskim co pisać! Bo po co zaś flanca? Tylko się graty człowiekowi poniewierają na darmo... Szczęśliwego zdrowia pańskiej osobie!

I Wątróbski, rad z powierzonego sobie posłannictwa, udał się do Płaskiego.

— Ściele się do stópek pańskiej osoby! — rzekł ekonom, wchodząc.

— Proszę siadać, panie Wątróbski; bardzo mi przyjemnie, — powiedział Płaski, wysuwając krzesło. — Może papierosika?

— Z przeproszeniem pańskiej osoby, przy naszych sądach, na osobności, bez świadków wszystko zaś można. Powiada mi pewnego razu na ten przykład pani Wyrocka: „Panie Wątróbski, Hanka pyskuje“! A no, zaraz-em ją, tak samo, jak i Frankę. O, bo ja nie jestem z tych ekonomów, co to zaś naród psują!... Pańska osoba tam bliżej wielkiego ołtarza, to niby nie zawadzi wiedzieć. Często - gęsto może się zgadać coś z panem dziedzicem... Raz mię już przecie przeflancowali z tamtego folwarku zaś o te kartofle... Pańska osoba pewnie niby dobrze wie, o co poszło. Jak Boga kocham, żebym tak jutra nie doczekał, nowiutka szafa na nic poszła przy tej niby przeprowadzce... Myślałem, że mi moja kobieta łeb za to do reszty oskubie. Chwała Bogu, skończyło się! Ja zaś i tu nie zginę...

— Kto pracuje uczciwie, ten wszędzie znajdzie kawałek chleba, — wtrącił Płaski, chcąc odwrócić rozmowę i dowiedzieć się, po co mianowicie przybył do niego Wątróbski.

Poskutkowało to rzeczywiście, bo ekonom stracił wątek i przypomniał sobie cel swego poselstwa. Po chwili milczenia tak się odezwał:

— Ja przyszedłem tu zaś do pańskiej osoby w delikatnej materii... Nie od siebie, broń Boże, choć niby mógłbym też z urzędu: jako wiadomo, że złodziej przy domu niekoniecznie jest w porządku...

— No, no, cóż takiego? Czy na mnie jakie podejrzenie? Nie poczuwam się przecież do niczego, — mówił Płaski, uśmiechając się żartobliwie.

— Z przeproszeniem pańskiej osoby, dnia dzisiejszego nie ukradnie taki, co nie potrzebuje... Ale przy naszych sądach, jak są świadkowie, trudno się wypierać! Wyrocka stanie, jak nic. Orlicka, i ta stanie, a zaś dwie dziewczki od drobiu, choć to niby tłuki... Myśli pańska osoba, że taki sąd zaś na to pyta? Gdzietam! Wierzy zaś lada popychadłu, myjakowi, i kwita. Pod sekretem pańskiej osoby powiem: baba, choćby, na ten przykład, niby i pani Wyrocka, najgorsza zaś w sądzie na świadka... Wszystko wymiele językiem.

— Więc widać jestem o coś obwiniony?

— A zaś o tego lisa niby! Niechby on babom na wsi kury zjadał — oo! A tu we dworze szelmstwo!...

— Lis, ach lis mój! Więc to o niego chodzi, o Pompe?... Prawdziwie, mam rzetelny kłopot! Wyobraź pan sobie: zawsze go wiąże co ranek, a on się z łańcucha zawsze spuszcza, i to tylko w nocy. Nie mogę pojąć, jakim sposobem?

— To ja powiem pańskiej osobie, że takie zwierzę niedarmo się lisem nazywa! Oho! lis zaś wszystko potrafi!

— Żal mi go zabić, bo się do mnie przywiązał; no, i nie dlatego przecie go wychowałem, żeby zabijać. Ja nie widzę w zwierzęciu nieprzyjaciela człowieka. Cóż ono winno, że jest wierne swej tradycji, że dba o zachowanie gatunku? Powiedz sam, panie Wątróbski!

— Jakem tu zaś szedł, to samo myślałem... Delikatna materya, jak Boga kocham, delikatna! Proszę pańskiej osoby, ja nie jestem zaś taki, jak się niby zdaje. W klasach byłem, a koledzy moi — ho, ho! Cóż, kiedy z chamami ma się ciągle do czynienia! i człowiek idzie na nic. Moja żona zaś familiantka. Może pańska osoba słyszała o Hipolicie Gawronowiczu? To zaś rodzony brat mojej żony, jak Boga kocham!

— Panie Wątróbski, dla mnie wszyscy ludzie są równi.

— O włos zaś tego nie powiedziałem pani Wyrockiej.

— Ale co tu zrobić z lisem? Jeszcze, jak na nieszczęście, za parę dni muszę koniecznie jechać do Warszawy na czas dłuższy.

— Juści, jak go pańska osoba nie chce zabić, to chyba zaś puścić. Tylko niby chodzi o to, żeby sobie poszedł stąd daleko i nie wrócił. Temu-bym zaś już zaradził... Potrzeba mu tylko przysolić w sempiterne kilkanaście batogów na drogę. Oj, gnałby dopiero! Ani by się obejrzał na Pospów i kurnik, i wszystkiego by mu się zaś odechciało. A ja ciętą mam rękę niby, jak Boga Kocham!

— Wiesz pan, że dobra rada. Ponieważ Pompy zabić nie mogę, więc go puszczę na wolność.

— Niech mi jeno pańską osobą zawierzy, że puszczenie bez basarunku nic zaś nie warte. Lis wróci i jeszcze lepiej będzie psocił, bo szelma przewąchał, gdzie co jest.

Po tej rozmowie i naradzie Wątróbski pożegnał się nareszcie z Płaskim i odszedł do swoich zajęć.

Nie było co zwlekać: Płaski postanowił nazajutrz już obdarzyć Pompe wolnością. W tym celu poszedł rano do szkółki, gdzie znowu zastał lisa wałęsającego się z łańcuchem u szyi, od strony zaś kurników dawały się słyszeć rozgłosne złorzeczenia Orlickiej, ponieważ tej nocy zginał duży indyk, istna chwała kurnika, i para pięknych kapłonów.

— Bodajeś ty, potępieńcze, z piekła nie wyrza! — wołała rozżalona aż do nieprzytomności Orlicka. — Na tom ja się, nieszczęśliwa kobieta, tyle lat na pracowała przy drobiu, żeby mi wkońcu wszystko szło na marnie!

— Pięć rubli, jak nic, daliby za tyłośnego indora, a ta psia dusza zeżarł bez niczego! — dogadywała Julisia.

— Albo i te kapłony, moja pani gospodyni, toć rychtyk wczoraj je macałam: tłusciutki takie były, prawie na stół! — powiedziała Bronka.

— Toćże mi już nie dogadujcie, nie przyczyniajcie żalości, bo i tak z żalu o kęs nie pękne! — lamentowała strapiona gospodyni. — Cóż ja na to pocznę, nie-boga?...

Z pod kurnika niektóre tylko wykrzyki dolatywały do szkółki drzew owocowych, ale Płaski i tak wszystkiego się domyślał i doświadczał niepokoju sumienia, że oto z powodu nedorzecznego upodobania sprawia bliznim tyle przykrości. Więc, przejęty temi uczuciami, zbliżył się do Pompy, aby go pochwycić, zdjąć z niego łańcuch i wypędzić szkodnika na cztery wiatry.

Wesołem spojrzeniem powitał Pompa swego opiekuna, radośnie merdał ogonem i miał fizyognomię zupełnie niewinnego zwierzęcia. Z łatwością pozwolił się pojmać i prowadzić. Ale kiedy mu już Płaski miał odczepić od obroży łańcuch, czyjs głos dał się słyszeć poza parkanem. Był to Icek, syn Szai, przynoszący według umowy pół funta mięsa dla lisa.

— Dobrze, bardzo dobrze! — rzekł Płaski, zwracając się do żyda. — Ostatnie jeszcze pożywienie na drogę odbierze z mojej ręki. — a półgłosem dodał: — Zwierzęta mogą nabrać przekonania, że człowiek, jeśli tylko chce, jest lepszy, aniżeli przyroda.

Potem odebrał od Icka mięso, zapłacił za nie i oświadczył, że odtąd usług tego rodzaju nie będzie już potrzebował.

— Nu, a co wielmożny pan chce zrobić z tym lis? — zapytał żydek.

— Wypuszczę go dzisiaj na swobodę, daję mu wolność.

— Wolność? On pójdzie do las?... Aj waj, co to za interes? On tyle mięsa zjadł!... Niech wielmożny pan powie Gotuj, coby jemu skórę zdjął: ja kupię.

— O nie, nie! — zawołał Płaski. — Niech idzie do boru; natura skończy jego wychowanie.

— Co to jest natura? Ona jemu mięsa nie kupowała, po co on ma iść do niej?

Warcząc i zębami zgrzytając, pochwycił lis mięso z ręki opiekuna; szarpał je, rozrywał i chciwie pożerał.

— Nic a nic nie rozumiem, co to znaczy? — mówił Płaski półgłosem. — Gdyby Pompa przez całą noc zajała kury, nie miałby przecież teraz apetytu; dobrze wiem, że nie jest zbyt żarłoczny... Ha, kto wie? być może, iż przez wrodzoną drapieżność dusi ptaki i gdzieś je zakopuje.

Lis dokończył uczty; dla pozostałych resztek powygrzebywał doły i pyszczkiem ponarzucał na nie ziemi.

Około parkanu szkółki zgromadziło się dużo ludzi pći obojej, ponieważ Wątróbska temu i owemu już była opowiedziała, że odbędzie się widowisko wypuszczenia lisa na wolność.

Nareszcie, wiedziony na łańcuchu, Pompa ukazał się na obszernym placu, otoczonym budynkami gospodarskimi. Tłum wydał okrzyk, a Płaski ustawił lisa nawprost wielkiej wjazdowej bramy, wiodącej do lasu. Jeszcze kilka razy pogłaskał ręką wychowanka, a potem odczepił łańcuch i przytrzymując kółko obróżki, chciał chwilę jakąś mieć lisa przy sobie. Ale zbiegowisko ciekawych rosło, a Pompa bał się niezmiernie wszelkiego tłumu. I teraz, wystraszony, rzucał się na wszystkie strony, wreszcie się wyrwał i biegł w kierunku bramy.

— Oooo! oooo! — huknęły zewsząd okrzyki, co lisa przejęło jeszcze większym strachem. Machnął kitą i jął uchodzić w podskokach.

Ale w tej samej chwili na drodze lisa ukazał się Józek z Kasią; dzieci te śpieszyły także na widowisko. Stropił się lis, skreślił w bok i wpadł do otwartej ow-

czarni. Tłum ciekawych pobiegł za nim z wrzawą. Wypędzono Pompe z owczarni i pognano go w kierunku stodoły, gdzie właśnie Drwniak, ukończywszy już robotę przy kurnikach, zabierał się do naprawiania szopy nad kieratem młocarni.

Na czele tłumu, ścigającego Pompe, pędził ogrodniczek Kosmał, trzymając w ręku rydel, którym widocznie chciał lisa ugodzić. Nadaremnie Płaski nadbiegając zdaleka, wołał: — „Dajcież mu pokój, nie płoszczcie!“ — Nikt tego głosu nie słuchał.

Pompa, przestraszony wrzaskami, wpadł pod kierat, i tu już, już dopadał do niego Kosmał ze wzniesionym rydlem, kiedy Drewniak skoczył nagle, chwycił ogrodniczka za kark i powalił na ziemię, z temi słowy:

— A ty łajdaku, nie słyszysz, jak wołają, żeby dać pokój? Lis przecież jest tak samo boskie stworzenie, jak i człowiek.

Ta okoliczność sprawiła, że cały tłum się zatrzymał. Pompa przez krótką chwilę wytchnął nieco, potem zawrócił i uszedł do lasu.

Płaski zbliżył się do Drewniaka, a ofiarując mu parę złotych, tak przemówił:

— Dziękuję wam szczerze za dobre serce dla zwierzęcia: postąpiliście szlachetnie! Kto zwierzę przed krzywdą zasłania, ten niezawodnie kocha swoich bliźnich.

Chłop wziął pieniądze, skłonił się, a zdziwiony tłum nie wiedział, co ma o tem wszystkim myśleć. Jak raz podówczas stary Roch szedł z cebrem pomyj od kuchni do obory. Tego człowieka, zdawało się, nie obchodzić na świecie. Bez żadnej ciekawości, na nic nigdy nie zwracając uwagi, z twarzą surową, pomarszczoną, chodził on ze swoim cebrzykiem, jak machina, tam i napowrót. Ale dzisiaj go zastanowił ten zgilek, ten ruch ludzi niezwykle: postawił ceber, podszedł i patrzył. Widząc czyn Drewniaka i wynagro-

dzenie go za ocalenie lisa, potrzęsął głową, a potem sam do siebie rzekł:

— Znam ja go, ptaszka, to koronny złodziej! Uratował lisa, żeby sam mógł kury kraść dalej. Za to mu zapłacili... Ha, miłosiernemu Bogu tak się podobą! Cóż robić?

Westchnął, wziął cebrzyk i poszedł dalej.

Na drugi dzień, około godziny dziesiątej, dano znać Płaskiemu, że lis jest w ogrodzie i od klombu skrada się ku dworowi. Wybiegł więc Płaski czempredzej, zaczął gwizdać i nawoływać: „Pompa tu, Pompa tu!”

Na to wołanie z klombu wypadła naprzód Figa, a za nią—lis: położył się brzuchem na ziemi, stulił uszy, merdał ogonem, i tak witał swego opiekuna. Płaski postarał się niebawem o odpowiednie pożywienie, uczęstował lisa, który przybył w odwiedziny, i pozostawił go na noc w ogrodzie.

Ale na drugi dzień rano zrobił się ogromny rejwach: pod kurnikami Orlicka kłęła i lamentowała w towarzystwie dwóch dziewczek; brakło jej bowiem dwóch perliczek, jednej gęsi i jednej indyczki. Około południa przybiegł ogrodniczek Kosmał, dając znać gospodyni, że w ogrodzie po klombach i około kanału pełno pierza z pomordowanych ptaków.

Zawziętość przeciw lisowi doszła do ostateczności. Kosmał przysiągł na Sakrament, że lisa „spatrzy i uśmierci”. Ażeby go umocnić w tak chwalebnem postanowieniu, Orlicka dała mu do chleba gomułkę sera, ku niemałej zazdrości wszystkich będących na trzecim stole.

Bał się już teraz Płaski wychylić z domu głowę, aby go nie spotkały bezpośrednie a słuszne zresztą wyrzuty pani Wyrockiej lub gospodyni Orlickiej.

W walce uczucia, to jest przywiązania dla Pompy, i wyrzutów sumienia z powodu niecných czynów zwierzęcia, pośpieszył Płaski do ogrodu, odszukał lisa, tuła-

jącego się po gąszczach, chwycił go za kółko obrózki przeciągnął przez nie mocny sznurek i wyprowadził do odległego boru. Tam go puścił i ploszył, bijąc laską o drzewa, klaszcząc w dłonie. Lis puścił się cwałem i znikł w lesie.

— Ach, nareszcie raz wszystko się już skończyć musi! — myślał Płaski, wracając do domu.

Rzeczywiście na drugi dzień kradzieży w kurnikach nie było, a umysły uspokoiły się nieco. Opowiadano tylko, że Kosmał, namówiony przez Orlicką, całą noc czatował pod kurnikami w nadziei, że lisa przyłapie na gorącym uczynku i zabije. Jednakże lis nie przybył.

Rzecz dziwna, iż od samego początku nikt sobie nie zdawał sprawy z tego, którędy to mianowicie lis wchodził do kurnika. Jeden tylko Roch zwrócił uwagę na tę okoliczność, lecz Orlicka i dziewczki w zapamiętałości swej poczytały to staremu za chęć uniewinnienia lisa.

I drugą całą noc czatował pod kurnikami Kosmał, uzbrojony w rydel; wtedy także nic nie zginęło z drobiu; wydało się tylko ogrodniczkowi, że przeszło coś podobnego do człowieka. Postanowił czuwać jeszcze trzeciej nocy, lecz był znużony i zasnął bardzo twardo. Rano znalazły go dziewczki śpiącego w najlepszej; leżał okryty cały pierzem z kur i kaczek, a co większa, skradziono mu rydel. W niektórych głowach powstało na tej zasadzie podejrzenie, że ogrodniczek jest prawdopodobnym złodziejem. Owej trzeciej nocy skradziono z kurnika trzy kury i dwie kaczki; ale już wszyscy się obyli z takimi stratami i odczuwano je już w małym stopniu.

Powyższe zdarzenie napędziło Kosmałowi takiego strachu, że już wcale nie myślał o obronie kurnika podczas nocy. Za to pan rządca w bardzo energicznych

słowach polecił stróżowi nocnemu nadzór kurników, mówiąc:

— Słuchaj- no Karpiński, wszystko, co w nocy z kurnika zginie, ja ci nazajutrz wykarbuję na skórce!

— A, proszę wielmożnego pana, poradzę ja to takiemu zatraconemu, jak on lis? Ludzie gadają, co jego nie widzi, kiej się skrada.

— Głupiś! Niema gadania! Lis nie lis — wszystko jedno, a z kurnika nic zginąć nie może... I nie zginie, jeżeli nie uśniesz, mazgaju!

Istotnie, jakby ręką odjął, kradzieże w kurniku ustały.

Wszyscy przypisywali to wyprawieniu Pompy w las za dziesiąte pole.

— Chwała Bogu, — mówiła pani Wyrocka, — że przepadł gdzieś ten potwór. Już cztery dni przeszły. i ani janko nie zginęło.

Jednakże Płaski przed wyjazdem z Pospowa chciał się dobrze upewnić, że lis nie powróci już z lasu, a może trochę i tęsknił do swego wychowanka. Udał się zatem do boru, chodził tu i owdzie, gwizdał, wołał: „Pompa tu!” — Przez długi czas wołanie to było bezskuteczne, co też Płaskiego pocieszało; mniemał, iż lisowi dobrze jest w lesie, zdziczał zapewne, skoro nie wraca między ludzi. Wtem naraz zaszeleściły krzaki jałowcu i na małym piaszczystym wzgórzu ukazał się Pompa. Ubrany w obrózkę, przysiadł na tylnych nogach, oparł się na przednich i bystreimi oczyma rzucił na wszystkie strony.

— Pompa, toś ty tu?... Biedny Pompuś, nie znalazł sobie w lesie przyjaciół — mówił Płaski.

A lis natychmiast położył się na brzuchu, i czołgając się jakby jaszczurka, zeszedł do stóp swego wychowawcy; zupełnie, jak pies, się lasił i wydawał głos piskliwy. Z kwadrans trwały pieszczoty zwierzęcia z człowiekiem, poczem Płaski wracał do domu, a lis

za nim postępował. Ale w dębinie, gdzie się znajduje pasieka, Pompa przystanął, nie chciał iść dalej. Tutaj przyniósł mu Płaski pożywienie, które lis z chciwością pożarł.

Opowiadano nazajutrz, że Pompa z lasu powrócił, że noc przepędził w budzie z Figą, gdyż go o świtanu różni ludzie widzieli, jak stamtąd wyszedł i zapuścił się w głąb ogrodu. Z kurnika jednakże nic nie zginęło.

Nareszcie Płaski musiał wyjechać do Warszawy.

Jest w Pospowie piękny ogród, otoczony od strony Buga wysokim ostrokołem. Do tego ogrodu przylegają z jednej strony chaty wiejskie, a z dwóch stron innych ciągną się błonia z kępami wikliny, wśród których tu i owdzie w oddaleniu widnieje jezioro. Wody rzeki naniosły tam w czasie wylewów żwiru, piasku, kamieni, co uczyniło tę miejscowość nieprzydatną na pastwisko dla bydła. Tylko zając czasem przycupnie w tej pustce, zerwie się z krzykiem małej kuli, mewa przeleci ponad jeziorem. Ale poprzez piaski wiejskie gęsi i kaczki wydeptały sobie drogę do jeziora, i one jedne jako-tako ożywiają ową odludną ustron.

Zieleniejące bujne trawy ogrodu stanowią uderzający kontrast z tem piaszczystym otoczeniem. Podobnie, jak gęsi i kaczki śpieszą ze wsi na jezioro, położone wśród wiklin i piasków, tak znowu kury wiejskie, ku strapieniu ogrodnika, nieustannie się przedostają do ogrodu.

Pompa osiedlił się teraz w ogrodzie, mianowicie w tej jego części, która stanowi rodzaj parku i graniczy z piaszczystymi wydmi. Miał on tu do rozporządzenia dużo przestrzeni, bo w wielu miejscach uszkodzony częstokół nie przeszkadzał mu wydostawać się na zewnątrz i robić wycieczek aż do samego Buga. Nie był tu lis samotnikiem, gdyż i Figa dobrowolnie skazała się na dzielenie z nim tego wygna-

nia. Młodej parze wcale byłoby tu nieźle, gdyby jeszcze jeść co było. Jak zobaczymy, znalazła się i na to rada.

Z wyjazdem Płaskiego lis utracił opiekuna, przyjaciela i żywiciela, sam więc musiał myśleć o sobie, jeśli nie chciał umrzeć śmiercią głodową. Przebywanie w ogrodzie kur wiejskich wnet go nauczyło, co ma robić, a Figa i pod tym względem okazała się wierną pomocniczką.

Pewnego dnia, coś w końcu września, przed samym wieczorem, Orlicka poleciła Julisi iść do pana rządcy i zażądać człowieka, któryby w ogrodzie nakosił trawy dla krów do doju. Pan rządcą, sprężysty agronom, zawsze dosyć krzywo patrzył na całe „babskie” — jak je zwał — gospodarstwo, więc i teraz oświadczył, że ma ludzi dla swoich wyższych celów i nie może nimi szafować, gdy tego zażąda pierwszy-lepszy. W rodzaju zaś rady dodał:

— Jeżeli gospodyni chce mieć trawę dla krów, to niech jej każe nakosić takim próżniakom, włóczykiom, jak Roch i Gotuj.

Uzbrojono zatem Rocha, jako też Gotuja, w kosy i dano im polecenie, ażeby w parku wysiekli różne nie-
tknięte dotąd trawniki. Gotuj, biorąc do ręki kosę, według zwyczaju zaklął: „ścierwo”!

— Nie możesz się, kondlu, przeżegnać, zamiast przeklinać! — krzyknął Roch, wyciągając rękę do ucha Gotuja.

Ale Gotuj jeszcze raz powiedział: „ścierwo”, i poszli kosić.

Słońce miało się ku zachodowi. Po trawnikach chodziły kury, z których jedne trzymały się w gromadzie z kogutem, inne w pojedynkę błądziły około klombów.

Roch wskazał Gotujowi, co ma robić, potem się kosą zamierzył i zaczął kosić.

Naraz, w oddaleniu od kosiarzy, z jakiegoś klombu wybiegła Figa, upatrzyła sobie jedną kurę i pogoniła za nią rączo. Kura pędziła ku otworowi w parkanie, przez który była weszła do ogrodu, ale tam właśnie, przyczajony niepostrzeżenie, czatował Pompa, pochwycił kurę w mgnieniu oka i czempredziej uchodził w wiklinę poza ogrodem. Zaledwie przysiadł ze swym łupem, Figa już przy nim była, i jako silniejsza, kurę mu z przed nosa zabrała.

W tejże samej chwili nagle powstał z ziemi chłop z kijem i huknął na psa: „A nie rusz!”

Przestraszona Figa porzuciła uduszoną kurę i na bok odeszła, a opodal stał Pompa. Drewniak — on to był bowiem — wyciągnął rękę, podał psu kawałek chleba, pogłaskał go, mówiąc „Dobry piesek, dobry”; a potem ukręcił łeb kurze i rzucił go lisowi, który żer chciwie schrupał.

W jakie dwadzieścia minut powtórzyła się ta sama scena.

Kiedy Figa ścigała trzecią kurę, spostrzegł ją Gotuj, i wyciągając ku niej palec, rzekł: „Ścierwo”. Roch spojrział, złożył kosę, podszedł bliżej i widział naganianie kury ku parkanowi, potem słyszał jej skrzeczenie, gdy ją dusił Pompa, a nareszcie poprzez szpary ostrokołu tylko migał w oczach jego rudy lis, uchodzący z kurą w zębach. Jednakże nie widział on tego, co się działo później jeszcze w wiklinie. Powróciwszy do košby, Roch kręcił głową i mówił:

— No, no, aniby mi przez głowę nie przeszło, żeby drugie zwierzę kradło lepiej, niż człowiek! A ja precz myślałem, że to Drewniak... Może ta i ten kozuch nie on mi ukradł? Taki kozuch! Z dwóch lat zasługi poszły, jak w błoto... Pięć lat już temu będzie! Oj, nie myśleć mi o drugim kozuchu!... Umrę tak w łachach.

Westchnął i w głębi duszy uczuł wyrzuty sumie-

nia, że posadził Drewniaka o kradzież w kurniku. Roch był człowiekiem pobożnym i co miesiąc chodził do spowiedzi.

Jakże się Drewniak zdziwił, kiedy pewnego rana Roch mu zaszedł drogę i tak przemówił:

— Nie gniewajcie się na mnie, Michale, za posadek o te kury z kurnika. Widzę teraz, co niesprawiedliwie było. A no, zgrzeszyłem, jako miłosierny Pan Bóg każe za takie rzeczy pokutować, to się też jutro na świętej spowiedzi przed księdzem oczyszczę... Może to i on kożuch nie na waszem sumieniu ciąży, a mnie, już szósty rok będzie, sroga żalność o to trapi. Darujcie mi posadek. Jużci lis, nie kto inny, zła z kurami nabroił, a ja, głupi stary, wszystkom na człowieczą duszę złożył.

Wyciągnął rękę, a Drewniak ją ścisnął, pocałował się z Rochem i rzekł:

— Kiedy zgoda, to zgoda! Nie mam do was żalu, tylo drugi raz miejcie zastanowienie, jak co będziecie gadali.

Roch odszedł, a Drewniak, spoglądając za starym z drwiącym uśmiechem, mruknął:

— Oj, stary durniu! I pocóż tyle lat żyłeś na świecie?... Lepiej ja trzymałem o twoim rozumie, ale teraz widzę, żeś taki sam, jak inni.

Odtąd stary Roch uważał sobie na święty obowiązek nie tylko opowiadać o zbrodniczych postępках lisa, lecz także, o ile-by mógł, godzić na jego życie.

Teraz dopiero baby na wsi poczęły lamentować; bardziej jeszcze, aniżeli przedtem, lamentowała Orliczka we dworze. Były takie, którym żadna kura nie zginęła, a i te się skarżyły, wyprawiały wrzaski. To wzburzenie umysłów płci żeńskiej udzieliło się mężom, braciom i synom niewiast poszkodowanych w kurach.

Pod dowództwem przeto Kosmala, któremu głównie chodziło o zdobycie lisa, uorganizowała się wal-

na obława na Pompe. Wielu starszych i młodszych zebrało się jednego dnia po południu w owej odległej części ogrodu, którą sobie lis obrał za siedzibę. Obstawiono wkoło ostrokół, czatowano przy dziurach. Niektórzy przynieśli z sobą motyki, inni rydle, cepy, kije. To najdziwniejsza, że na te łowy przybył także Drewniak, niosąc ogromne żelazne widły i okazując nadzwyczajny zapał, — co, razem wzięte, zwracało uwagę wszystkich. Zguba Pompy wydawała się już nieuchronną.

Ale rzesza zwróciła się głównie ku wielkim kępom zarośli, kiedy tymczasem lis wymknął się z pod nieznacznego krzaczka i wpadł między nogi małemu chłopakowi, nim się ten spostrzegł, i szedł prosto na Drewniaka, który go widłami spłoszył i wypędził poza krąg obławy, w drugi koniec ogrodu. Stąd Pompa niezwykłymi już drogami, bo przez inspekta, bokami uszedł w wiklinę.

Za to z innego klombu wypłoszono Figę; ten i ów zaczął psa okładać kijem, jako współnika lisich zbrodni. Lud w mściwości swojej możeby się był nawet dopuścił na Fidze morderstwa, ale Drewniak w porę wystąpił z uwagą, że to jest pies dworski i wolno mu przebywać w dworskim ogrodzie. Zaraz też potem niektórzy legalniejsi poczęli dowodzić, że wogóle cała ta obława na gruncie dziedzica sprzeciwia się prawu, ponieważ dziedzic nigdy nie poluje na ich gruntach.

Myśl, że z tego wszystkiego może być sprawa w sądzie, rozproszyła łowców.

Tak się skończyło wielkie polowanie na potwora, który w Pospowie czynił spustoszenia. Jeszcze potem Kosmał na własną rękę parę razy zasadzał się z rydlem, lecz Pompa, raz już zrażony przez zbiegowisko ludzi na obławę, unikał odtąd ogrodu.

Obrał on sobie siedlisko w pobliżu jeziora, wśród

wonnej wikliny i topoliny, gdzie sobie nawet wykopał norę. Przed tą norą siedział lub leżał, wpatrując się całymi dniami w stada pływających gęsi i kaczek. Dopiero wieczorem, kiedy ptaki, syte kąpieli i żeru, powracały do wsi, Pompa zachodził im drogę, porrywał, co się z brzegu nadarzyło, i unosił.

Drewniak i tym razem nie dał za wygraną. Po tropach na piasku odszukał schronienie oswojonego lisa, sprowadził mu tutaj ze dworu Figę, i jak poprzednio kury, tak samo zbierał teraz upolowane kaczki lub gęsi. Pompa, w nagrodę za trudy i za przyjęcie na siebie całej winy, dostawał lby ptaków. W wiklinach znowu pełno było teraz gęsiego i kaczego pierza.

Ledwie więc przestały ginąć kury, przyszła kolej na kaczki i gęsi.

Baby zwracały się do mężów i synów, bo nieustannie potrzeba było jakiego Tezeusza, coby oswoodził Pospów od potwora. Ale płeć męska umiała tylko złorzeczyć, tak samo, jak żeńska, a męża zdolnego do czynu brakło. Wickowa, żona dworskiego parobka, odbierała od męża plagi za każdą przepadłą sztukę drobiu. Trzymała więc kury w chałupie pod kominem, a gęsi i kaczki pod łóżkiem; ponieważ ich jednak nie miała czem karmić, przeto ptaki zdychały. I za to Wicek tłukł babę. Marcinowa znowu, żona owczarza, której aż pięć kur zginęło, odbijała każdą klęskę na mężu.

Obie te kobiety zeszły się jednego dnia w środku wsi na drodze.

— Radźcie co, kumo! — zawołała Wickowa — bo już nie do wytrzymania. Jak tak dłużej będzie, to mój chyba duszę ze mnie wytrzęsie.

— No, widzicie! Wasz choć was biją, a mój psia para, to mruk taki, że go raz, drugi trzasnę — on nic... W łeb go patykiem grzmotnę, myślę, że się zerwie,, albo co, a on się tylko poprawi i siedzi...

O, święci pańscy anieli! toć się dziwności człowiekowi robią!

Rozmawiają tak, a tu biegnie Krawczykowa, wdowa, załamując ręce i popłakując.

— Co się wam stało, kumo? — zapytują obie baby.

— Oj, stało się, stało! Toć od rana biegam, obleciałam wszystkie kąty i nie mogę znaleźć prosięcia... Pewnikiem tej psia - duszy mało już kur, gęsi, kaczek, to się do trzody zabrał... O rany, rany!

I Krawczykowa zaczęła na cały głos płakać.

Na ten krzyk powychodziły z chałup baby i dzieci; ta i owa rozpytuje się: o co Krawczykowa tak lamentuje? Kiedy dopiero posłyszały, że lis zaczął z kolei świnię zjadać, więc się skupiły przerażone w gromadę i między sobą radziły: co począć?

— Trzeba iść do sądu, podać skargę! — mówiła jedna. — Dwór zapłaci.

— Dwór nie zapłaci, w sądzie nic nie wygramy, a choć wygramy, lis lisem będzie. Co takiemu zrobią? — powiedziała druga.

— Przecie rada być musi jaka! — rzecze trzecia.

— Idźwa do dworu, do rządcy, idźwa wszystkie hurmem, rada być musi! — zawołała Marcinowa.

Zebrały się baby i poszły; oblegały mieszkanie rządcy, czekały, aż do nich wyjdzie. Niebawem też ukazał się mężczyzna rosły, zamaszysty, w wysokich butach z ostrogami, i pokręcając wosą, zapytał:

— A wy, kobiety, czego chcecie?

— Łaski, wielmożny panie, łaski przyszyłśwa prosić! — zawołała Marcinowa.

— Jak łaski, to nie do mnie, tylko do dziedzica! Ja tu nie mam nic do rozdawania, — odrzekł rządcą krótko i miał się już oddalić, wsiąść na konia i odjechać w pole.

Wtem jedna z bab zabiegła mu drogę z temi słowy:

— Wielmożny panie, toć nie o żadne rozdawanie chodzi, tyła o biedę naszą! Cóż my niebożęta poczniewa, jak nam ten dworski lis wszystkie kury wybierze?... Radź, dobrodziej, radź!

Jakby na dane hasło, wszystkie baby wybuchnęły głośnym płaczem. Rządca popatrzył po całej gromadzie i tak przemówił:

— Czego chcecie? co ja wam pomódz mogę? Lis nie jest odemnie zależny!

— A no, jak nie od wielmożnego pana, to od kogoż? Toć on przecie dworski! — zawołała Marcynowa. — We dworze się wychował i nauczył krzywdę ludziom robić!

— Do prosiąt się zabiera! — odezwiała się jedna z gromady.

Rządca nic nie odrzekł, poszedł w kierunku stajni, gdzie spotkał Wątróbskiego, i przez chwilę z nim coś rozmawiał; potem wsiadł na konia, dał mu ostrogę i odjechał.

Baby ciągle jeszcze wystawały.

— Słyszycie wy! — odezwiała się jedna, — on z ekonomem coś gadał; musi o nas była rozmowa.

— Juści pewnikiem o nas. Dyspozycję mu zostawił.

— Ato pódźwa zapytać!

Baby podeszły do Wątróbskiego, a jedna z nich rzekła:

— Prosimy łaski jegomości, czy też pan rządca nie rozporządził, co i jak ma być z tym lisem?

— Gdzie jemu zaś lis w głowie! — odrzekł Wątróbski. — Wół oto zdycha niby na Wielecinie, a on będzie o lisach myślał! A choćby zaś i miał co powiedzieć, to zaraz niby ma się wam na cały głos wyzwierać — he? Przy naszych zaś sądach potrzeba

jemu przy świadkach co niebądź paplać?... Mógłby, ale zaś na osobności, bez świadków.

— O rety, to już widać żadnej rady nie będzie na nasze strapienie! — wykrzyknęła Wickowa.

— Rady, rady! — zawołał ekonom. — Nie mówię ja wam zaś, głupi narodzie, że bez świadków, na osobności — raz, dwa, trzy i koniec!... Głośno wam będę wyrzaskiwał, żeby się doniosło? Potem z panem dziedzicem zaś parle franse: „Wątróbski do niczego“, i fiut na inny folwark — flanca!... Niby takby było, jakbym z gęby parę puścił zaś przy świadkach.

Daremnie baby nadstawiały uszu i wytrzeszczały oczy; nie mogły pojąć, o co chodzi Wątróbskiemu.

— Nabelkotał coś, nabelkotał, aż się człowiekowi we łbie kręci, — rzekła Krawczykowa.

— Toć on chyba powiedział, co my — głupie baby; bo kiej ten lis bez świadków kury pozjadał, to cóż za sprawiedliwość być może? — powiedziała Marcynowa.

Kiedy już baby powracały ze dworu do domów, spostrzegły biegnące z kwikiem prosię; szło ono od strony dworskich stodół.

— No, moi ludzie, toć to rychtyk mój wieprzaczek! — zawołała uradowana Krawczykowa. — Jużem go opłakała, a ten bestyjniki jeno taki dbały o siebie, poszedł się pożywić wedle dworskich stodół i teraz leci do domu. Chwalaż Ci, Panie, na wysokościach!

Tymczasem Kosmalowi skórka lisia ciągle spać nie dawała. Ogrodniczek zawział się na Pompę; sprowadzał do inspektów Figę, przywiązywał ją na sznurze, mniemając, iż wycie i skomlenie psa będzie wabikiem dla lisa. Pompa tym razem okazywał bardzo wielką przezorność. Żaloszny głos uwiązanej Figi wyprowadzał go z kryjówek wikliny, ale widocznie lis zwierzył w swej chytrłości ludzką chytrłość i nigdy nie pod-

szedł do inspektów zbyt blisko, jak gdyby wiedział, że Kosmał siedzi zaczajony w budzie.

Do rozporządzenia ogrodnika była też strzelba, której wystrzałami płoszono wróble i inne podobne ptaki. Kosmał, dostawszy ją do rąk, urządzał polowania na lisa. Jednego razu spotkał się z Pompą na odległość strzału, wypalił, lecz chybił.

Do niczego również nie doprowadziły wszelkie inne zasadzki i pułapki.

Przypadek dopiero znakomicie dopomógł Kosmałowi.

Zimne wieczory jesieni napominały, ażeby egzotyczne rośliny zabezpieczyć i z ogrodu, gdzie je w lecie umieszczono, poprzemienić do oranżeryi. Czynność ta dostarczyła ogrodnikowi i jego pomocnikom na parę dni pracy mozolnej. Do oranżeryi wstawiono bale, na nich ułożono deski, a na deskach umieszczono wielkie donice z drzewami cytryn, pomarańcz, mirtów, cyprysów, wawrzynów i t. d. Wieczorem, po ukończeniu tego zajęcia, znużony Kosmał udał się na spoczynek; ale, rzecz szczególna, tylko mu się oczy kleiły, a nie mógł dobrze zasnąć. Przed jego wyobraźnią stawał nieustannie lis z rudem, cennem, pięknem futrem i z puszystym ogonem. Ktoby go zabił, nietylko by posiadał skórkę, lecz nadto zjednał-by sobie sławę i wdzięczność u ludzi w Pospowie. Trzeba zaś wiedzieć, iż Kosmał ubiegał się o względy pewnej pięknej Marysi, której matka ciężko opłakiwała stratę dwóch kur, uduszonych przez Pompę. Jakby to więc dobrze było przybyć do domu swej bogdanki, jako tryumfator, z lisią skórka!...

Otóż takie i tym podobne myśli oblegały ogrodniczka, utrzymując go nawpół we śnie, nawpół w czuwaniu. Wtem posłyszał pod oranżeryą naprzód przeciągłe warczenie, a potem zażarte ujadanie małego pieska, Bąka, który tam zwykle w nocy stróżował. Wy-

biło to Kosmała już zupełnie ze snu, i pomyślał, że mógł się kto do oranżeryi zakraść. Powstał przeto z posłania i poszedł zobaczyć, co się dzieje. Obecność człowieka dodała Bąkowi tem większej otuchy; pies dopadał do wpół otwartych drzwi oranżeryi, rzucał się, szczekał. Kosmał podszedł, zamknął drzwi na klucz, a następnie zbudził jeszcze dwóch innych ogrodników. Zapalili latarnię, i wszyscy trzej z wielką przeczornością robili przegląd oranżeryi. Bąk, który za nimi wszedł wewnątrz, zaczął się kręcić, wietrzyć; nareszcie z nadzwyczajną zaciętością rzucił się w jeden kąt, gdzie na podłożonych balach i deskach stały największe donice z cytrynami. Kosmał i jego towarzysze, uzbrojeni w żerdzie, podlegając ciągle psa, zgromadzili się w tym kącie, gdy Bąk przetrząsał kryjówki. Z pomiędzy balów posłyszano warczenie, które dało się odróżnić od ujadania Bąka. Kosmał natarczywie sięgnął kilkakroć żerdzią i z pod desek wypłoszył Figę, jakby zawstydzoną, pomieszana, ze zwieszonym na dół ogonem. Jednakże Bąk nie przestawał ujadać; widocznie w kryjówce znajdowała się nie sama Figa.

— Tam jest jeszcze coś drugiego! — zawołał Antek.

Zaledwie powiedział te słowa, kiedy z kryjówki wypadł Bąk, skowycząc i uciekając w odległe części oranżeryi.

— Musiało go coś w nos uciąć, — odezwał się znowu Antek.

Kosmał sięgnął teraz żerdzią i poczuł, że pod wazonami znajduje się jakiś miękki przedmiot. Żgał więc coraz silniej, coraz natarczywiej. Jakby odpowiedź na to, w kryjówce posłyszano charkanie i fukanie, które Pompa zwykł był wydawać w przystępie gniewu.

— Lis, lis! — zawołali wszyscy trzej, a Kosmał poczuł wyraźnie, że mu jakieś zwierzę zębami za kij chwyciło.

Więc tem energiczniej działano pod wpływem myśli, że się z lisem ma do czynienia.

Jakoż po niejakić chwili wyparto z kryjówek Pompe; był bardzo poturbowany, a jednak poskoczył rażno; ale oto Antek zadał mu silny cios kijem i lisa powalił. Jeszcze potem kilka uderzeń spadło na Pompe, który leżał na ziemi bez ruchu. Nareszcie Kosmał sięgnął ręką, wziął zwierzę za ogon i chciał je podnieść w górę. Pokazało się atoli, że lis żył jeszcze, bo pochwycił ogrodniczka zębami za palec i ugryzł dotkliwie. Prześladowca puścił zdobycz, cofając się z przerażeniem. Ale Pompa zbyt ciężko był pobity, nie mógł już uciekać; parę kijów mu wymierzono i dobito go na śmierć.

Nazajutrz rano Kosmał obchodził wszędzie z lisem, i dumnie nim potrząsając, mówił:

— Patrzcie — ooo!

Bohatera przyjmowano wszędzie z uwielbieniem. Zwycięski ogrodniczek udał się następnie do Gotuja, któremu powierzył odarcie lisa ze skóry. Gotuj, ze zwykłym swem przekleństwem na ustach, kozikiem spróć skórę Pompy i ciało jego porzucił na podworzu gospodarskiem. Spostrzegł to Wątróbski, poskoczył gniewny, i zamierzając się na oprawcę kosturem, krzyknął:

— Ato znowu co zaś takiego? Lisa bez skóry chcesz mi tu, łajdaku, niby tu zostawić? Żeby zaś śmierdział — hę? A zaraz mi go wynieś do dębiny! Widzicie go, jaki elegant!... Zaś potem wszystko na mnie będzie.

Mrucząc pod nosem, Gotuj wziął odartego lisa na ręce i poniósł go do dębowego lasku poza gorzelnię, skórę zaś tymczasem powiesił na parkanie szkółki drzew owocowych.

Drewniak pracował właśnie w podwórzu z siekierką i zdawał się nie baczyć na to wszystko. Ale

kiedy Gotuj odszedł, on zbliżył się nieznacznie, sprzątnął skórę i ukrył starannie między wiórami.

Nadaremnie potem Gotuj przeklinał i szukał lisiej skórki, zaczepiając każdego po kolei; ludzie naśmiewali się tylko z niego. Kosmał nietylko mu nie dał zapłaty za oprowienie Pompy, ale go jeszcze wytlukł nielitościwie.

W cztery dni po zabiciu lisa Płaski wrócił z Warszawy i znalazł swego przyjaciela odartego ze skóry. Poczerniały od słoty, leżał Pompa, wyciągnięty pod starym dębem, z wyszczerzonymi bielutkimi zębami, z dołami w miejscu, gdzie za życia miał piękne bystre oczy. Żał mu się zrobiło lisa; przywołał Gotuja, i ten za złotówkę spełnił obowiązki grabarza.

Na drugi dzień przed wieczorem przechadzał się Płaski po drodze koło lasu; wtem zastąpił mu drogę jakiś człowiek z siekierką za pasem i tak rzekł:

— Oj, narobił wielmożny pan kłopotu we wsi z tym swoim lisem!

— Cóż takiego?

— Toć on mojej babie zeżarł jedne jedyne dwie kury!

— Przecież go za to zabili.

— Ale mnie kur nikt nie wróci... Jakbym ja to zrobił, zaraz-by ciągnęli do sądu, niech Bóg broni!...

— Któż wy jesteście?

— Michał Drewniak, ten sam, co to raz pod kieratem życie lisowi uratował, na swoją własną zgubę.

— Ach, to wy! Ileż kura może kosztować?

— Letko ceniąc, dwa złote.

Płaski, wyjął z kieszeni cztery złote i zapłacił za kury...

KLAWISZEWSKI I RÓZIA.

I.

W Warszawie przy ulicy Hożej, pod sześćdziesiątym którymś numerem, miał swój warsztat ślusarz Klawiszewski. Nie był to zwykły człowiek. W piwiarniach na rogu Złotej, pod Filarkami, pod Świątekami znali Klawiszewskiego wszyscy, którzy tam bywali, jako stali goście. Do takiego zakładu wchodził, jak do domu; kelnerki już zdaleka uśmiechały się do niego, a Klawiszewski na uśmiechy odpowiadał każdej już-to mrugnięciem oczu, już jakimś porozumiewającym przekrzywieniem ust, ruchem głowy, ręki, czasem nawet zatrzymał się na środku sali i potężnie kichnął; goście odwracali wtedy głowy i powtarzali:

— Oho, Klawiszewski przyszedł!

Jeżeli wszedł niepostrzeżony, to siadał gdzie w kącie i miauknął, jak kot, albo jak koń zarżał. Zaraz go różni pozdrawiali na wszystkie strony znaczącymi skinieniami głowy, zaraz podchodziła Andzia, Mańka, czy Frania, kładła mu poufale na ramieniu rękę i słuchała, co „stalował“. A trzeba było znać język Klawiszewskiego, trzeba było wiedzieć, że wódka nazywa się „wódecznością“, szynka — „świństwem“, jaja — „kurzem mlekiem“, piwo — „piwonią“, wołowina — „nieboszczką krową“, marynata z nóg — „marynią“ lub „marysią“ i t. d.

Czasem wpadał w humor, mówił przez cały wieczór żargonem żydowskim, a dokoła niego zbierali się liczni słuchacze, którzy pękali ze śmiechu. Oprócz tego, uwielbiano jego szeroką wiedzę, duży rozum, bo ile razy ktoś mu zaprzeczył i wyrwał się z własnem zdaniem, Klawiszewski zaraz go wydrwił, wynicował, mówiąc naprzykład:

— Panie mądry, a widziałeś pan żółtego kruka? — Tak nazywał kanarka. Oponenta zaraz stropiło takie pytanie, a ślusarz potem go już dobijał do reszty takim naprzykład powiedzeniem:

— Schowaj się pan pod fartuszek dzierlatki! — Albo: — Każ się pan wypchać na rzadko! — Albo: — Dymaj pan tam, gdzie białe raki zimują!

Do jednego zamawiał: „panie młody“, do drugiego: „panie facet“, „panie miły“, „panie mądry“ i t. d.

Jeżeli kiedy mówił bez kpiny, wpadał w entuzjazm, kłął, wyrzekał i dowodził, że w kraju, gdzie jest tylu żydów, musi być źle rzemieślnikowi; wtedy powtarzał nieustannie wyrazy: „Ameryka, Brazylia“. Był to trzydziestoletni kawaler, szczupły, szatyn, wzrostu średniego, o rysach twarzy regularnych, lecz nieco złośliwych.

Do Warszawy przybył z Łomży, do Łomży — z Płocka, do Płocka — z Kalisza, a przedtem bywał gdzieś za granicą.

Fach swój znał podobno dobrze, lecz mało miał roboty, i gdy do tego przyszło, strasznie się użalał na Warszawę.

Prawie naprzeciwno warsztatu Klawiszewskiego mieszkali w kamienicy na parterze państwo Przykopowiczowie, małżeństwo bezdzietne. On — personat, chłop, jak ćwik, był naczelnikiem w jakimś biurze prywatnem, posiadał nadzwyczajnie rozgałęzione stosunki i jako taki musiał bardzo często zjadać za domem śniadania, kolacyjki, grywać w wincika. Ona — chucher-

ko, bledziutka, szczupluchna, z wiatremby poleciała; niepotrzebnie nosiła sznurówkę, bo i tak była, jak nitka. Ta osoba nerwowa strasznie się tem trapiła, że mąż bardzo często wracał do domu dopiero rano, a ona w oczekiwaniu spędzała noce bezsenne.

Oprócz takiego małżeńskiego umartwienia, Przykopowiczową trapiła jeszcze obawa złodziei. Ciągłe sobie wyobrażała, że na nią jacyś złoczyńcy czatują. Przeczytane w *Kuryerze* doniesienia o różnych zuchwałych wypadkach kradzieży bardziej jeszcze potęgowały strach tej niewiasty. Stróże nocni, rozstawieni na ulicy, nietylko nie dawali dla pani naczelnikowej żadnej rękoi bezpieczeństwa, ale dziwaczne ich postacie, widziane niekiedy z okna, uderzenia ich pałek o bruk napełniały ją niezmierną bojaźnią.

Trzeba było takiego wypadku, że Przykopowicz wrócił raz do domu o godzinie drugiej po północy, ale sobie podpił i zgubił gdzieś klucz od zatrasku. Żona, posłyszawszy szturm do drzwi, wpadła w trwogę, pobudziła służące, zamknęła się i obwarowała jaknajtroskliwiej w ostatnim pokoju, nie pozwalając ani młodszej, ani kucharce, ani nawet obu razem iść do przedpokoju i przekonać się, kto tak szturmuje. Otóż pan naczelnik do białego rana pokutował pode drzwiami swego mieszkania, a że to było w jesieni, więc zziął porządnie.

Wpuszczony nareszcie około siódmej rano, ostro zgromił swoją połowicę, na co mu ona odpowiedziała jeszcze daleko ostrzej. Ale skoro się Przykopowicz przespał, posilił, ustąpiła i gorycz z jego duszy; więc przeprosił żonę, tembardziej, iż znowu tego dnia wieczorem wypadały mu imieniny dobrego kolegi z kolacyjką i wintem.

— Róziu! — zawołała Przykopowiczowa na młodszą: — czy ty znasz tego ślusarza naprzeciwno?

— Nie znam, proszę pani, bo się tu niedawno sprowadził.

— A może znasz jakiego innego?

— Znam tylko stolarza, krawca, piekarczyka, ale ślusarza nie znam...

— Głupiaś, moja Róziu! Ja potrzebuję ślusarza, żeby dorobił dla pana klucz do zatrasku, i to dziś przed wieczorem. Pierwszemu-lepszemu nie można tego powierzyć, bo gotów dorobić dwa klucze, i potem mi dom okradną... Słyszysz, ja wolę więcej zapłacić, niech tylko będzie porządny ślusarz!

— To ja się, proszę pani, dowiem o takiego ślusarza.

— Od kogóż się dowiesz? — badała Przykopowiczowa z poderzliwością.

— A od naszego stróża, od sklepiczarki, albo od tej, która w sąsiednim domu magiel utrzymuje.

— Moja Róziu, czy to są tylko pewni ludzie?

— Jak Bożę kocham, bardzo pewni!... Ja mam bardzo porządne znajomości.

— No, to idź zaraz, dowiedz się o takiego ślusarza i sprowadź mi go tutaj!

Rózia była to dziewczyna w wieku lat około dwudziestu, bardzo zgrabna, żywa i hoża; oczy jej się świeciły, zęby miała równiutkie, perłowe, usta karminowe, policzki pełne, świeże, włosy czarne i postać wysmukłą.

Spełniając wolę swej pani, Rózia poszła wywiadywać się o ślusarza.

Wpadła najpierw do mieszkania stróża, gdzie stróżka łątała właśnie koszulkę dla dziecka, a mąż jej nogą kołysał dziecko w kolebce i drzemał.

— Moja pani Grzegorzowa, co się też za heca dziś u nas w nocy działo! — zawołała Rózia ze śmiechem i opowiedziała całe zdarzenie.

— Toć on pijaniusienki wrócił dziś do domu! —

odezwał się stróż Grzegorz. — Kiedy się już nie mógł do drzwi dopukać, kazał mi się od ulicy do okna podszednąć. Ale czym ja to mógł takiego baryłę utrzymać?... Gruchnął na ziemię i kolanami wybił dwie szyby w oknach od suterenu. Co mi tam szkodzi: szyby szklarz wstawi na jego koszt, a mnie dał rubla za to, żebym nikomu nic nie mówił.

— Widzicie, moi państwo, to on dzisiaj dwa ruble darmo stracił! — rzekła Rózia. — Bo i mnie dał rubla; pocałował mię w kącik i rubla do ręki wsunął... Ja się tam nie bronię, co mi to szkodzi! Przecie wiem, że z tego nic nie będzie, a rubel zostanie...

— Zbytnik jeden! — rzeknie Grzegorzowa. — Nie ma on to własnej kobiety? Batem takiego!

Opozycja Grzegorzowej dała powód do rozbierania kwestyi, czy człowiek żonaty może pocałować kobietę, nie będącą jego żoną. Stróż, ponieważ był za liberalny, został porządnie sfukany przez małżonkę, a przytem dostało się i Rózi, która pod wpływem bury pani Grzegorzowej zapomniała o ślusarzu i przypomniała sobie dopiero, gdy już była na ulicy.

Młodsza od Przykopowiczów wpadła teraz do sklepiczarki, Jaskólskiej, i poczęła jej z zapalem opowiadać o nocnym wydarzeniu. Ale Jaskólska pierwszej już o tem wszystkiem się dowiedziała od kucharki Przykopowiczów i od stróża domu, więc obojętnie słuchała opowiadania Rózi, a nawet robiła w niem poprawki; co większa, wiedziała także, iż Przykopowicz pocałował gdzieś w kąciku młodszą i dał jej za to rubla.

— Panna Rózia jesteś osoba letka! — mówiła poważnym tonem Jaskólska, poprawiając sobie na głowie bardzo brudny czepek. — Kto widział dnia dzisiejszego, żeby dziewczyna w wieku panny pozwoliła się za rubla całować?... Niechby się do mnie zbliżył taki Przykopowicz z rublem, kiedy byłam panną jeszcze!

— Czy też pani Jaskólska nie zna jakiego porządnego ślusarza, żeby dorobił klucz do zatrasku? — przerwała Rózia.

— Jaktó, czy nie znam? Ten naprzeciwno, Klawiszewski!

— A porządny aby człowiek?

Musi być porządny, kiedy u mnie kupuje; a jak chce, to ma kredyt. Tylko, panno Róziu, trzeba z nim być ostrożnie, bo to bałamut!

— Ej, co tam pani Jaskólska mówi! Ja się bałamuta nie boję!

— No, no, panno Róziu, nie trzeba sobie dowierzać. Z przystojnym mężczyzną niema żartów: rubla nie da i...

— Czy to ten Klawiszewski przystojny?

— I przystojny, i człowiek do rzeczy.

Rózia pokręciła się jeszcze po sklepiku; nibyto nie zważała na mowę Jaskólskiej, a jednak ciągle jej w uszach brzmiało: „przystojny i człowiek do rzeczy”. Przejrzała się parę razy w zapyłonym kawałku zwierciadełka, przylepionym do ściany nad wiążkami szczap do podpalki, a potem wybiegła i poszła do warsztatu Klawiszewskiego.

Ślusarz pracował właśnie nad dopasowaniem śrubki do jakiejś zawiasy, kiedy do niego weszła Rózia i, już-to spuszczać oczy, już uśmiechając się naiwnie, dźwięcznym swoim głosem opowiedziała, o co chodzi.

Klawiszewski odłożył na bok robotę, rzucił zuchwale spojrzenie na dziewczynę, a wysłuchawszy jej uważnie, rzekł:

— Klucz zrobię, i to generał-klucz! Ale byłbym nie Klawiszewskim, tylko klawicymbałem, żebym takiej ślicznej makolągwy nie pocałował.

Z temi słowy szedł ku dziewczynie w zamiarze wykonania tego, co zapowiedział.

Rózia odrazu cała spłonęła ogniem, rzuciła się we drzwi i uciekła z warsztatu. Ślusarz też wziął dłu-to, obciążki, młotek, niedbale narzucił na głowę czapkę i wybiegł czempredzej.

Dziewczyna właśnie wchodziła w bramę przeciwnego domu, obejrzała się, a spostrzegłszy ślusarza, przystanęła, uśmiechała się i myślała sobie: „jest to przystojny i doręczny człowiek”.

Ze sklepiku, przez brudną szybę we drzwiach wyglądała pani Jaskólska, ubrana w brudny czepek i ze złośliwym uśmiechem na ustach. Klawiszewski zaśpiewał głośno:

„Jakem pasał bydło,
Widziałem straszdydło;
W czarnym kapelusie,
Mówiła: Nie bój się!”

Potem pokazał sklepiczarce język i obcęgami zrobił gest, jakby go chciał wyciągnąć.

Rózia już teraz nie mogła wytrzymać, i wyszczerzywszy wszystkie zęby, śmiała się tak serdecznie, że aż Grzegorzowa uchyliła drzwi od mieszkania, wyrzała i rzekła:

— Oj, zbytki, zbytki! Za takie śmiechy to Pan Bóg skarać może!

— Jakże ci, dziełatko, na imię? — zapytał Klawiszewski, stając przed rozśmieszoną dziewczyną.

— Cóż z tego przyjdzie panu Klawiszewskiemu, choć powiem, że Rózia?

— Bo ja kocham Rózię, co ma ładną buzię, i wiem, że ja buzi dostanę od Rózi...

— Oho, taki to pan skory do kochania?...

— Za rubla toby buzi dała — odezwał się szorstki głos Grzegorzowej, która w tejże chwili drzwi swoje zatrzasnęła.

Zmieszała się dziewczyna tem niespodziewanem oskarżeniem, a chcąc ukryć swe pomieszenie, rzekła:

— Proszę pana Klawiszewskiego iść za mną, bo moja pani na nas czeka — i przez drzwi od kuchni poprowadziła ślusarza do mieszkania Przykopowiczów.

Już przy wejściu Klawiszewski się nachylił i pocałował Rózię szczerze w samo ucho.

— Oj, oj!... Do czego to znowu podobne! — mówiła Różia nawpół obrażona, nakrywając dłonią otwór ucha. Teraz mi już będzie przez cały dzień dzwoniło w uchu...

Ślusarz pozostał w kuchni, a młodsza poszła do pokoju pani.

— Gdzieżeś ty tak długo była? — pytała Przykopowiczowa. — Pana w domu niema, kucharka poszła do miasta; mogliby wszystko wynieść, a nawet... mnie zabić!

— Szukałam, proszę pani, ślusarza i znalazłam bardzo porządnego.

— A skąd wiesz, że porządny?

— Jak Bożę kocham, bardzo porządny, taki przyjemny człowiek, wesoły!...

— Powiadam ci, żeś głupia! Właśnie wesoły rzemieślnik może być filutem.

— Zobaczysz pani, jaki on zrobi klucz do zatrzasku!

— Gdzież jest ten ślusarz?

— Czeka w kuchni.

— I zostawiłaś go tam samego? Mój Boże, nieznajomy człowiek w domu!...

— Proszę pani, jak Bożę kocham, nic nie zgienie! Wszyscy ludzie z Hożej ulicy powiadają, że to jest najporządniejszy ślusarz w Warszawie, a do tego...

Tu się Różia zacięła i przestała zachwalać Klawiszewskiego, chciała zaś jeszcze dodać: „a do tego przystojny i człowiek do rzeczy“.

Kiedy już ślusarz odejmował ode drzwi zamek zatrzasku, Przykopowiczowa kazała Rózi być przy tem, gdyż się obawiała, ażeby z przedpokoju co nie zginęło.

— Powinien sobie pan Klawiszewski kazać do brze zapłacić za klucz z takimi grymasami! — rzekła dziewczyna.

— Nie zawróć panna głowy! — odpowiedział Klawiszewski, wybijając młotkiem ćwieki z zatrzasku. — Ja tam na żadne klucze nie lecę i przecie tu dla takiej marności, jak klucz, nie przyszedłem...

Mówiąc to, spojrział swoim wymownym wzrokiem na dziewczynę.

Zarumieniła się Różia, lecz była dumna z tego wyznania, bo zrozumiała, że ślusarz dla niej jedynie przyszedł.

— Co dla mnie znaczą takie warszawskie zarobki, prawie na bombę piwonii! — ciągnął dalej Klawiszewski. — Ale ja im tu jednego dnia urządzę sztukę!... Dam taką nogę, że zgłupieją!...

— To pan Klawiszewski myśli niby?...

— Frunąć z Warszawy! Dmuchię, psiakrew, dam fugę, niech ich tam flanela!... Rozumie panna, co to są draperye do Ameryki?...

— Gdzie też jest taka Ameryka?

— Ameryka jest tam, gdzie Brazylia!

— Jezus, Marya, Józef święty! To mnie raz pani Jaskólska opowiadała, że tam jest bardzo dobrze; ale to najgorsza, że trzeba na łodzi płynąć, a ja się wody strasznie boję.

— Niech panna Różia nigdy nie pija wody!... Wódeczność, piwonie... oo!

— Ej, jak Bożę kocham, pan Klawiszewski ciągle tylko ze mnie żartuje!... Przecież ja powiadam, że się boję pływania, nie picia... Wie pan, jakem raz w niedzielę z drugą młodszą popłynęła na Saską Kępe,

to się łódka tak okrutnie gibotała, żem wrzeszczała wniebogłosy...

— Jakby panna Różia popłynęła ze mną, toby nie było wrzasku, tylko frajda, większa, niż na rubla! Kwi-
czałaby panna z radości...

— Hi, hi, hi! — roześmiała się pocichu Różia. —
Wie pan Klawiszewski, że tamta młodsza miała z sobą
kawalera i nie krzyczała?...

Przed samym wieczorem ślusarz przyniósł doro-
biony przez siebie klucz do zatrasku, przymocował do
drzwi zamek, otrzymał zapłatę i odszedł; ale nim od-
szedł, pocałował Rózię w samo oko.

— Jak Bożę kocham, co też pan Klawiszewski
wyrabia! — szepnęła młodsza. — W uchu mi jeszcze
nie przestało dzwonić, a teraz mi się znowu w oku
świat mieni.

Potem już w domu Przykopowiczów wszystko
szło starym trybem: pan naczelnik wracał do domu
późno; ile razy mógł, całował Rózię i wsuwał jej w rę-
kę rubla; pani naczelnikowa spędzała bezsenne noce
i ciągle się obawiała złodziejów.

Coś w parę dni po dorobieniu nowego klucza do
zatrasku zginął znowu klucz od kuchni i pani Przy-
kopowiczowa rozkazała Rózi iść natychmiast do Kła-
wiszewskiego, ażeby nowy klucz zrobił.

Od tego czasu w domu państwa Przykopowiczów
ciągle się już psuły zamki, klamki, haczyki, zawiasy,
ginęły klucze — roboty ślusarskie były tutaj na porząd-
ku dziennym.

Ale oto jednego dnia wybuchły w kuchni straszne
jakieś swary pomiędzy Salomeą, kucharką, a Rózią,
młodsza. Wdała się w to sama pani naczelnikowa i sta-
nęła po stronie młodszej, którą kucharka nietylko słow-
nie, lecz i czynnie srodze sponiewierała.

— To się pani za nią ujmuje? — krzyczała roz-
złoszczona Salomea. — Pani jeszcze nie wie, co ona

za ziółko?... Ona przecież klucze kradnie, zamki psu-
je, żeby tylko mogła jaknajczęściej chodzić do tego ślu-
sarza naprzeciwno, z którym się już zmamrała!... Ho,
ho, jak mi mówić wypadnie, to ja o niej opowiem jeszcze
inne, gorsze sprawy!... Dopiero się pani przekona, co
to za szelma!...

Oskarżenie kucharki zrobiło swoje. Jak tylko
Przykopowicz wrócił do domu, zaraz mu żona wyło-
żyła całą sprawę, usilnie nalegając, ażeby nie puszczał
płazem takiego przekroczenia, jak kradzież kluczków
i rozmyślne psucie zamków. Naczelnikowa żądała, aże-
by mąż sam najprzód przeprowadził śledztwo wstępne,
a potem wezwał do pomocy władze policyjne w celu
ukarania Rózi.

Jednakże Przykopowicz coś bardzo zręcznie się
wymawiał od takiej interwencji, łagodził oburzenie żo-
ny, usiłował uniewinnić Rózię, a zato potępiał kucharkę,
która przez złość jakoby rzucała potwarze na dziew-
czynę.

Zdawało się przeto, że Różia wróci znowu do łask
pani naczelnikowej. Ale kucharka wydobyła teraz ze
swego arsenału oręż najniebezpieczniejszy dla młodszej.
Upatrzyła sobie stosowną chwilę i pod sekretem opo-
wiedziała Przykopowiczowej, że pan domu ma do młod-
szej nadzwyczajną słabość, że ją nieraz potajemnie
ściska, całuje, szczerze osypuje pieniędzmi, i że młod-
sza zbytecznie z tem wszystkiem się nie tai.

— To ja przy ogniu się parzę, wiernie służę,
a pan nigdy na mnie nawet nie spojrzy; za grosz nie do-
stałam jeszcze od niego prezentu!... Dlatego, żem ko-
bieta uczciwa!... Jeśli tak ma być dłużej, to ja, proszę
pani, za służbę podziękuję! Porządna kucharka nie
może służyć w jednym domu z takim wycieruchem! Ca-
ła kamienica aż się trzęsie na to, co ona wyrabia! Ale
cóż, fałszywiec taki ma wiarę i łaski u państwa!... Ona

się umie podlizzać, ho, ho! Myślałby kto, że niewi-
niątko!

Opowiedziawszy takie rzeczy, Salomea poszła do
kuchni, a pani Przykopowiczowa, wzruszona dożywa,
w cichości poczęła łzy wylewać nad przeniewierstwem
męża. Jako osoba dobrze wychowana, postanowiła ona
zrazu głęboko utaić rany swej duszy i cierpieć, lecz nie
robić mężowi żadnych wyrzutów.

Kiedy pan naczelnik powrócił z biura na obiad,
zauważył zaraz, że żona jest jakaś nieswoja.

— Co ci to, moja duszko? — zapytał raz i drugi.

Ale Przykopowiczowa, mimo cisnące się gwałtem
do oczu łzy, uśmiechała się tylko z przymusem, mó-
wiąc:

— Nic, nic! Trochę niedyspozycyi i koniec...

Mąż miał na wieczór ułożony planik, więc był nie-
zwykle czuły — podeszedł do swej połowicy z czułością
i chciał ją pocałować. Ale naczelnikowa, wspomnia-
wszy, że te same usta składają pocałunek na policzkach
Rózi, lekko odsunęła od siebie męża.

Dopiero gdy już oboje zasiedli do stołu, mając
przed sobą talerze z zupą, Przykopowiczowa nagle tak
się rozrzewniła, że potok gorących łez spłynął z jej
oczu prosto w rosół, a przytem zakwiliła, jak niemowlę.

Z serwetą, zawiązaną pod brodą, porwał się ze
stołka naczelnik i biegł gwoili uspokojenia małżonki,
która w tej chwili od stołu wstała i poszła do pokoju sy-
pialnego.

Rózia przyniosła właśnie z kuchni półmisek i bar-
dzo się dziwiła, widząc, iż przy stole niema nikogo. Na
palcach podeszła cichutko pod drzwi sypialni, skąd do
jej uszu doszła taka rozmowa:

— Uspokoję się wtedy dopiero — mówiła pani
domu, — jeżeli ty sam, zaraz dzisiaj, w mojej obecności,
zwymyślasz tę szelmę i wypowiesz jej miejsce... Po-
trzebuję wyraźnego dowodu, że mię szanujesz...

— Moje dziecko, pomyśl, że to będzie niespra-
wiedliwie względem biednej dziewczyny...

— Nie, nie! Ja nie mogę w swoim domu rywa-
lizować ze służącą!

Z sypialni dało się słyszeć łkanie Przykopowicz-
wej, płacz jakiś serdeczny.

Dziewczyna z bijącym sercem odskoczyła od
drzwi, zostawiła na stole półmisek z rozbifem, pobiegła
do klatki przy kuchni, gdzie stało jej łóżko, i poczęła pa-
kować w prześcieradło swe rzeczy.

Jeszcze Przykopowicz nie uspokoił żony, a Ró-
zia już przyniosła swe manatki do Jaskólskiej i dobro-
wolnie opuściła służbę.

Coś w dziesięć dni potem Salomea weszła zentu-
zyazmowana do pokoju swej chlebodawczyni i rzekła:

— Proszę pani, ta Rózia, co to była za młodsza,
uciekła do Brazylii ze ślusarzem z przeciwnika!...

II.

Na dworcu jednej pruskiej stacyi kolei żelaznej stał pociąg nocny, gotując się do odjazdu.

— Psssss! — słycać tu było syk pary.

— Bim, bam! bim, bam! — dzwoniły dzwonki.

Po peronie przebiegał posługacz, który w panewki podlewał oliwę; rozlegały się odgłosy kroków tu i tam przechodzących konduktorów i innych urzędników kolejowych.

— Firli-lu! — firli-lu! — dał się słyszeć głos świstawki.

— Uf! uf! uf! — i pociąg zaczął się poruszać.

— Ter, ter, ter, ter! — słycać już było potem.

Szybko się jedzie koleją. Przodem sunie machina, jak smok z ognistemi oczyma; za nią się wije długi ogon wagonów. Słycać szum i warczenie, pod mostami dudni. Lecą iskry, podobne do złotego śniegu, migają po drodze światła, dróżnicy z latarkami salutują pociąg chorągiewką.

Ostatni wagon czwartej klasy dziwnie skacze; pasażerowie wewnątrz muszą się dobrze trzymać, jeśli nie chcą upaść na ziemię, rozbić sobie głowy o ścianę.

Na niziutkiej, zielonej skrzyneczce siedzi oto Klawiszewski; grubą wełnianą chustkę rozpostarł na

kolanach, ażeby siedząca poniżej i rozspana Rózia mogła oprzeć głowę, jak na poduszce.

W nocy przybyli do Bremy i w gospodzie zapisali się do książki: „Klawiszewscy — mąż z żoną“.

Przez całe trzy dni można ich było widzieć codziennie, jak tu i owdzie chodzili po ulicach, wzajemnie sobie pokazując rozmaite rzeczy godne widzenia. Zatrzymywali się przed wystawami sklepów, urządzonemi w oknach; podziwiali tam wyroby jubilerskie, szmuklerskie, nożownicze, narzędzia optyczne, różne stroje, fotografie, sztychy.

On nie nazywał jej teraz „panną Rózią“, lecz „Rózią“; ona mówiła mu „Jasiu“, nie zaś „panie Klawiszewski“. Nieodstępnie sobie towarzyszyli i dużo z sobą rozmawiali.

Czwartego dnia rano przybył do nich na gospodę posłaniec z agencji żeglugi parowej i oznajmił, że wieczorem powinni się stawić w Bremerhavenie, aby tam wsiąść na okręt, który nazajutrz wyruszy do Ameryki Południowej.

Zaraz oboje poszli do biura agencji, gdzie ich zaopatrzone w tak zwane szyfsbilety, i znowu w wagonie czwartej klasy pojechali do Bremerhavenu.

Kiedy wsiadali na okręt, Rózię zdjął strach i zawołała:

— Jezus, Marya! coby to było, jakby się gmach taki przewrócił gdzie na wodzie!

Nastąpiło potem dwadzieścia pięć dni bardzo jednostajnej podróży wodą. Częstokroć wicher huczał, fale się piętrzyły, zalewały pokład i podrzucały okrętem. Wtedy Rózia odmawiała pacierze, prosząc Boga, aby uspokoił morze.

Już dawno przebyli ciężkie przypadłości morskiej choroby, już się znajdowali daleko, daleko od Europy, kiedy jednego dnia wieczorem Rózia siedziała na pokładzie samotna i wzrokiem ściagała ostatnie

promienie słońca, zachodzącego w bezgranicznym oceanie. Widocznie dziś jakiś smutek napawał jej duszę, bo ręką zasłoniła oczy i płakała w cichości. Słońce zaszło, na zlociستم niebie zajaśniała gwiazdka wieczorna, a Różia jeszcze siedziała tak na pokładzie. Narreszcie powstała, otarła oczy, zbiegła po schodach pod pokład.

Pod tym pokładem urządzono w ten sposób pomieszczenie dla emigrantów, że łóżka żelazne we dwa piętra wisiały rzędami nad podłogą. Różia wgramoliła się na swoje łóżko, a zaledwie tu głowę przyłożyła do poduszki, gdy z dołu doszły do jej uszu słowa następującej rozmowy:

— Więc ty naprawdę nie masz żony?

— Chwalić Boga, że nie...

— A tu wszyscy na okręcie myślą, że ta młoda jest twoją żoną; słyszałem nieraz, jak emigranci do niej mówili: „Moja pani Klawiszewska...”

— Głupia dzierlatka, naparła się jechać i jedzie... W Ameryce puści się ją na trawę.

— Nie będzie kłopotu z puszczaniem, bo sama pójdzie! — odezwała się Różia, podnosząc głowę na łóżku; w jej głosie drgało uczucie gniewu, obrażonej miłości własnej.

W kilka dni potem parowiec z emigrantami wpłynął do portu Rio de Janeiro.

Za kawałkiem chleba rozsypali się ludzie po Brazylii na wszystkie strony i tak, że jeden o drugim nie wiedział.

Chłopi popłynęli dalej, ku południowi, na owe przechwalone kolonie, rzemieślnicy zostawali po miastach i miasteczkach.

Klawiszewski oparł się aż w Santos, dużem portowem mieście, lecz nie znalazł tu dla siebie zajęcia i znowu wrócił do Rio de Janeiro. W tej stolicy, pełnej gorączkowego życia, przeszło dwa miesiące cza-

su błakał się ślusarz warszawski, nadaremnie szukając pracy odpowiedniej. Opuściły go dawny humor i fantazya, pobladł, wynędzniał, spadało z niego ostatnie ubranie.

Jest w Rio de Janeiro ulica „Siódmego Września“. Przechodząc wieczorem przez jedną jej połowę, można tu widzieć na prawo i na lewo otwarte okna, a w każdym oknie siedzi kobieta, często bardzo piękna, zawsze zaś wystrojona i woniejąca pachnidłami. Te panie, należące do różnych narodowości kuli ziemskiej, uśmiechają się bardzo wdzięcznie do przechodniów i usiłują zwrócić na siebie uwagę.

Otóż jednego razu, około godziny dziewiętej wieczorem, przechodził tędy Klawiszewski; ale był tak zgnębiony losem swoim, że nie miał najmniejszej chęci przyglądać się owym pięknościom. Właśnie mijał latarnię gazową, rzucającą dokoła bardzo sute światło, gdy w jednym z otwartych okien usłyszał głośno wymówione swoje nazwisko. Spojrzał i zdumiał się, widząc przed sobą Rózię.

— Niechże mię pan Klawiszewski przecie odwiedzi! — rzekła, zapraszając go do siebie.

Zawahał się na chwilę, wreszcie wszedł.

— Jakże się też tu panu wiedzie? — spytała Różia, obrzucając wzrokiem nędzny ubiór ślusarza.

— Ee, moja panno, lepiej o tem nie mówić! — odpowiedział. — Ale pannie Rózi, widzę, dopisuje Brazylia!... Co za meble, stroje, fiu, fiu!... A jak wszędzie pachnie!...

— Niech sobie pan Klawiszewski ze mnie nie żartuje!

— Co mam żartować? Albo to nie widzę?...

— Tak, tak, łatwo panu mówić! Jabym bez żadnego namysłu oddała takie szczęście, żeby mi się wróciły czasy, kiedy służyła w Warszawie za młodszą

u Przykopowiczów!... A teraz wszystko już na zawsze przepadło...

Powiedziawszy to, Rózia zasłoniła sobie oczy obiema rękoma i po chwili rozległo się takie samo kwilenie, jak kiedy pani Przykopowiczowa oplakiwała przeniewierstwo swego męża.

Klawiszewski stracił odrazu humor i, milcząc, wpatrywał się w wiszący na ścianie obraz kobiety, obnażonej po pas.

Uspokoiła się Rózia po niejakej chwili, lecz im obojgu nie szła już rozmowa.

Jemu się zdawało, że najlepiej stąd uciec, więc ją pożegnał i odszedł; a ona wcale go nie prosiła, aby jeszcze kiedy zaszedł.

Gdy już był na ulicy, w uszach ciągle mu brzmiał ów płacz dziewczyny, a przed oczyma stał obraz kobiety po pas obnażonej; sam nie wiedział, dlaczego się tem dręczył. Na ulicy grała katarynka, a jemu się zdawało, że Rózia kwili.

W tydzień potem dostał miejsce przy warsztatach budowy okrętów parowych. Była tutaj ciężka praca, lecz dobrze za nią płacono. Ślusarz z Warszawy oddał się cały robocie; ale nie mógł przy niej zapomnieć dawnego płaczu Rózi, nie mógł odpędzić od siebie kobiety po pas obnażonej.

Jednego wieczoru, po skończonej pracy, wrócił do domu, ogarnął się, jak mógł najlepiej, i poszedł na ulicę „Siódmego Września“. Po rześmistem świetle latarni łatwo poznał okno mieszkania Rózi; poszedł do niej, wziął ją za rękę i rzekł bez ogródki:

— Niech panna Rózia na mnie nie płacze; ja chcę naprawić, com złego zrobił... Mam teraz taki zarobek, że wystarczy dla mnie i dla żony.

Ale Rózia wyrwała swą rękę z jego dłoni, wstała ze stolka i, odstąpiwszy kilka kroków, tak mówiła:

— Oj, co nie, to nie, panie Klawiszewski! Jak

mię całował pan Przykopowicz i za pocałowanie dawał rubla, było mi dobrze, nic to nie kosztowało. Potem zaczął mię pan Klawiszewski całować darmo, i Bóg jeden wie, ilem ja na tem straciła... Dosyć mam takiego kochania! Nikt mię już teraz darmo nie pocałuje!

Ślusarz wyszedł, a Rózia zamknęła okno, usiadła w kącie i gorzko płakała.

Ž E L.

I.

Więcej niż siedemset lat temu, jak na Pomorzu żył książę jeden, imieniem Żel. Był to pan możny, utrzymywał dwór wielki, a życie spędzał na ucztach, łowach i wojnach.

Jako poganina, najeżdżali go często Niemcy, pustoszyli jego włości i uprowadzili w niewolę poddanych. Żel walczył, bronił się, jak mógł; widząc nareszcie, iż licznym swym wrogom nie podoła orężem, postanowił zawrzeć przymierze z chytrym i chciwym Drakonem, margrafem niemieckim.

W ogromnych kniejach wyprawiono wielkie łowy, na które zaproszono i margrafa.

Przez dwa dni z rzędu rozlegały się już po borach krzyki łowców i głosy ich rogów, a Drako nie przybywał na punkt zborny. Książę niecierpliwił się, tembardziej, że trzeciego dnia od samego świtu polował bez powodzenia. Puszczane w ostęp psy ani razu nie odezwały się głosem i nikt dnia tego nie spostrzegł nawet małego ptaszka.

— Zakłęta knieja, czy co takiego! — wykrzykiwał Żel gniewny. — Dobrzem się wybrał! Margraf lada chwila przybyć może i ja się będę musiał rumienić, gdy mój dostojny gość nie zazna rozrywki. To go

przecież nie usposobi do zawiązania ze mną trwalszego przymierza!...

Gdy się tak książę miotał i zżymał, naraz spostrzegł, iż w kniei opodał przesuwiał się dziwny człowiek i jakby uchodził przed obławą. Błyszczał on cały i lśnił się złotem. Niesłychane zjawisko wprowiło Żelę w zdumienie.

— Czarnoksiężnik chyba — myślał, — lub może jeden z tych osobliwych apostołów, których w te strony pełno od Rzymu napływa... Ale ktokolwiek jest, złowić go muszę!

I książę róg swój myśliwski do ust przycisnął, zadał weń potężnie. Na to wezwanie przybiegli zaraz rycerze Wartom i Machor, a każdy z nich pytał:

— Panie, co rozkażesz?

— Tam, tam, w kniei — mówił książę, — przebywa jakaś osobliwa zwierzyna... Biegnijcie żwawo, aby za obręb nie wyszła! Osaczcie knieję, psy niechaj tropią; ale strzelać wara! Kto strzałę spuści z cięciwy, głową za to przypłaci...

Zdziwieni mową Żelę, obaj rycerze śpieszą wykonać rozkaz, lecz między sobą szepcą:

— Książę oszalał, albo nam Niemcy urządzili jakąś nową sztukę, zadali Żelowi czary.

Tymczasem zwabieni odgłosem rogu, nadbiegali zziązani i inni myśliwi, a książę ciągle wykrzykiwał:

— Naprzód! Dalejże w bór, kto żyw! Żle będzie z wami, jeżeli ujdzie złota zwierzyna!

Nadeszła i córka książęca, Sławka, dziewczyna niezwykłej urody, która ojcu towarzyszyła zawsze na wojnach i łowach.

— Ojciec mój — rzekła, widziałam w kniei cud nad cudami, chyba nie człowieka, lecz bóstwo jakieś niezrównanej piękności.

Żel, pobudzony przez słowa córki, tembardziej

jeszcze pałał teraz żądzą pojmania istoty nadzwyczajnej.

— Opowiadają ludzie — mówiła Sławka — o czarowanych w tych borach książętach; kto wie, czy odgłosy naszych myśliwskich rogów nie zbudziły jakiego przodka bohatera... A może i jeden z naszych bogów się objawił. Wszakże ziemię klęski niesłychane trapią i tyle wojen przegranych...

— Ktokolwiek on jest, w moją moc popadnie, a jeśli tego godzien, cześć mu należną oddam! — zawołał książę.

Wtem po boru huknęły myśliwskie rogi i zabrzmiały okrzyki: „Tu, tu, do mnie!“ Skrajem zaś lasu znowu się przesunął złoty człowiek.

— To on, on z bóstwa postacią! — mówiła z zachwytem Sławka. — W oczach ma błękit pogodnego nieba, a cały promienie sieje, niby dobroczynne słońce.

Zgiełk myśliwski zbliżał się coraz bardziej, aż wreszcie z kniei wynurzył się cały orszak, a na jego czele kroczył złoty człowiek.

Wszyscy myśliwi stanęli teraz dokoła osobliwego człowieka i odśpiewali pieśń:

Stała się w boru
Rzecz niesłychana:
Pojmali łowcy
Złotego pana.

On się nie zdaje
Czuć bólu, trwogi;
Psy mu pokotem
Padły do nogi.

Kiedyśmy miecze
Z pochew dobyli,
Zdrętwiały ręce
Nam w jednej chwili.

— Któżes ty jest taki? — zapytał Żel, z uwielbieniem i zachwytem wpatrując się w spokojne i piękne oblicze złotego męża.

— Na świat przyszedłem razem z całą przyrodą i jestem jej pragnieniem, które się nigdy nie ureczywistnia—odparł zapytany.—Wszystko, co byt ma, czci mnie i wielbi, lecz istnieje według innych praw, a nie według tych, które ja stanowią. Bo geniusz wiecznej wojny daje trwanie tworom świata, ja zaś jestem geniuszem pokoju.

— Jesteś więc zażegnaniem tych niezgód, waśni, które ludzkości cierpienia tylko przynoszą i które ona krwią swoją zmywać musi?

Wtedy człowiek złoty zwrócił się do Sławki, po-
dał jej złoty flet i rzekł:

— Dziewico, córo pokoleń lat tysięcy i matko tyluż pokoleń w przyszłości, tobie przysłało obwieszczać panowanie pokoju; idź i głoś pieśń czarodziejską!

Sławka z gorączkowym pośpiechem pochwyciła złoty flet, odeszła w bór i wnet rozległa się czarodziejska muzyka, której buki, dęby i sosny zdawały się słuchać. Cały orszak księcia w zdumieniu i zachwycie stał nieporuszony.

Na głos owej melodyi pojawiły się różne zwierzęta. Przybiegł naprzód zajac, przyklęknął przed złotym człowiekiem i rzekł w te słowa:

— O, święć się imię twoje, wielki geniuszu! Nikt lepiej nade mnie, srodze prześladowanego i bezbronnego, nie zdoła ocenić twego panowania.

Wnet potem wypadł z krzaków jelen i zawołał:

— Cześć ci, szlachetny geniuszu! Jakaż to rozkosz nie mieć wrogów, nie drzeć o siebie i o swą rodzinę!

Jeszcze jelen nie skończył, a już z zarośli lis się wysunął, spoglądając dokoła podejrzliwie.

— Ha, przynajmniej raz w życiu — rzekł —

mogę bezkarnie zadrwić z tych oto butnych rycerzy, którzy na zgubę moją noszą przy sobie różne żelazne narzędzia i gromadą psów mię szczują!

— Ja tępię — zawołał wilk ponuro, — ale i mnie przecież nie oszczędzają! Doprawdy, rzadkie to święto dla mnie, wilka, być za pan - brat z ludźmi. Czołem, geniuszu!...

I dzik się zjawił tutaj, a przyklęknawszy, tak prawił:

— Ach, jakże jestem znużony walką! jakże wzdy-
cham do tej chwili życia, w której nóż i oszczep raną
nie grożą, strzała przeraźliwie nie świszcz i głosy
psów zjadłych nie straszą!

Wtem w gąszczach rozległ się mruczek przeciągły
i ujrano niedźwiedzia.

Zaszeleściło potężnie coś w górze i w tejże chwili
z powietrza spadł potężny król ptaków, orzeł.

— Geniuszu — mówił, — może rozkazy swoje
polecisz mi zanieść w najdalsze zakątki świata. Może
gdzieś krew łać się jeszcze nie przestała?

Teraz księżę i rycerze, zachwyceni melodią złote-
go fletu, ale także przerażeni niezwykłym widokiem
tytu zwierząt, składających hołd geniuszowi, zaczęli
chórem śpiewać:

Rzecz niepojęta:

Wszystkie zwierzęta

Śpieszą na granie.

Niech ta pieśń rzewna,

Tak dziwnie śpiewna,

Już brzmień przestanie!

Nam wszystkim nogi

Drżą z wielkiej trwogi

Na cuda takie.

Bo co się stanie,
Jeśli to granie
Zwabi tygrysy?

Geniusz uśmiechnął się dobrodusznie, zrobił ręką jakiś znak w powietrzu i muzyka ustała, a niebawem też pojawiła się i księżniczka, jakaś smutna, zadumana.

Wszystkie zwierzęta kręgiem otoczyły złotego geniusza i pieśń ich się rozległa:

Wola geniusza jest święta —
Przyzywała dziś zwierzęta
Pomiędzy wrogich im ludzi.

Więc silny, słaby,
Zdrowy, czy chory,
Opuszcza nory.

Zając się lisa nie lęka,
Jeleń przy wilku przykłęka,
A wszyscy chcemy nieść
Tobie, geniuszu, cześć!

Odśpiewawszy pieśń tę, zwierzęta pierzchnęły w knieję.

— Geniuszu — odezwał się Żel, — jesteś tak potężny, że ci się od nas cześć bożka należy! Przecież mogłeś tym zwierzętom rozkazać, aby nas rozszarpały, a nie uczyniłeś tego, więc i dobroć twoja do czci nas skłania...

— Nie, Żelu! — rzecze geniusz — wojna, przelew krwi, są to dzieła zarządu innego ducha; ja tylko sprawami pokoju władam... Dobrym zwać możemy tego, kto i złym być umie.

A Żel mu na to:

— Pozostań w mojej ziemi, my obaj uszczęśliwimy ludzkość!

— Nie rzeczywistość żadna, lecz niedościgłe pragnienia stanowią szczęście.

— Zbuduję ci świątynię.

— I potem ją zburzysz.

— Klnę się na wszystkie świętości świata, że przez pokój panować pragnę, a ty posiadasz moc, ażeby mi w dziele takim pomódz.

— Wyłącznie jednemu tylko geniuszowi nikt na ziemi nie ulega. Przypatrz się, Żelu, biegowi świata i stamtąd czerp swą ziemską mądrość!

— Och, błagam cię, zostań pomiędzy nami! Gdybyś w duszę moją zajrzał, spostrzegłbyś, iż w niej, ni by piękny kwiat, rozwija się pragnienie szczęścia ludzi.

— Pragnienie, marzenie jest piękne i nic więcej. Ja sam niczego nie pragnę, tylko jestem pragnieniem i marzeniem. Świat ten dlatego istnieje, że ja całe długie wieki przesypiam. Patrz, na krótką chwilę stałem się rzeczywistością i oto, gdy ja czuвам, życie całego świata zamiera.

Wtedy Żel zwrócił się do orszaku swoich rycerzy i zawołał:

— Dalejże, wsiadajcie na koń! Pędźcie co żywo, sproście tu panów, sąsiadów moich, a głównie margrafa, abyśmy wobec dobrego geniusza spożyli wspólnie ucztę pokoju!

Porwali się natychmiast rycerze na rozkaz pana, dosiedli rączych rumaków, pod kopytami których wnet zatętniła ziemia.

Tymczasem złoty geniusz tak jeszcze przemawiał do księcia:

— Na świecie każdy pożąda coraz więcej, każdy pragnie czego innego; stąd nieustanna sprzeczność

pragnień, stąd niemożliwość ciągłego pokoju, stąd nie-szczęście i pogoń za szczęściem. Bo pomyśl tylko, żeś swe pragnienie zaspokoił, marzenia ziszczył, to cóż warta twa dusza, która już pragnień i marzeń nie ma?

II.

Książę Żel o niczem już teraz nie myślał, jeno o zaprowadzeniu na ziemi królestwa pokoju. Tam, w kniei, gdzie się był geniusz naprzód zjawił, książę zamierzył wzniesć ołtarz pokoju; więc niebawem spędzono licznych robotników i zgromadzono moc kamieni. Sam Żel był niezmiernie czynny i dozorował przy tej pracy, a ciągle starał się o to, aby okazywać dobroć i łagodność względem robotników. Zapominał się jednak częstokroć, wpadał w gniew, łajał.

— Hej, ośle jakiś, co warta praca twoja?! — wołał.

Lecz nagle przypominał sobie, że założycielowi królestwa pokoju nie wypada unosić się gniewem. Hamował przeto wybuch i przemawiał łagodniej:

— Mości robotniku, bądź tak dobry i układaj kamienie, jak należy!

Sam przytem brał się do pracy i dawał przykład z siebie.

Robotnicy dziwili się tej zmianie w popędliwym księciu, szepcąc między sobą, że w każdym innym razie niejednen z nich jużby był odebrał kije, lub nawet stracił życie.

Gdy się to działo, nadszedł właśnie Miklos, książęcy błazen, którego od rana nikt jeszcze w orszaku

Żela nie widział. Ziewając i przeciągając się, stanął on opodal i patrzył.

— Wypałem się za wszystkie czasy! — mówił sam do siebie. — Dla błaznów niema chwil szczęśliwszych, jak wojna i łowy... Panowie mają wtedy dużo zajęcia, gniewa ich każdy wybryk wesołości, a przeto błazny mogą spokojnie jeść, pić, spać, romansować. Pokój... przekłeta rzecz!

Mówiąc to, Miklos spostrzegł naraz złotego geniusza, patrzył nań przez jakiś czas ze zdziwieniem, potem się zbliżył i rzecze:

— A to znowu ki dyabeł ten żółty trznadel?... Ho, ho! Budują coś i sam Żel uwija się niepospolicie. Dałbym głowę, że na dwór nasz dostało się jakieś nowe głupstwo.

I z temi słowy błazen oddał ukłon geniuszowi.

— Upadam do nóg panu dobrodziejowi! Kłaniam uniżenie! Jestem błazen Miklos i nadzwyczajnie lubię przyjmować podarunki.

Atoli geniusza otaczała straż honorowa i jeden z żołnierzy odpędził błazna, grożąc mu mieczem. Miklos zbliżył się do księcia i tak mówił:

— Jak widzę, zrobiłeś, Żelu, dzisiaj dobry interes na polowaniu.

— O czym mówisz? — zapytał książę z dobrocią.

— A no, fundusze twoje widocznie się poprawiły! Toć takiego złotego cielaka dosyć oddać naszemu podskarbiemu, a on, chociaż część ukradnie, z reszty jednak każe narobić pieniędzy i będziesz miał za co wydać wojnę Niemcom, którzy cię już dobrze wystrzępili...

— Precz z myślą wojny! — zawołał uroczyście Żel. — Wiedz, iż w granicach mego kraju od dzisiaj będzie panował pokój! Właśnie oto wznosimy ołtarz dla bóstwa pokoju.

— Pi, pi, pi! Toż niezawodnie wyprawisz swym

dworzanom kilka z rzędu bibek? Arcywyśmienicie! No, ale cóż będą robili rycerze w czasie tego pokoju? Błaznów chyba z nich nie porobisz, bo są na to za głupi.

— Nie będą oni rycerzami wojny, lecz rycerzami pokoju, zapewniającymi ludzkości szczęście.

— Bagatela! Rycerze, zapewniający szczęście ludzkości! Brzmi to zupełnie tak samo, jak mróz sprawiający upały, śmierć obdarzająca życiem, błazen pobudzający do płaczu. Żelu, mój panie, mam nadzieję, że wskutek twego pokojowego nastroju różni urzędnicy naszego dworu podadzą się do dymisji.

— Którzyż to mianowicie

— Ci wszyscy, którzy właśnie podczas wojny jużto używają pokoju, już nabijają sobie groszem kabzy.

— Nadaremnie usiłujesz gniew we mnie wzbudzić, nie uda ci się to dzisiaj.

— Ee, co się tyczy obudzenia twego gniewu, zostawiam to Niemcom! A mam jakieś przecucie, że ci niedługo dobrze na kark wsiądą.

— Uczynię wszystko, co tylko można, bylebym uniknął wojny.

— A z tego wyniknie jeden rezultat niezawodny.

— Jakiż to?

— Dotychczas mawiano o tobie: „książę Żel człowiek dobry, jak gołąb“, potem powiedzą: „głupi, jak baran“.

Zaczerwienił się Żel i skinął na jednego z żołnierzy, jakgdyby miał zamiar skarcić błazna; wnet jednak powstrzymał swe uniesienie i rzekł:

— Za to rozwolnienie języka powinienbym cię surowo ukarać, conajmniej skazać na spokojne przepędzenie życia w jednym z podziemnych zamkowych lochów.

— Rozumiem! Szczęście ludzkości polega na

tem, ażeby człowiek od człowieka był oddzielony, to jest, aby każdy miał swój własny pokój!... To się nazywa panowanie królestwa pokoju.

— Milcz, błaznie! — krzyknął Żel popędliwie.

W tejsze chwili żołnierz, stojący obok, wydobył miecz z pochwy i zamierzył się na błazna, ale Miklos odskoczył, a żołnierzowi pokazał język, mówiąc:

— Przypatrz się, drabie, jak wygląda prawdziwie ostry oręż!... Zraniłem nim oto księcia Żela i tak dotkliwie, że gotów rzec się swojej wielkiej myśli uszczęśliwienia ludzkości.

A potem zwrócił się do księcia z temi słowy:

— Żelu, każ mi uciąć głowę! Będę tryumfował, ponieważ ludzie po mojej śmierci powiedzą: „sławny błazen Miklos wybił Żelowi z głowy ćwieka, to jest nauczył go mądrości“... Czyż błazen może pięknie umrzeć?

— Schowaj miecz! — krzyknął książę na żołnierza i z dumą się oddalił.

Ale Miklos szedł za nim zdala wolnym krokiem, a cichym głosem mówił:

— Oj, głupi Żelu! Nie chcesz, ażeby błazni drżeli przed tobą? Więc się będą z ciebie naśmiewali.

Sławka tymczasem na dobre zakochała się w złotym geniuszu; o nim tylko myślała, on jeden zdawał się całą jej istotą napęłniać. Właśnie na łowy przybył nowy poczet rycerzy, a w gronie ich Miła, dorodna córka jednego z wasalów księcia Żela i przyjaciółka Sławki. Kiedy obie te zachwycające dziewczęta rzuciły się jedna drugiej w objęcia, rzekłbyś, iż lilia z różą spłótły się w uścisku.

— Jakże tu u was dobrze w tej wiekowej dąbrowie! — zawołała Miła, odgarniając krucze pukle włosów, które z pod rycerskiego hełmu spadały jej na czoło. — Zaledwie tu przybyła, czuję w sobie dziwny urok życia, jakiś nieopisany spokój napęłnia ją

duszę. Rycerze są jacyś dobrzy i wszędzie się rozlegają pieśni miłosne.

W odpowiedzi na to oczy księżniczki Sławki, podobne do szafiru pogodnego nieba, zapalały niezwykłym blaskiem, a ona zdjęła z szyi bogaty naszyjnik z pereł, koralu, bursztynu, złota i ubrała nim przyjaciółkę.

— Przyjmij to, droga Miło, — rzekła, — jako pamiątkę przeobrażenia się stosunków świata. I dla mnie nastała zupełnie nowa era życia. W łonie swem poczułam miłość, która nie gaśnie, która niewiastę czyni posłanniczką niebios na ziemi. Bo widzisz, Miło, ta zwyczajna miłość, którą mężczyzna kobiecie daje, to mało; ona się kończy, więdnije, woń traci... Potrzeba czuć w sobie niesmiertelne pragnienie, które się z pokolenia w pokolenie przeschębia.

— Nie pojmuję ja jasno tego, co mówisz, Sławko; ale słowa twe mają dźwięk jakiś czarodziejski i w duszy mojej brzmią jakby echa wieszczów naszych kapłanów. Dziś jestem inną, nie tą zwykłą Miłą...

— A powiedz mi, czyś ty kiedy kochała? — rzekła tajemniczo księżniczka, chwytając rękę Miły.

— Czym ja kochała? Och, miłością tylko żyję dla jednego z rycerzy, który tajemniczo zjawił się kiedyś na turniejach w zamku twojego ojca! Ubrany w czarną zbroję, na swoim dzikim, wronym biegunie wyglądał, jak sam bóg wojny. I nikt, nikt, ani z naszych, ani z obcych rycerzy, nie mógł go pokonać. Szalony wichur, kiedy się burzą zerwie i z korzeniami wielkie dęby wyrzywa; morze, gdy się górami fal piętrzy i, rycząc groźnie, w opoki granitu niemi wali, nie są tak wspaniałe potężne, jak ten mój rycerz - kochanek... Sławko, czy ty pamiętasz, że on przedemną zgiał kolano i z moich rąk przyjął nagrodę zwycięstwa?... Potem zniknął i odtąd w snach, na jawie tęsknię do niego.

— Teraz, Miło, ja ci opowiem, jakim jest mój rycerz, raczej bóstwo moje. Z jego oczu promienieje dobroć; blask taki piękniej, niż słońce, oświeca ziemię. On ma czoło pogodniejsze, jaśniejsze, aniżeli któryś z największych bohaterów świata. Gdzieżby mu kto na świecie sprostać zdołał? Cicha i rzewna, jak łzy, pieśń jego fletu uśmierza wrzące namiętności wojowników i zagłusza dzikie dźwięki trąb wojennych. On sprawia, że rolnik spokojnie orze niwę i ziarno jej powierza; rycerze stają się obrońcami słabych, pocieszają cierpiących i spieszą tam tylko, gdzie pokój zwiastować trzeba. I za tryumfy swoje, za zwycięstwo on nie przyjął żadnej nagrody, lecz mnie, słabej kobiecie, powierzył swój złoty flet czarodziejski, którego pieśń wszelką burzę zażegnawa i świat błogosławieństw darzy.

— Któż to jest taki, coby, jak mówisz, pieśnią fletu zdołał rozbroić mego bohatera?... Zawsze sądziłam, że sławny rycerz Wartom, hetmanem rycerzy zwany, jest godny uczuć twoich; ale w walce i on przecież uległ przed męstwem mego rycerza.

— Nie, Miło, nie ku Wartomowi zwraca się moja istność!

— To, co mi zwierzasz, jest dla mnie niespodzianką... W miłości twej, podobnie jak w mojej, tkwi widać tajemnica.

— Wiesz ty, co to jest geniusz? — zapytała księżniczka, wpatrując się w oczy przyjaciółki.

— Domyślam się, że to musi być imię jakiegoś mężczyzny, bo przecież kobieta tylko mężczyznę może pokochać. Ale zaprawdę, geniusz jest to imię niezwykłe.

— Geniusz, moja Miło, jest istotą nadziemską, która tobie daje uczucie miłości dla twego rycerza, a sercu rycerza każe bić dla ciebie. Widzisz, mój geniusz szczęściem darzy wszystkich ludzi; pod jego

wpływem kwiaty dyszą cudowną wonią, ptaki zawodzą uroczne pieśni. Pomyśl, że ilekroć człowiek spotka człowieka, a szczerze sobie podadzą dłonie i szczerze sercami wiążą się z sobą, tam jest zwycięstwo mego geniusza!

— Ale czy on może być mężem, czy kobieta może być jego żoną?

— Więcej, aniżeli być żoną, znaczy być wiecznie kochanką!

— I po cóż być narzeczoną, po co kochanką, jeśli się żoną nie zostanie? Cóż warta taka nieurzeczywistniona miłość

— Kto ślubuje bogom, ten ponad ziemię musi wzniesić głowę.

Na tę rozmowę dwóch przyjaciółek nadszedł Żel, obok którego kroczył błazen Miklos. Sławka była wzruszona i rzuciła się natychmiast w objęcia ojca; Miklos zaś, strojąc dziwne miny, zaczął się umizgać do Miły i chciał ją nawet uścisnąć. Ale energiczna przyjaciółka księżniczki naprzód odtrąciła błazna tak silnie, iż padł wznak na murawę, a potem ze śmiechem pustym podeszła ku niemu, podniosła go z upadku i, całując w głowę, rzekła:

— Mój geniuszu - błaznie!

Roztargniony książę zdawał się nie widzieć córki i jej towarzyszek, ale w zadumie jakiejś mówił sam do siebie.

— Wieczny pokój, wieczne szczęście ludzi... wielka myśl! Tylko dzieła pokoju zostają po nas na świecie! Ale margrafa nie widać, a bez niego ustalenie pokoju jest niemożliwe, bo on wojną kipi cały.

— Zabij go i wytnij co do nogi jego gawiedź, a przez całe życie będziesz używał spokoju! — zawołał błazen.

— Sławko — odezwał się Żel, — muszę jechać na spotkanie margrafa; ale gość najcenniejszy dla

mojego serca zostaje tutaj; zastąp mię, bądź gościnną i uprzejmą gospodynią!

— A któż to jest, mój ojczcie, ten gość najcenniejszy dla ciebie?

— Jakto, nie wiesz? Złoty Geniusz!

— Żelu — rzekł błazen, — tyś się w czepku urodził, ale jesteś niedołęga! Kiedyś tam jakiś książę o małego karku nie skreślił, wyprawivszy się po złote runo, a ty barana złotego masz we własnym domu. Inni książęta greccy musieli płynąć aż pod Troję, aby tam wytłuc różnych margrafów trojańskich, a potem spalić i zburzyć miasto; do ciebie margraf sam przyjeżdża, a ty się troszczysz o to jedno, aby z nim zawrzeć przymierze... Psu na buty się nie zda!..

— Ojczcie, co mi rozkazujeś czynić, abym była uprzejmą dla złotego geniusza? — spytała księżniczka.

— On powiada, że niedługo zaśnie i będzie spał przez lat tysiąc, aby nie przeszkadzać srożącym się wojnom i pożogom; powiada, że po tysiącu lat snu znowu się zbudzi na krótką chwilę, ażeby czuwać tylko od wschodu do drugiego wschodu słońca. Sławko, ja jestem w obawie, aby geniusz nie zasnął przed przybyciem margrafa, z którym chcę zawrzeć przymierze wiecznego pokoju.

— Jeżeli chodzi o porządne wystrzyżenie złotego runa na baranie, Żel dobrze robi, iż powierza dzieło takie delikatnym, drobnym i bieluchnym rączkom swej córki... Ale co się tyczy przymierza z margrafem, zawarcia z nim pokoju, na to jest jeden tylko sposób: wypraw go na tamten świat, i koniec. — Tak mówił Miklos, zwracając się do Miły.

— Córkó, dołóż starań, aby geniusz nie zasnął! — rzekł książę, składając pożegnalny pocałunek na czole Sławki. — Opowiadaj mu piękne baśni stare, cudowne!

— Eh, przy pięknej kobiecie i największy bałwan

nie zaśnie! — zawołał Miklos. — Gdyby tak mnie Żel polecił zabawiać tego złotego bałwana, dołożyłbym wszelkich usiłowań, aby go uśpić i ściągnąć z niego złote łańchy...

Miła, którą niecierpliwiła mowa błazna, dobyła miecza i płazem kilkakrotnie uderzyła gadułę.

— Głupota ma dwa rodzaje — rzekł Miklos: — męski, jeżeli bogowie uposażyli w nią mężczyznę, i żeński. Ale rozum należy tylko do rodzaju męskiego.

III.

Słońce zaszło i ponure mroki zalegały w boru. Rozpalono sute ogniska, a oświetlona ich blaskiem przesuwiała się rojnie książęca czeladź, uzbrojona w błyszczące topory, dzidy i łuki. Tu i owdzie odzywała się pieśń, lub gwar licznych głosów ludzkich leciał w milczącą knieję.

W samym rogu obszernej polanki stał świeżo zbudowany ołtarz, a dokoła niego kilka namiotów, otoczonych przez strażę książęcą. Przed jednym takim namiotem siedział złoty geniusz, a obok niego księżniczka Sławka; oboje oddawali się rozmowie.

— Geniuszu — mówiła dziewczyna, — najwyższa wdzięczność należy ci się od świata za szczęście, którem go darzysz.

— Szczęście i wdzięczność są znikome, dowierzać im nie można. Wnet tu przyleci inny geniusz, zapali pochodnię wojny, przedstawi nowe widoki, zbudzi odmienne życie; świat mu będzie hołdował, a wtedy szczęście i wdzięczność znajdą się na innych torach.

— Przedłuż czuwanie swoje dla dobra biednych stworzeń ziemskich!

— Nie mogę! Wojna jest prawem wyższem, aniżeli pokój. Kiedyś w przyszłości, za wiele tysię-

cy lat, kiedy spracowany geniusz zniszczenia ukończy wszystkie swoje zadania, wtedy na ruinach bytu, na mogile życia, ja zatknę swój sztandar. Będę panował sam jeden, mając obok siebie wiekuiste milczenie grobów.

— A teraz cóż nam zostawisz po sobie?

— Nieukojoną tęsknotę za tem, czego nie znacie. Będziecie się wili w cierpieniach, a całem waszem szczęściem będzie złudzenie, że inaczej na świecie być może.

— Smutna obietnica!

— Kto żyje, musi kochać i czuć; kto kocha i czuje, ten musi cierpieć. W jakikolwiek sposób zwiększają się cierpienia, zawsze przez to podnosi się stopień pragnienia szczęścia. Życie jest tylko ofiarą jakiejś miłości.

Oni sobie tak rozmawiają, a tu znenacka nadchodzi Miklos, który się wszędzie wałęsał i patrzył, jak co jest.

— Ho, ho! — zawołał — miłość tu aż pachnie... Księżniczka nasza wygląda, jak słońceznik, wpatrzony w słońce. Oczka w robocie! Och, piękne niewieście oczka potrafią zmieknąć na wosk każde serce!... Jednakże — mówił, nachylając się do ucha dziewczyny, — kiedy ci przyjdzie już ostatecznie obcinać poły tej złotej kapoty, radzę dobrać sobie do pomocy jakiego doświadczonego człowieka. Wogóle należałoby się przedtem przekonać, czy to jest czyste złoto... Dziś nikomu wierzyć nie można!... A powiedz mi, Sławko, kto jest właściwie ten kapiący złotem jegomość?

— Geniusz! — odrzekła z niechęcią księżniczka.

— Phi, co za tytuł! Lada gęślarz, przybłąda, nadawszy się, z pompą mówi o sobie: „jestem geniusz“! Zresztą, stopień mojego szacunku jest zależny od jego stałych dochodów. Bo jeśli on naprzykład złoto robi...

— Wiedz, błaznie, że jego dzieła są stokroć droższe od złota!

— Czołem przed złotem, czołem! Ja, dalibóg, nie jestem żaden wartogłów, idę zawsze za głosem ogółu.

Ale złoty geniusz wcale nie zwrócił uwagi na pokłony błazna.

— Ma mię za ba - i - bardzo — mruczał pod nosem Mikłos, — nawet nie raczy na mnie spojrzeć! Jednakże zdaje mi się, że Sławka źle bawi gościa, bo on tak wygląda, jakgdyby mu się spać chciało...

Nadeszła straż i Mikłosa odpędzono.

Już teraz grube ciemności nocy się rozpostarły; niektóre ogniska gasły, do innych dorzucono świeżych drew i te buchały płomieniami. Jak duchy, przechodziły tu i owdzie ludzkie postaci. Z poza krzaków wychyliła się niekiedy głowa człowieka, a w niej świeciła para ciekawych oczu. I gwiazdy na niebie migotały nieustannie, spoglądając ku ziemi, niby oczy niebios. Czasem w oddaleniu pies łowczy zaskomlał, koń zarżał, lub człowiek ziewnął.

Tak noc schodziła w kniei.

A oto złoty geniusz, jakby do snu, złożył swą głowę na kolanach księżniczki i wsłuchiwał się w baśń jakąś, którą mu ona swym dźwięcznym głosem opowiadała.

— Cóż dalej? — pytał.

— Więc ta królewna — prawiała Sławka, — zamieniona w węża, obwinęła się koło niego i tak poszli oboje na wschód słońca, bo on koniecznie na słońce chciał się dostać...

— Cudowne marzenie, przesłiczna bajka! Gdyby nie geniusz pokoju, nic podobnego nie zjawiłoby się na ziemi — rzekł złoty geniusz, ziewając. — Cóż dalej?...

— Zaszli oboje pod wielką i stromą górę, od której z daleka biła nadzwyczajna jasność. Człowiek ni-

gdyby nie zdołał wdrzeć się na szczyt po takiej stromości; więc dopiero przemieniona w węża królewna wbiegła na ową górę i znalazła tam dwa skrzydlate konie. Czempredzej jednego z nich dosiadła; koń sfrunął na dół, a drugi skrzydlaty za nią poleciał. Mieli już teraz pod sobą konie i na ich skrzydłach mogli lecieć do słońca...

— Lecieć do słońca... to szczyt pragnień! Nigdy wyobraźnia nie stworzyła większego arcydzieła... Jakże rozkosznie zasypiać z takim marzeniem! — Mówiąc to, geniusz ziewnął po dwakroć, a potem dodał: — Spójrz na niebo i powiedz mi, czy daleko jeszcze do wschodu słońca?

— Już świta! Tam daleko, poza czarnymi borami, bieleją niebiosy. Już się wynurza łuna promieni słońca, które wnet zagore nad ziemią i pocznie ją smażyć biczami swemi. O, bodaj się nigdy ta spokojna noc nie skończyła! Bodaj się błękit nieba nigdy pożarem słońca nie zakrwawił! Bodaj wiecznie tylko promienie gwiazd przyświecały!... Widzę oczyma duszy, jak leci do nas straszny duch wojny; ziemia się wkrótce krwią ludzką zarumieni, głosy przekleństw, rozpacz i trwogi napełnią powietrze.

— A potem złote marzenia, złote baśni jeszcze piękniejsze będą. Pamiętaj, abyś je budziła i wtedy, gdy mordy, pożogi zaleją ziemię... Świat bowiem musi mieć czem ocierać łzy swoje i goić rany! Powierzam ci flet, z którego miliony pieśni wydobędzie serce miłości pełne... Ja w wieńcu, uwitym z marzeń świata, zasypiam na tysiącolecie.

Powiedziawszy te słowa, geniusz zasnął.

Księżniczka pochyliła swą głowę i ustami dotknęła czoła geniusza, które było zimne, jak marmur.

— Wielkimi zadaniami zapłodniła się dusza moja — mówiła Sławka; — czuję się być oto namaszczone kapłanką czci wielkiego bóstwa pokoju.

Aż tu naraz zagrzmiały kopyta końskie i w pełnym cwale wpadł z hucem rycerzy Wartom.

— Hej! — krzyczał — kto żyw, niech do szeregu staje! Z oszczepów, z dzid utwórzcie szpaler!... Żel jedzie, a z nim jego goście!

Ale rozespani żołnierze zaledwie się poruszali, więc Wartom pochwycił za bary najbliższego pod ręką i, potrząsając nim silnie, wołał z wściekłością.

— Niezdaro, gapiu! cóż to, rozkazów moich nie słyszysz. Gdzie jest wasz setnik, dziesiętnik?... Łotry przekłete!... wszyscy drzemią! Na pal was każę wbijać, skóry z was zwlokę i będę darł w pasy!

— Książę Żel ogłaszał nam panowanie szczęścia i pokoju, a Wartom bije, popycha, grozi! — pomrukiwali żołnierze.

— Prędzej się zwijać, hołoto, bo mieczem łby popłatam! — krzyczał znów Wartom, biegając z obnażonym mieczem, a potem róg wojenny do ust przyłożył i głosem jego zwoływał zbrojnych.

Sławka z niechęcią spoglądała na to, co się dzieje; przebiegała między szeregami i pocieszała tych, którzy za surową karę otrzymali.

Złoty geniusz już zasypiał, nie miał kto burzy gniewu zażegnać. Dźwięki wojennego rogu zdawały się światu przypominać zarząd innego porządku rzeczy. Słońce z za lasów krwawo weszło, zapowiadając niejako, że każdy wczorajszy dzień, każda wczorajsza noc nie są rzeczywistością, lecz złudzeniami prawie.

Ale na błazna wszystko to, co zaszło, nie miało najmniejszego wpływu. Przechadzał on się uśmiechnięty i z miną drwiącą, a szydził z każdego, kogo napotkał. I teraz, widząc, iż Wartom rozbija żołnierzy, Miklos podszedł do rycerza z temi słowy:

— Za pozwoleniem! Jak widzę, waszmość Wartom za dużo sobie pozwalasz. Książę Żel, choć mocarz nielada, wczoraj po południu ścisnął się serdecz-

nie i całował ze mną, jako też z tymi wojakami, których ty rozbijasz i rzucasz nimi tak, jakby to były zgniełe gruszki.

— A ty próżniaku, urwisie! — wrzasnął Wartom, oburzony w najwyższym stopniu, i dobył miecza, którym porządnie wypłazował Miklosa.

— Pamiętajcie mi krzyżeć na całe gardło: „niech żyje Żel, niech żyje margraf Drako, niech żyje pokój!“ — komenderował Wartom.

— A ja wam powiadam: krzyczcie: „niech żyje mydło!“ — zawołał błazen, lecz czempredziej zemknął w krzaki.

Jakoż wkrótce ukazał się poczet rycerzy, a na jego czele Żel i margraf Drako.

— Niech żyje Żel, niech żyje margraf Drako, niech żyje pokój! — krzyczeli na cały głos Pomorzanie.

Skoro zaś krzyk ten przebrzmiał, Miklos wyskoczył nagle z krzaków i wrzasnął:

— Niech żyje mydło!

Porwał się zaraz Wartom i strasznie groźny biegł, aby skarcić błazna, ale ten uszedł natychmiast w gąszcze.

Szedł teraz książę Żel z całym orszakiem ku miejscu, gdzie we śnie spoczywał złoty geniusz. Widok uśpionego ducha pokoju przeraził księcia.

Ale margrafa zachwycił widok posągu człowieka, ulanego z czystego złota; dotykał on go ręką, usiłował podźwignąć z ziemi i oczu nie mógł od tej bryły złota oderwać. Był zaś w orszaku Drakona rycerz w czarnej zbroi, ze spuszczoną przyłbicą, nazwiskiem Cebo. Ten posunął się do margrafa i ponurym głosem szeptał mu na ucho:

— Poganin Żel chce cię olśnić bogactwy swej; czyż ty ścierpisz chępliwość pyszałka? Alboż może być lepszy powód do wypowiedzenia wojny? Czy-

ste złoto zawsze jest godne walki, a nad tę bryłę w żadnych skarbcach świata piękniejszej nie znajdziesz.

— Żelu, ile może ważyć ten wspaniały posąg? — zapytał margraf.

— Spróbujcie, dostojny panie, zważyć go na siłę chłop! — mówił książę z przechwałką.

Wówczas margraf, który żelazo w rękach umiał kruszyć, podsadził się potężnymi barami; ale go siła zawiodła. Próbowali dźwignąć samowtór z Żelem; później innych jeszcze do pomocy przyzwali — wszystko nadaremnie. Zjawił się na to Miklos i rzekł:

— Wieczni wrogowie, nie bądźcie szaleni, gdyż nie udźwigniecie pokoju! Brzemie wojny o wiele lżejsze jest dla was...

— Machorze! — zawołał Żel. — Jesteś siłaczem nielada, a oprócz ciebie są w hufcach moich inni, którzy w pojedynku z niedźwiedziem idą o lepsze. Zabierzcie się żwawo i złoty posąg geniusza pokoju postawcie na ołtarzu!

Jednakże i rycerz Machor z siłaczami nic nie wskórali.

— I cóż ty na to, Cebonie? — powiada margraf do czarnego rycerza, który postacią swoją przypominał bajecznych olbrzymów. — Przyłóż swą rękę, a posąg ruszymy z miejsca!

— Wojna nie wznosi posągów pokoju, ale je niszczy i zabiera! — odparł ponuro rycerz Cebo.

Gdy wszelkie usiłowania spełzły na niczem, wtedy margraf odezwał się do Żela:

— Jesteśmy oto znużeni całonocnem czuwaniem; każ ucztę zastawić, a skoro pokrzepimy siły dobrym posiłkiem i wywczasem, wtedy, jak myślę, o drugie tyle będziemy mocniejsi.

Natychmiast więc książę wydał rozkaz, aby przygotowano ucztę, a potem prowadził gości do stołów.

gdzie na wielkich misach pachniały pieczone mięsiwa i stały dzbany, pełne napojów.

Zasiedli rycerze wkoło, smaczne kąski w palce brali: jedli i pili, jak na rycerzy przystało. Szybko sprzątano pokarmy, wypróżniano dzbany, więc nowe zapasy przybywały na stoły nieustannie. Żel pił za zdrowie margrafa, margraf za zdrowie Żela, i wypito dużo za pomyślność przyjaźni, zgody, pokoju.

Atoli ucztę zakłócił zgilek niezwykle.

W rogu polanki, gdzie leżał złoty geniusz w śnie pogrążony, zjawił się tłum chłopów księcia Żela. Ubrani w szare sukmany, otoczyli oni złoty posąg, patrzyli nań z ciekawością; niektórzy oddawali mu pokłony, z czcią padając na ziemię.

— Wartomie, idź - no i wybadaj tych obdartusów; dowiedz się, czego oni chcą tutaj w tak uroczystej chwili? — rzekł książę, spostrzegłszy tłum chłopów.

Porwał się rycerz od stołu, podbiegł do gromady i pyta:

— Pociście tutaj przybyli? Kto wy jesteście?

Wystąpił z tłumu jakiś i czapką skłaniając się rycerzowi do kolan, tak prawił:

— Myśmy księcia Żela; on dobry pan nasz. W całej okolicy różni głoszą, że w tym lesie jakieś osobliwe rzeczy się dzieją. Podobno złote bóstwo się objawiło, podobno książę łaskami obsypuje ludzi, chłopów z panami równa. Więc przychodzimy gromadą zobaczyć, jak jest, a one łaski książęce odebrać.

Powrócił Wartom do księcia i przedstawił to wszystko, co chłopci opowiedzieli.

— Szepnij Żelowi, aby kazał rozpędzić tę gromadę wyjących wilków! — powiedział na ucho Cebo do margrafa.

— Ta poufałość do ciebie twoich poddanych, Żelu, zatruwa ucztę — rzekł margraf.

— Każ-że mi natychmiast wygnać stąd na cztery wiatry tę hołotę! — krzyknął Żel, zwracając się do Wartoma, a w duchu sobie dodał: — Niemiec mi psuje robotę uszczęśliwienia ludzi; ale trudno...

Wartom znowu wpadł między chłopstwo i w uniesieniu gniewu wołał:

— Precz stąd czempredzej, trutnie!... Precz, bo wieszać każe!

— Aha, widzicie, te łaski! — szemrali chłopci na wszystkie strony.

Przyzwani przez Wartoma zbrojni poczęli okładać chłopów i wypędzać.

Uchodząca rzesza napełniła knieję straszliwym wrzaskiem i złowrogimi odgrózkami. Niektórzy chłopcy odwracali się i, miotając przekleństwa, pokazywali z daleka zaciśnięte pięści.

— Szkoda, że ich lepiej jeszcze nie oćwiczono! — mruknął Cebo, uśmiechając się złośliwie; nachyliwszy się zaś do ucha margrafa, prawił: — Bóg sam daje ci sprzymierzeńca w wojnie przeciw Żelowi... To chłopstwo zawiedzione, niezadowolone wkrótce podniesie bunt, twoim zaś obowiązkiem jest skorzystać z tego...

IV.

Różni rycerze już sobie dobrze podjedli i podpili, więc wchodzili do namiotów z gałęzi i kładli się na spoczynek, podczas gdy inni przy dzbanie prowadzili jeszcze rozmowę. Wtem siedzący zdala na uboczu Miklos zawołał:

— Patrzcie-no, patrzcie, duda idzie!

Rycerze podnieśli oczy i ujrzeli krocącego zwolna po leśnej ścieżce gęślarza. Błazen biegł zaraz naprzeciw idącemu i mówił:

— Dobrze, żeś tu przyszedł, rzępo! Będę miał przynajmniej odpowiednie towarzystwo, bo dotychczas nie było tu z kim wypić.

I wziął gęślarza pod rękę, prowadził go przed dostojnych biesiadników.

Było już dobrze po południu. Pijany margraf kipiał nad stołem, a Żel przystawiał mu coraz to nowe dzbany z winem i zachęcał do picia.

— W sam raz przychodzisz, gęślarzu! — zawołał książę. — Podać mu wina!... Siadaj, pij, śpiewaj!

Tyle powiedział Żel i z nóg się zwałił; padł na ziemię prawie przy stopach Drakona, gdzie też zasnął twardo: wino go zmogło.

— Bodajeś się do jutra wieczora nie zbudził, pijanico! — powiedział Cebo; poczem wziął margrafa

pod rękę i, rozmawiając z nim coś pocichu, wprowadził go do namiotu.

Kiedy pacholek podał gęślarzowi czarę z winem, przy stole siedziało tylko pięciu niedobitków, a i ci za ledwie mogli używać swych języków. Gęślarz, wypiwszy swoje, uderzył w gęśl.

— Śpiewaj tak, aby i ta reszta pijaków zasnęła! Sami we dwóch lepiej się zabawimy — szepnął gęślarzowi Miklos.

— Ty mię nie ucz, znam się na takich sprawach, i gdy zechcę, pieśń moja działa skuteczniej, niż sok makowy — odrzekł gęślarz i niezwłocznie śpiewać zaczął.

— Dajże już pokój! — rzekł błazen po chwili, odbierając gęśl śpiewakowi. — Ostatni przecie padł pod stół i chrapie: nikt cię nie słucha... Ba, oni sami teraz zamienili się na bardów: sapią, gwiżdżą nozdrzami, chrapią. Sprzątnijmy sobie oto ze stołu nieco napitków, ile tyle pieczonego mięsa i spożyjmy to na boczku... Szczerze ci powiem, że przy dźwiękach twojej zachwycającej pieśni można nawet naczcho zasnąć, a i to lepsze jeszcze, niż jej słuchać.

— Nie myśl, że człowiek w moim wieku pali się bardziej do śpiewania, niż do dzbana! — mówił gęślarz.

— Dostyc spojrzeć na barwę twego nosa, aby uwierzyć w to, co mówisz.

— Mój nos... nic osobliwego: jest on siny, gdym trzeźwy; staje się purpurowym, kiedy piję; a przybiera barwę fiołka nazajutrz po przepiciu.

— Są to właśnie barwy Żela, więc się strzeż, aby cię kiedy nie powieszono na baszcie naszego zamku zamiast chorągwi.

Mówiąc to, Miklos uprzątał ze stołu misy z mięsiwem i dzbany z napojami, a wszystko przenosił w krzaki, aby tam we dwóch mogli niewidzialni ucztować.

Otóż zasiedli samowtór i pokrzepiali siły, pozwa-

lając sobie niekiedy czynić ucieszne spostrzeżenia co do chrapiących opodał rycerzy.

— Spróbuj schabu! — wołał Miklos. — Wyborny przysmak: przygotowali go wyłącznie dla margrafa; a jakie wino pijasz: węgierskie, reńskie, czy cypryjskie?

— Kochanku, przy mięsie ja zawsze piję piwo!

— I dobrze robisz, stary pieczeniarszu; podobasz mi się po swoim rozmachu w piciu. Wiesz co, wypijmy braterstwo! Toć błazen i gęślarz są jakby rodzeni bracia.

Już się zupełnie ściemniło, noc leciała na ziemię i nakrywała ją swym czarnym płaszczem. W przyrodzie nie było spokoju: na niebie nie świeciła żadna gwiazda, wicher dał górą i giał wierzchołki drzew, a w chmurach poważny grzmot się rozlegał od czasu do czasu.

Naraz z namiotu wyszedł Cebo, popatrzył wkoło, spojrzął na niebo, a potem zwrócił kroki w kierunku, gdzie stał ołtarz pokoju i zasypiał złoty geniusz. Ziemia drżała pod stopami wojownika; wicher zawył dziko, wpadł między ogniska, rozrzucił głównie i większa jeszcze ciemność zaległa. Rycerz stanął nad powalonym złotym geniuszem, roześmiał się pogardliwie i rzekł:

— Bezduszny i bezkrwisty dzieciaku, co dziwy stroisz ze świata, wnet ci wyprawię pogrzeb na wieki! — Potem zbliżył się do zbudowanego przez Żela ołtarza pokoju. — *Aurea pax!* — zawołał i nogą kopnął budynek, który się cały w gruzy rozleciał. Na tych gruzach Cebo wbił dźwidę.

— Zadam wam pracę na tysiąc lat! — mówił ponuro; poczem wydobył róg wojenny i zadał w niego.

Zerwał się straszny wicher, który z trzaskiem łamał drzewa; biły pioruny, niebo pałało ogniem błyskawic.

Gdy się srożyła ta potężna burza, poprzez wertepy kniei gnała na bystrym rumaku Miła. W zbroi cała,

z dobytym mieczem w rękę, w złocistym hełmie na głowie, oświecona błyskawicami, wyglądała, jak anioł zniszczenia. Stała, jak wryta, przed czarnym rycerzem i rzekła:

— Jedyńy na świecie panie mój, geniuszu wielki, co rozkazesz?

— Przez wieki będziesz rodziła synów-bohaterów, którzy światu nie pozwolą zgnuśnić, ale go sławą napelnia i życie ducha wojny weń wleją! Masz róg mój, którego pieśń zapala w piersiach ogień męstwa i do tryumfów prowadzi... Przy dźwiękach jego wychowuj dzielne pokolenia!

Oczy Miły zaiskrzyły się blaskiem błyskawicznych płomieni, pochyliła głowę; odebrała z rąk rycerza róg wojenny, potem dumnie wzniosła głowę i na swym rumaku poskoczyła w odmęty burzy!

— Wszystkie wiedźmy i wszystkie biesy wydarły się dzisiaj na świat, czy co takiego! — utyskiwał Miklos przed swym towarzyszem-geślarzem. — Ani zjeść porządnie, ani wypić nie można.

— Dopóki panowie ucztowali, było zupełnie spokojnie; ale nam biednym nawet przyroda nie sprzyja.

— Stąd nauka, aby dzbana póty z rąk nie puszczać, póki ostatniej kropli nie wysączyysz. Niech potem wicher spróbuje wylać to, co się dostało w moje czeluści!

Tymczasem Cebo powrócił do namiotu i jał budzić margrafa.

— Czas wstawać! — mówił. — Niech sobie ci pijacy śpią tu spokojnie, a my niezwłocznie napędzimy im knechtów na karki... Toż o godzinę drogi czeka na rozkazy nasz hufiec.

Wstał margraf, przeciągnął się, ziewnął i mówił w te słowa:

— Oo, wicher, grzmoty! To mię niebardzo zachęca do drogi, a przytem dziwna gnuśność panuje na

dworze tego Żela; zaledwie tutaj przybyłem, zaraz poczułem jakby ołów w nogach i w głowie. Doprawdy, chętnie spałbym jeszcze jaką godzinę czasu.

— Zbieraj się i myśl raczej o tem, co ci nakazują obowiązki rycerza! — rzekł ze stanowczością Cebo.

Margraf przypasał miecz do boku i właśnie dosiadał konia, kiedy Miklos wysunął się z krzaków, zamierzając zrobić jeszcze przegląd stołu i usunąć, co się da.

— O, źle! — mówił sam do siebie błazen. — Kto wie, czy im się jeść i pić nie zachciało?

Rzekłszy to, przyczał się do ziemi. Niemcy wymknęli się pocichu, ostrożnie i wnet zniknęli w borach. Miklos sprzątnął teraz ze stołu nową misę, parę dzbanów i wrócił do swego towarzysza.

— Ho, ho! — rzekł do geślarza. — Nie bez koczery to Niemcy milczkiem się od nas wynieśli!

— Może należy zbudzić księcia, lub kogoś z jego przybocznych? — powiada geślarz. — Niema wątpliwości, że w tym odjeździe Niemców ukrywa się jakaś zdrada.

— Co? budzić Żela, lub kogoś z jego przybocznych? Do książąt się mieszać? Mój bratku, nie głupim!... Wolę ja spokojnie zjeść jeszcze kawałek mięsa i wypić tę resztę trunku, aniżeli się narażać na badania ze strony Żela, Wartoma, Machora, a może i być w posądku, że jestem w zмовie z Niemcami. Wiesz ty, czem to pachnie? Szubienicą!... Błazny i geślarze żyją rzetelnie wtedy tylko, kiedy śpią ich panowie.

— To prawda! Wojna czy pokój, przegrana czy wygrana, błazen jest zawsze tylko błaznem, geślarz geślarzem. Więc, próżni trosk wszelakich, jedźmy i pijmy!... Jestem dziś przy ogromnym apetycie, nie mówiąc o pragnieniu, które mię nigdy nie opuszcza, a które ja zaliczam do stałych zasad swego życia... Trzeba przyznać, że kuchnia u waszego księcia jest wyborna.

— Ja się nie skarżę; jako błaznowi, jest mi tu dobrze! Żel... stary bzik, księżniczka ciągle mówi o skowronkach, słowikach, gwiazdkach. Wszyscy dworzanie kradną na potęgę. Czasem zapłata się w to towarzystwo jaki dudek uczciwy, to się wszyscy ławą rzucamy na niego i lichu wziąć go musi.

— Bardzo pięknie! — zawołał gęślarz, ogryzając gnat baraniny. — Przedewszystkiem podobają mi się te wasze stypy leśne; bo w lesie, na świeżem powietrzu, człowiek nabiera żarłoczności wilka.

— W twoje ręce, ty tam, złoty bałwanie! — zawołał Miklos, przyciskając do ust dzban wina i odwracając się w kierunku złotego geniusza.

— Do kogo pijesz?

— A jest tu taki jeden, cały ze złota, człowiek nie człowiek, posąg nie posąg. Ponieważ przypuszczam, że się dostanie w ręce naszego podskarbiego i że mnie też kapnie z tego cobądź, więc przez wdzięczność piję jego zdrowie... Niech żyje geniusz, o ile jest złoty!

I Miklos do dna teraz dzban wychylił.

— A powiedz mi, po co Żel każe robić złote posagi?

— Robić? Dajże pokój! Żel goły, jak skóra wyprawiona na siodła.

— A więc to jest zapewne zdobycz wojenna?

— Takżeś domyślny! My przegrywamy wszystkie bitwy...

— Czy byłeś kiedy na wojnie?

— Byłem, miałem nawet miecz przy boku; ale, zaręczam ci słowem porządnego błazna, ani jedna kropelka krwi nie obciąża mego sumienia. Och, narobiliśmy też wówczas kłopotu nieprzyjacielowi!

— W jaki sposób?

— No, bo się wcale nie spodziewał, że drapniemy przy pierwszej strzale, wypuszczonej z łuku. Powiadam ci, zmykaliśmy tak, że wobec tego kpy zające!

A sam Żel podczas tej ucieczki drżał ze strachu, jak osika. I wyobraź sobie, że się przebrał w mój strój, ja zaś, na swoje nieszczęście, oblokłem szaty księcia. Nadbiegła jazda niemiecka i mnie wzięto do niewoli, jako Żela.

— To nadzwyczajnie zabawne!

— Może być zabawne dla ciebie, ale nie dla mnie. Gdy się bowiem Niemcy przekonali, że nie jestem Żelem, ani żadnem księżciem, zbili mnie na kwaśne jabłko. Łajdaczyłem się z nimi przez parę miesięcy, a potem zemknąłem na Pomorze.

— Ile lat pracujesz w zawodzie błazna?

— Od czasu przyjścia do rozumu, to jest liczę obecnie czterdziesty szósty rok życia, a ojciec Żela, wielki Mach, pasował mię na błazna, gdym skończył lat szesnaście.

— Fiu, fiu! Taki stary błazen powinienby mieć pieniądze... Zagrajmy w kości!

— Dobrze, ale pamiętaj, że jeśli przegrasz, a nie będziesz miał czem zapłacić, gęś ci zabiorę.

Uspokoił się wicher, ustały grzmoty, przeto błazen i gęślarz opuścili swoje schronienie w krzakach i wyszli na polankę, gdzie zasiedli przy ognisku, aby się grą zabawić.

Zaledwie atoli rzucili kości, gdy w lesie dał się słyszeć szum jakiś niezwykły, a potem z krzaków wypadły zwierzęta: niedźwiedź, dzik, wilk, lis, jeleni, zając, górą zaś nadleciał orzeł.

— Zgineliśmy! — zawołał Miklos przerażony. — Wszyscy śpią, jak kamienie, a nas tu oto napadają potwory leśne! Sił mi brakuje w nogach do ucieczki... Głos zamiera w gardle...

Ale zwierzęta nie myślały bynajmniej niepokoić błazna i gęślarza. Stały one kołem i zaśpiewały pieśń taką:

Życie polega na wojnie,
Co wszystko kłóci i wzrusza,
A więc do grobu spokojnie
Złożmy pokoju geniusza!

Skończywszy pieśń, zwierzęta obstały złotego geniusza, porwały go na barki i w bór uniosły.

Zerwał się teraz błazen na równe nogi, wpadł pomiędzy śpiących rycerzy i wrzeszczał przeraźliwie:

— Wilki! wilki! Gwałtu! ratujcie!

Za nim pędził gęslarz, równie przerażony, i wykrzykiwał:

— Ratujcie, ratujcie!... Gwałtu, niedźwiedzie, wilki!

Ten krzyk nadzwyczajny zbudził uśpionych rycerzy; zrywał się jeden za drugim, porywał miecz, łuk, lub oszczep, i wkrótce wszyscy otoczyli gęslarza i błazna. Miklos ciągle jeszcze wykrzykiwał swoje.

— Nie wrzeszcz! — zawołał książę, chwytając błazna za ramię. — Mów, opowiadaj wyraźnie, co się tu stało!

— Ach, Żelu! — rzecze Miklos. — Tak mocno i boleśnie mię oto ściskasz.

— Mów prędzej, co się stało! — wołali rycerze zniecierpliwieni.

— Kiedy wasze wielmożności zasypiały — powiedział błazen, — wtedy ja i mój przyjaciel, jedyni przytomni ludzie w tym lesie, siedzieliśmy sobie samowtór. Nagle wypada z krzaków gromada zwierząt. Ja odrazu plackiem w trawę, a te dzikie potwory nadzwyczajne spoglądają po uśpionych waszych wielmożnościach i tak mówią: „Te woły, wieprze, barany, pożarte przez śniącą tutaj pijacką hołotę, miały wartość daleką większą, aniżeli rycerze Żela i jego goście“.

— To już przechodzi wszelkie granice! — ryknął książę.

— Słuchajcie, słuchajcie! — mówił Miklos, nie dając się stropić. — Te dzikie zwierzęta zabrały złotego jegomościa, zwanego geniuszem, i uniosły go w las... Jakie to szczęście, że ja nie jestem geniuszem!...

— Jest to bardzo osobliwe! — mówił książę, wodząc okiem po obecnych. — Ale gdzież jest mój gość dostojny, margraf?

— Widocznie przyparły go jakieś pilne sprawy, bo wsiadł na konia i razem z innymi Niemcami odjechał — odparł błazen.

— Odjechał? Dokąd odjechał? — badał Żel zaniepokojony.

— Żałuję mocno, że jestem tylko nadwornym błaznem, a przeto nie czułem się być w prawie zapytać dostojnego gościa: „Panie margrafie, dokąd jedziesz?“

— Jak myślisz? co może znaczyć ten nagły odjazd margrafa? — zapytał książę Machora.

— Kiedy gość, a do tego Niemiec, potajemnie opuszcza progi, gdzie go podejmowano, jest to niezawodnie zdrada — rzecze Machor.

— Ha, więc wojna znowu! — zawołał Żel żałośnie. — Bogów biorę na świadków, że czyniłem wszystko, aby utrzymać pokój. Wartomie, Machorze, każcie siodłać konie!

— Co znaczy ten rozkaz księcia? — spytał błazna gęslarz.

— Jakto, co?... Kazał siodłać konie, gdyż konno najlepiej zmykać.

V.

Nowy dzień zajaśniał, a z jego światłem nastały nowe dzieje.

Opustoszała całkiem polanka, na której niedawno jeszcze brzmiał gwar i tłumy zbrojnych się roili.

Teraz oto z krzaków wypadł przerażony, rączy jeleń, w kilku potężnych susach rzucił się w starą knieję. A za nim z rozdziawionymi paszczami, iskrzącymi się oczyma rwały wilki, chciwe mordy.

Wnet potem inna gromada wilków zgłodniałych oskoczyła olbrzymiego odyńca i, zgrzytając zębami, prowadziła zażartą walkę w tem samem miejscu, gdzie na gruzach ołtarza pokoju geniusz wojny zatknął swą dziędę. Purpurowa krew zboczyła zieloną murawę; kły dzielnego odyńca z niejednego wilka wypruły trzewia, ale oskoczony przez wielu i tak wściekłych wrogów, musiał nareszcie uledez. Zwycięzcy rwali w sztuki nawpół żywe jeszcze mięso i głód niem zaspokajali.

Wtem nadszedł oto król puszczy — niedźwiedź. Na widok świeżo rozlanej krwi i gotowego żeru, wzniósł się do góry na tylnych łapach, łypnął gniewnymi ślepiami, rozwarł paszczę i wydał ryk straszliwy, który się echem grzmotu rozległ po boru. Wilki w popłochu pierzchnęły, jemu zostawiając zdobycz, drogo opłaconą.

Z nadzwyczajnym zapałem, a mądrą taktyką pędził lis trop w trop za uchodzącym w niezmiernej trwodze zającem.

Górą leciał orzeł, topiąc wzrok swój dziki w młodą sarenkę, która nadaremnie przed nim ukryć się starała. Za ładą chwilę on piorunem na nią spadnie, w jej ciało zapuści straszliwe szpony, a twardy, jak żelazo, dziób dokona reszty.

Wojna więc sroży się znowu w całej okropności.

Aż oto z wrzawą wielką nadciągnął tłum chłopów, uzbrojonych w widły, topory, młoty i drągi.

— Precz z Żelem! — wołali głosem ochrypłym od wściekłości. — Od dzisiaj Goraj jest naszym księciem i innego pana nie znamy!

Ten Goraj zaś był to wódz, co ich tu przywiódł, aby Żelowi i jego wojownikom zgutować zagładę.

Żadna boju tłuszcza doznała zawodu, ponieważ w tem miejscu nie spotkała nieprzyjaciela, jak tego oczekiwiała.

— Niema ich! — wołali chłopci. — Rycerze zlekli się i w trwodze uchodzą przed nami; ale pod ziemią nawet ukryć się nie zdołają!

— Pójdziemy na zamek, zdobędziemy go szturmem i z ziemią zrównamy! — wykrzykiwał Goraj.

Krótko trwał ich wypoczynek na polance; zdawali się nie czuć znużenia; okrzyk tysiąca głosów: „na zamek! na zamek!“ — zabrzmiał w powietrzu i cała czereda zniknęła w lasach.

Na chwilę cisza znowu zaległa polankę; ale wnet walczące o życie rozmaite zwierzęta pojawiły się tutaj i odezwały się bojowe okrzyki.

Cóż to za straszny gwar leci przez dąbrowę? Gwar ten przygłuszył wszystkie głosy puszczy. Strwożone zwierzęta zaniechały walki i pierzchły na wszystkie strony; przerażone ptaki w niezmiernym popłochu kryły się po gąszczach liści i stamtąd wystraszonemi oczyma spo-

gładały ku ziemi. Tylko wielkie stado kruków, kracząc, leciało górą, jakby w przewidywaniu zera.

To niemieckie knechty margrafa ciągną. Przodem sunie gromada zbrojna w krótkie miecze, długie piki i w topory, a na tyłach wlecze się szereg skrzypiących wozów, obciążonych zrabowanym łupem, na którym siedzą swarzące się między sobą baby i wrzaskliwe dzieci. Poza wozami postępuje tłum brańców i branek, skrepowanych i popędzanych przez strażę. Tu się łyzy gorzkie leja, tu słyhać wykrzyki bólu, przekleństwa.

— Halt! — krzyknął idący na czele kapitan chorałwi, nazwiskiem Roh. — Tu jest właśnie owa polanka, którą nam margraf kazał otoczyć i wyrznać, wykluć wszystko, co żywe znajdziemy... Gdzieś tu miał być nawet pomnik, ulany ze szczerzego złota.

— Oni tu byli, ale Żel nie głupi czekać w lesie z jezdnyimi na przybycie knechtów — odezwał się dowódca ciurów. — Mogą przebywać gdzieś na otwartym polu, a i to wątpię... Nasze długie piki przerażają tych ludzi, zakutych, jak żółwie, w żelazne skorupy.

Tymczasem knechci rozbiegli się po polance i wyrwali sobie niedojedzone resztki uczt, którą książę wyprawił magrafowi. Znaleziony kawałek wędzonki stał się przyczyną krwawej walki między trzema knechtami.

— Z pozostałych gnatów, porozbijanych dzbanów i wreszcie z zapachu, który tu jeszcze pozostał, wnoszę, że Pomorzanie porządną ucztę wyprawiali i mieli ogromny apetyt — mówił dowódca ciurów.

— A jednak ich apetyt do jedzenia jest jeszcze niczem w porównaniu z apetytem, jaki my na nich mamy! — odparł kapitan, a potem donośnym głosem zawołał: — Hej, dawać mi tu tych dwóch włóczęgów, którychśmy po drodze ujęli!.. Muszą to być szpiegi Żela.

Rozkaz wydany knechci natychmiast spełnili; ale przyprowadzono przed dowódcę jednego tylko jeńca.

Smutnie wyglądał ten człowiek, obdarty i mający głowę zakrwawioną, a na twarzy pełno ran, sińców.

— Gdzie jest drugi? — zapytał Roh.

— Zemknął gdzieś hultaj! — odpowiedziało kilka głosów. — Jeszcze przed niedawną chwilą był tutaj i gdzieś się zapodział.

— Coś ty za jeden? — badał Roh, uderzając silnie jeńca w ramię. — Radzę ci mówić szczerą prawdę, gdyż żyjemy w czasach wojennych, a wtedy życie człowieka nie więcej warte, co życie pchły.

— Jestem gęślarz i nie mam żadnego powodu do ukrywania prawdy — odrzekł zapytany. — Dziwię się nawet, za co już tyle plag otrzymałem, będąc zupełnie niewinnym.

— Czy z gęślą swoją byłeś i na zamku księcia Żela?

— Byłem tam nieraz, ażeby pieśnią zabawiać rycerzy, panie...

— A kto to był ten drugi, którego razem z tobą pojmano?

— Był to Miklos, błazen księcia Żela...

— Przeprowadzić go przez piki! — zawołał Roh.

Niebawem knechci uszykowali się w dwa rzędy, środkiem zaś przeprowadzono jeńca, którego w tym pochodzie każdy kłuił piką. Z nieszczęśliwego krew ciekła strumieniami, ostatni dech życia z niego uchodził; ale litości nie było. Jęcząc przeraźliwie, gęślarz wyzionął ducha w katuszach.

— Już się Żel niczego od niego nie dowie, a my nie mamy kłopotu z pilnowaniem go, żeby nie uszedł — powiedział spokojnie kapitan i wydał rozkaz, aby drużyna gotowała się do dalszej drogi.

Kiedy już cała ta hałastra opuściła polankę i podażyła drogą, wiodącą do zamku, naraz zaszeleściło coś w konarach starego dębu, który tam rósł na brzegu la-

su, i z wierzchołka drzewa począł się ostrożnie opuszczać na dół jakiś człowiek.

— Pokazuje się — mówił, — że bogowie dobrze świat ten urządzili. Naprzykład taki dąb, okryty zielonemi a gęstemi liśćmi, może nieraz stanowić twierdzę lepszą, aniżeli warowny zamek... Jednakże, mimo mądrych urządzeń świata, człowiek bardzo łatwo zginać może, jeżeli nie ma na karku porządnej głowy. Gdybym się nie był zrećnie wymknął z rąk knechtów i nie wdrapał na sam szczyt tego pięknego dębu, lotry byliby sobie ze mną postąpili tak samo, jak z moim nie-szczęśliwym przyjacielem, gęślarzem... Okropność!

Miklos — on to był bowiem — zsunał się nareszcie z dębu, popatrzył bacznie wkoło siebie, a potem podszedł do skrwawionych zwłok gęślarza i przez chwilę stał nad nimi zamyślony.

— Wytrzęśli z ciebie duszę, biedaku! — rzekł. — To jedno dobre, że już teraz nie będziesz nigdy doświadczał ani głodu, ani pragnienia, ani bólu, ani strachu.

Powiedziawszy to, błazen nabierał sporo gałęzi i nakrył niemi trupa, poczem puścił się w bór po jednej z bocznych ścieżek.

Nocą już powrócił Żel z hufcem zbrojnych do domu. Wnet też nadciągnęła za nim zgraja zbuntowanego chłopstwa i z nieopisaną wściekłością przypuściła szturm do zamku. Rycerze stawili dzielny opór, ale musieli nareszcie uleść przeważającej sile. Wielu z nich życiem przypłaciło swe męstwo, a w liczbie poległych znajdował się i nieustraszony Machor.

Książę Żel, Wartom i niektórzy inni szukali schronienia w podziemiach zamkowych, a stamtąd przez tajemne wyjście przedostali się w lasy.

Chłopi, upojeni zwycięstwem, przetrząsali zamek, roznosząc wszędzie spustoszenie; niemało gniewało ich to, że książę w moc ich się nie dostał, więc zaglądali do wszystkich kryjówek.

Strasliwe krzyki rozlegały się na wszystkie strony, aż tu naraz z baszty zamkowej zabrzmiała cudowna pieśń pokoju — czysta i dźwięczna. To księżniczka Sławka grała na złotym flecie. Wpływ pieśni był prawdziwie czarodziejski; natychmiast ucichła wrzawa, uspokoiły się wzburzone umysły, dobroć wstąpiła w serca niedawno jeszcze wściekłych chłopów i niebawem zwycięzcy zamku poczęli oplakiwać swoje krwawe czyny.

— Zaklinam was na bogów, szukajcie Żela! — wołał do swoich Goraj. — On jest prawy nasz książę! Musimy go błagać, aby nam przebaczył ciężkie winy... Nie nasza to rzecz wojować, powróćmy do swoich pługów i w spokojnej pracy na roli szukajmy szczęścia. Gdzież jesteś, Żelu, panie nasz? Poddani twoi na kolanach składają ci hołd wierności.

— Żelu, Żelu! panie nasz! — wołali wszyscy, wzywając księcia.

Ale nadaremnie go wzywano, nadaremnie poszukiwano. Bo pokonany książę przez jakiś czas prowadził życie tułaczę, a potem zwrócił się do ościennych pobratymczych książąt i żebrał u nich pomocy, aby odzyskać utraconą władzę. Tymczasem chłopi, rozrzuwieni uroczą pieśnią złotego fletu, poczęli wspominać swoje ciche zagrody, zateśknili do swych domowych ognisk. A pieśń brzmiała i brzmiała, aż wreszcie ukołysała wszystkich do snu. I tak spali, a sen przyniósł im marzenia o jakimś wielkiem, nieznanem dotąd na ziemi szczęściu. Nikt nie zaznał nic podobnego w rzeczywistem życiu, ale każdy marzył i każdemu owo marzenie wydawało się równie istotnem, jak sama rzeczywistość.

Już flet brzmieć przestał, a jeszcze dźwięki jego napępiały dusze uśpionych i rozlegały się do nieskończoności. Pograżeni we śnie przez pół godziny, przeżyli wieki szczęścia. Oby się już nigdy nie byli ocknęli!

VI.

Umilkła nareszcie pieśń pokoju; jej dźwięki poszły w bory, rozplynęły się w mgłach chmur pod niebem, poleciały w łąki i pola ziemi, błąkały się ponad strumieniami, ucichły i już je tylko dusze ludzkie odczuwały.

Księżniczka Sławka, jak duch, przemknęła po szczytach baszty, popatrzyła z góry na uśpionych w dziedzińcach zamku i rzekła:

— Niech śpią, gdy geniusz pokoju sen im zsyła, a w śnie marzenia szczęścia!

Ale zaledwie zniknęła Sławka, gdy na krużganku zamkowej wieży stanęła Miła — w pancerzu, hełmie, z mieczem u boku, z rogiem wojennym, zawieszonym na piersiach.

— Hymn pokoju — mówiła — rozleniwia ludzi i czyni ich sennymi. Niech śpią, a tem pewniej odniosą nad nimi zwycięstwo przeciwnicy!...

Z temi słowy dziewczica wojny przytknęła do ust róg wojenny i zabrzmiały jego straszliwe dźwięki.

Ludzie, pogrążeni we śnie, widzieli jakieś okropne, przerażające mary, które się hurmem na nich waliły; uczuli w piersiach trwogę nieopisaną, co im zupełnie odebrała siły. Niejeden w sennym strachu rzucał się,

chciał krzyknąć, ale głos w nim zamierał i nie wychodził z gardła.

Właśnie w tę porę knechci stanęli pod murami zamku. Niemcy bez trudu wdarli się na wały i opanowali zamek.

Najpierwszem dziełem, jakiego tutaj kapitan Roh dokonał, było wydanie rozkazu, ażeby knechci niezwłocznie powiesili Goraja, wichrzyciela niebezpiecznego w każdym ustalonym porządku rzeczy.

Widok wodza, pasującego się ze śmiercią na szubienicy, przejął chłopów taką zgrozą i strachem, że padli na ziemię i błagali, aby przynajmniej im darowano życie. Kapitan oświadczył, iż jakkolwiek zamierzał wszystkich wywieszać, w drodze łaski jednak zamienia karę śmierci na chłostę. Jęki i okrzyki bólu rozległy się teraz po zamkowych dziedzińcach, a zaraz potem nastąpiły wrzaski uczujących knechtów.

Roh, nie tracąc czasu, wysłał do margrafa wiadomość o odniesionem zwycięstwie.

Słońce obiegło już połowę drogi na niebie, gdy do zamku nadciągnął hufiec zbrojnych, a na jego czele jechał margraf Drako.

— Dobrzeście się spisali! — rzecze margraf, pozdrawiając kapitana knechtów. — W nagrodę waleczności dostaniecie potrójny żołd i dziesięcinę z łupów. Ale nie koniec to jeszcze roboty; musimy bowiem z tych pojmanych pogan porobić chrześcian; trzeba ich oto chrzcić i tym sposobem utorować sobie drogę do zagarnięcia całego Pomorza.

Wnet jeden z mnichów, przygotowany na apostoła, udał się między jeńców i w ich języku rozpoczął dzieło nawracania.

— Byliście dotychczas nieszczęśliwi — mówił, — a ja wam przynoszę wybawienie z nieszczęścia. Żyliście w niewoli grzechu, a my wam dajemy swobodę.

Bóg miłosierny ulitował się widocznie nad ludem pomorskim i zsyła mu prawdę przez usta sług swoich.

Niektórzy poganie gorzko opłakiwali swą niedolę, ronili łzy; ale mnisi uważali łzy ich jako oznaki skruchy, jako skutki budujących swych nauk.

Gdy się zabrano do chrztu niewiernych, musiano obrzęd tego dokonywać za pomocą siły i u wielu pogan chrzest ze krwi wprzód się odbył, aniżeli chrzest z wody.

Potem margraf obdarzył wszystkich wolnością, zatrzymując jednak kilkudziesięciu jako zakładników, którym przyobiecano głowy pościnać, jeżeliby wypuszczeni na wolność nie chcieli wytrwać w nowej wierze.

Nowi chrześcijanie wracali teraz do swych domów, wszędzie rozповідаjąc o tem, co się stało.

Wodzowie w towarzystwie knechtów zapuszczali się w kraj, wywracali posągi starych bogów, burzyli ich przybytki.

Zaledwie stanęła pierwsza świątynia chrześcijańska i odprawiono w niej uroczyste nabożeństwo ku czci Najwyższego, gdy oto kapłani pogańscy wydali okrzyk oburzenia, który napełnił odwieczne bory. Przenowiadali oni straszne skutki gniewu starych, dziś sponiewieranych i pogardzonych bogów. Lud zamieniał narzędzia pracy na oręż bojowy i dyszał żądzą krwawej zemsty względem wrogów. Skruszone posągi starych bogów, w gruzy rozsypane ich ołtarze zdawały się nieustannie zywać do zemsty.

Wśród tych wzburzonych tłumów stanął jednego dnia Żel i przyjęto go tu z ogromnym zapalem.

— On księżę nasz, niech nas prowadzi na wojnę świętą! — odezwały się liczne głosy.

Ale wystąpił sędziwy kapłan i tak przemawiał:

— Złe od Żela się zaczęło, na jego dworze gościli Niemcy i z Niemcami szukał on przymierza, a taki w wojnie za wiarę hetmanic nie może.

Podzieliły się wówczas tłumy na dwa obozy: jedni za Żelem, drudzy przeciw niemu.

Dni upływały, a oni na sporach czas tracili. Nareszcie rzucili się jedni na drugich i krew popłynęła.

Srożyła się zacięta walka, w której po obu stronach ginęli ludzie, szala zaś zwycięstwa na żadną stronę się nie przechylała.

Nadciągnął z hufcami zbrojnych margraf, uderzył naprzód na przeciwników Żela i w pień ich wyciął.

Teraz stronnicy Żela upadli na duchu i poczęli go gromadnie opuszczać, zanim jeszcze przyszło do starcia z Niemcami.

Na pozostałych napadł ze swym hufcem Drako i zadał im stanowczą klęskę.

Pobity Żel stracił pod sobą konia i, ranny w głowę, zaledwie z życiem uszedł.

W tem ciężkiem położeniu księżę powziął takie postanowienie: dostać się na jedną z wysp Bałtyku, knuć tam spiski przeciw Niemcom, zapalać przeciwko nim nienawiścią choćby całą ludzkość, zjednywać im wszędzie wrogów i wszelkimi sposobami przygotowywać straszną wojnę odwetu.

— Pokonać Niemców — myślał Żel — jest to rzeczywiście przeprowadzić dzieło pokoju, któremu oni jedni stoją na przeszkodzie.

Ale opuszczony, sam jeden wśród głuchych borów, pozbawiony środków, czyż mógł ten księżę urzeczywistnić swój zamiar?

Trudno mu było nawet przedostać się do brzegów morza, bo Niemcy rozleli się wszędzie po drogach, wsiach i miastach.

W czasie owej tułaczki, jednego dnia przed zachodem słońca, przybył Żel na tę samą polankę, gdzie niedawno jeszcze rozbił swój tabor myśliwski, oczekując margrafa. Widział tutaj gruzy zwałonego ołtarza pokoju i kości gęslarza do czysta ogryzione przez dzi-

kie zwierzęta. Książę usiadł i głęboko się zadumał o zmiennych kolejach swego życia.

— Gdzie jest złoty geniusz pokoju? Gdzie córka moja ukochana, Sławka? Gdzie rycerze i dwór mój cały?

Naraz ktoś go w ramię trącił; Żel się odwrócił i spostrzegł Mikłosa. Co tchu powstał z miejsca i witał błazna, nie szczędząc mu szczerych uścisków.

— Mam cię znów obok siebie, znak to dobry! — wołał.

— Gdybyś miał błazna w samym sobie, co dla każdego człowieka jest bardzo pożyteczne, nie potrzebowałbyś mieć obok siebie... Żle takiemu na świecie, który nie umie z siebie samego zadrwić, ani siebie samego zabawić — odrzekł Mikłos.

— Srogi los mnie prześladowa!

— Wyrzekasz dlatego, ponieważ przed niedawnym czasem byłeś wilkiem, a teraz zostałeś baranem. Pomyśl jednak, Żelu, że są na świecie tacy, którzy przez całe życie muszą być baranami...

— Niemcy, Niemcy, Niemcy! — biadał książę, ukrywając głowę w dłoniach.

— Obowiązkiem głodnych jest jeść! Ty stanowisz dla Niemców smaczną strawę.

— Czuję w sobie potężną zemstę i pragnę odwetu.

— Gdy mocniejszy napada słabszego, wtedy słabszy próbuje naprzód walczyć, potem ucieka; przyparty do muru, odpiera zrazu napaść jako - tako, potem wierzgnie nogą, drgnie ciałem, wydaje okrzyk i umiera... Ty właśnie jesteś w jednym z tych położań: wydajesz okrzyk, który ci się podoba nazwać żądzą odwetu. Mojem zdaniem, najpilniejszą rzeczą jest pomyśleć o teraźniejszości, mianowicie: zjeść wieczerzę. Ponieważ nie chcę, aby mnie Niemcy powiesili, więc się tu ukrywam w jednej jaskini; nazbierałem właśnie jai

ptasich, jagód i grzybów... Pójdź ze mną, Żelu, spożyjemy je wspólnie.

W jakiś czas potem Żel i Mikłos przybyli nad morze. Było tam pusto, cicho; tylko parę rybackich chat spostrzegałeś zdala na wzgórzu, o stopy którego biły sine, spienione fale.

Książę snuł ciągle swoje plany, ubolewał nad swym losem, a błazen drwił, niekiedy nawet bardzo ostro.

Naraz do uszu ich doleciały dźwięki cudownej pieśni; stanęli i słuchali.

— O bogi! — zawołał Żel. — Jest to przecież ta sama pieśń, którą Sławka wygrywała na złotym flecie geniusza pokoju!...

— Ta pieśń schroniła się tutaj widocznie dlatego, aby ją ryby słyszały i nie wypowiedziały kiedy Pomorzanom wojny.

Dźwięki owej pieśni pochodziły z ust dzieci, które igrały na brzegu morza, bawiąc się w piasku.

Napotkali rybaka i Żel jął go wypytować, skąd dzieci nauczyły się tak śpiewać.

— Stamtąd! — odrzekł rybak, wskazując ręką na morze. — Niedawno temu, jak tu przybyła dziewczyna jakaś niezwykła; mówiła, że uchodzi przed wojną, która wicherzy w całym kraju... Siadywała nad brzegiem morza i na złotym flecie wygrywała właśnie pieśń, śpiewaną teraz przez dzieci. Jednego dnia dziewczyna ta gdzieś zniknęła; ale morze, gdy jest spokojne, to o zmroku wieczornym z głębi wód swoich szumi nutą owej pieśni... Kto słyszy, ten ją mimowoli musi śpiewać.

Książę i błazen wsiedli potem do łodzi, aby się przeprawić na wyspę, o parę mil odległą od brzegu. Nagle zerwała się burza i obaj utonęli. I odtąd, gdy morze szaleje, wtedy rybacy Pomorza słyszą w huku

fal jego groźbę wojny odwetu; w świstach i piskach
wichru rozpoznają wyraźnie drwiące słowa Mikłosa.
Gdy się zaś morze uśmierzy, szumi ono pieśnią pokoju,
która od rybaków przeszła do pasterzy i rolników.

ET HAEC OLIM.

Około lat czterdziestu temu, w połowie maja, uczniowie szkoły wyższej realnej Kieleckiej rano przed ósmą zebrali się po salach klasowych i oczekiwali na rozpoczęcie lekcji.

Po dolnym korytarzu chodził profesor dyżurny, z gorączkowym pośpiechem krzątał się, wszędzie zaglądając, inspektor szkoły, Bałanowicz.

Z różnych klas dochodził tu zgłask, szum monotony, jakby brzęczenie pszczoł, rojących się po ulicach, a czasami dał się słyszeć jakiś krzyk urywany lub stuk gwałtowny. Wtedy Bałanowicz nagle wpadał do klasy, wszystko się tam uciszało, a on zapytywał:

— Co to jest? Śmierdziuchy jedne! Kto tu tak wrzasnął?...

Uczniowie milczeli, a pan inspektor przechodził między dwoma rzędami ławek i badawczo szukał okiem to na prawo, to na lewo, przyglądając się różnym podejrzanym osobnikom.

— To ty, żabo, tak krzyknąłeś — zapytał któregoś.

— Nie, panie inspektorze, nie ja, jak Bozię Kocham, nie ja!

— No, no, no! Żeby mi tu cicho było!... Powtarzać lekcye!

Potem wychodził na korytarz i znowu wpadał do innej klasy, bo tam jakiś gwałt posłyszał.

Właśnie oto w piątej klasie słyhać nadzwyczajny łomot, niby katastrofę, w której, nie słabe ludzkie, lecz przyrody całej siły brały udział. Więc Bałanowicz, latem i zimą chodzący w szopach, wbiegł natychmiast do piątej klasy, gdzie oczom jego przedstawił się taki obraz: Na ziemi leżała przewrócona ławka ze złamanym bokiem i przodem, a między jej częściami ruchoma kupa chłopaków, ułożonych jeden na drugim. Z tej kupy wydobywały się stęki, syki, jęki i śmiechy.

Widok inspektora w tej chwili uspokoił klasę, a leżący nawet w najgłębszej warstwie kupy zmiarkowali odrazu, że Bałanowicz musiał wejść do sali. Pan inspektor przyskoczył tymczasem do leżącego na wierzchu ucznia, który gniótł sobą całą piramidę, ściągnął go za kark z kupy i krzyknął:

— Aaa, to ty, Wabczyński! Dobrze, bardzo dobrze!...

Wyzwany po nazwisku był mocno zaczerwieniony, spocony, przytem miał oderwany kołnierz od munduru.

— To nic, proszę pana inspektora, nic... Żartem... Natłoczyło ich się do ławki i...

— Łotry, dawaliście sobie sera! Dam ja wam sera słonego!

Właśnie ostatni uczeń wydobył się już z pod prasy i, kulejąc, z ogromnym guzem na czole, zmierzał do swojej ławki.

— Pod piec! — wrzasnął Bałanowicz, odtrącając Wabczyńskiego ręką w kierunku pieca; poczem w zapale i roztargnieniu popchnął tam także chromającego na nogę ucznia.

Reszta uczniów z całej kupy tak się nagle ulotniła, że nie można było poznać, kto należał do sera.

Cała klasa stała teraz w ławkach spokojnie, a Bałanowicz miał przemowę:

— Toście wy uczniowie piątej klasy? Nie! To zgraja śmierzdieli, urwisów! Rodzice przysłali was do szkoły na naukę. Pięknie się uczycie, niema co mówić! Gałgany, łobuzy!.. Prymus, powiedz, kto dowodził serem?

— Jak matkę kocham, nie wiem, panie inspektorze. Uczyłem Kopytowicza trygonometrii, niech sam powie... I nic a nic nie widziałem, ani nie słyszałem.

— A kto jest drugim uczniem, podprymusem?

— Ja—odpowiedział chłopiec mały, blade i garbaty.

— Jakóbski? dobrze!... Powiedz mi zaraz, kto dowodził serem?

Podprymus z trwogą spojrzał pod piec, skąd mu Wabczyński energicznie groził dwiema pięściami, robiąc przytem groźne oczy.

— Nie wiem!... — wyjąknął Jakóbski.

— Kiedy nie wiecie, to Wabczyński odpowie za wszystko. O, to ptaszek, znam ja go! Wabczyński i Królikowski: ten, co leżał na wierzchu, i ten, co był na spodzie!...

— Tylko ja jeden, panie inspektorze! — odezwał się z pod pieca Wabczyński. — Ja dowodziłem serem, a Królikowskiego wyciągnąłem z ławki za to, że się podchlebia panu Driemerowi i uczy się po niemiecku...

— Co?... Że się uczy po niemiecku? A ty, łotrze obrzydły! — krzyknął Bałanowicz, przyskakując do Wabczyńskiego, który miał zuchwalstwo w całej twarzy i oczu nie spuścił przed groźnym wzrokiem inspektora.

— Królikowski, ruszaj na miejsce, Wabczyński pójdzie ze mną do kancelaryi! — mówił zaorniewany Bałanowicz.

— Paaanie inspektorze, darować mu!... Paaanie inspektorze! — odezwał się półgłosem chór z ławek.

— Nic nie pomoże! Ja jemu napędzę ochoty do języka niemieckiego.

Rzekłszy to, Bałanowicz poprawił na sobie szopy i zabrał z klasy Wabczyńskiego, prowadząc go przez korytarz ku kancelaryi. Gdy tak szli, od czasu do czasu wyjrzał z klasy jaki uczeń, lecz natychmiast zniknął za drzwiami i obwieszczał swoim kolegom:

— Panowie, Bałan prowadzi piątoklasistę na rzniętkę!... Panowie, cicho!...

W sąsiedztwie kancelaryi szkolnej znajdowała się tak zwana komórka, pokoik dosyć ciasny i dosyć ciemny; tylko małe okienko we drzwiach oświetlało ten przybytek, a jedynymi sprzętami były tutaj: ławeczka drewniana i stół, na którym zawsze leżały różgi.

Bałanowicz przyprowadził tu właśnie Wabczyńskiego i krzyknął:

— Rozbieraj się!

— Niech mi pan inspektor jeszcze ten raz przebaczy! — powiedział Wabczyński, jakby czysto dla formy tylko.

— Rozbieraj się, śmierdziuchu! — krzyknął zjadle inspektor.

— Tylko ten raz, panie inspektorze!

— Za nieposłuszeństwo dostaniesz dwa razy tyle!...

— Panie inspektorze, proszę... Ja się poprawię...

— Zapóźno!...

Wtem z korytarza doleciał huk i odgłos jakichś straszliwych wykrzyków. Bałanowicz odwrócił się czempredzej, zamknął więźnia na klucz w komórce i rażno poszedł uśmierzać nowe nieporządki.

To w czwartej klasie zwalono na ziemię tablicę,

tak, że popękała, i dwaj uczniowie usiłovali ją właśnie ustawić na sztalugach, kiedy rozzłoszczony Bałan piorunem wpadł do klasy.

— Aha, Srokowicz i Szkapiński! Mam was, ptaszki! — zawołał inspektor, patrząc jaszczurczem okiem na stojących przy tablicy. — Pójdźcie ze mną do kancelaryi!

— To nie oni! — wyrwał się jakiś głos z ostatniej ławki.

— Która tam żaba skrzeczy? — pytał Bałanowicz, posuwając się zwolna ku ostatniej ławce i zaglądając podejrzliwie różnym uczniom w oczy.

— Madziński, to ty? Mamy my ze sobą rachunki!

— Ale, panie inspektorze, ja najspokojniej powtarzam arytmetykę!

— Arytmetykę? A co na dziś zadane? Pokaż!

Madziński się zmieszał, podczas gdy ze wszystkich stron odpowiedziano: — „Postępy ilorazowe! Postępy ilorazowe!”

— To ty tak powtarzasz arytmetykę? Marsz na środek!

— Sumituję się panu inspektorowi na wszystkie świętości, że nie ja krzyknąłem.

— Ruszaj na środek, śmierdzielu!

— Nie on... Nie on!.. — huknęło kilka głosów.

— Cicho, gałgany!

— Ty sam cicho! — dał się słyszeć głos po drugiej stronie ławek.

Bałanowicz teraz nagle odwrócił głowę, zapomniał już o Madzińskim, a szukał nowych winowajców. Ale wszyscy uczniowie po tej stronie, pochyleni nad kajetami i książkami, udawali pilnych i spokojnych. Tylko jeden przygryzł wargi, i ta okoliczność zwróciła uwagę inspektora.

Podszedł też zaraz do podejrzanego, popatrzył mu w oczy i rzekł z udanym spokojem:

— Kotecki — na środek!

— Ja nic nie robię, panie inspektorze!

— Dlatego, że nic nie robisz, ruszaj na środek!

Kotecki ze złością złożył kajet i począł wychodzić z ławki.

Ale w drugim rzędzie ławek, poza plecami Bałanowicza, rozległo się nieme mruczenie: „Mruu mruu!”

Był to zgiew taki, jakby kilkaset chrabąszczyłeciało jednocześnie przez powietrze.

Inspektor się odwrócił i zgiew ucichł.

Jakaś gorycz rozlała się po twarzy Bałanowicza, zawiął swoje wytarte szopy, pod którymi podobnie było surduta, zabrał trzech czwartoklasistów i pędził z nimi ku kancelarii.

Na korytarz znowu z rozmaitych klas wyglądały głowy uczniów, którzy się szybko zwracali, zwiastując kolegom:

— Bałan prowadzi na rzniętkę czwartaków do działu A!.. Panowie cicho!..

Zaledwie nowi winowajcy stanęli w progach cmentnicy, kiedy w trzeciej klasie znowu rozległ się przeraźliwy pisk, jakby okrzyk rozpaczliwej boleści, a potem nastąpił wybuch szalonego śmiechu. I teraz tak Bałanowicz zamknął komórkę na klucz, a sam, poprowadzając na siebie szopy, śpieszył, gdzie go obowiązywał.

Zastał całą klasę wzburzoną. Podczas bowiem gdy profesor dyżurny uspakajał czwartą klasę, oddzielając B, wszyscy trzecioklasiści opuścili swoje miejsca i niektórzy stali na ławkach, inni powychodzili na środek, kilku zapchało katedrę. Cóż się stało? Oto na jednym z ławek dwaj rośli chłopcy trzymali za ręce i nogi

kiegoś wyciągniętego malca, któremu inny znowu uczeń paskiem wybijał plagi.

Pojawienie się Bałanowicza uspokoiło wrzawę i bijący opuścili bitego.

— Guzara na środek! Mroczek także! Garenza — tu!... Ee, łajdaki, niegodziwcy!

Paskiem obity malec podniósł się z ławki i ocierał zażawione oczy.

— Mamerski, pójdz — no tu do mnie! — zawołał Bałan na malca, bitego przed chwilą paskiem.

Mamerski szedł ze spuszczoną głową, a z ławek zewsząd szeptał się rozległ:

— Pamiętaj, nie zdradz!.. Nie bądź farakiem!..

— Mów mi zaraz, co to było? — badał inspektor. — Bili cię — hę?

— Nie, panie inspektorze! — odparł płaczący malec, a łzy mu jeszcze stały w oczach.

— Jakto, nie! Widziałem na własne oczy!

— To były... żar...ty! — mówił Mamerski nawpół płacząc.

— Żarty? No, kiedy lubisz takie żarty, to pójdziesz także do kancelarii, śmierdziuchu!.. Szkoła jest od żartów.

— Huuu! huuu! huuu! — zaczęła cała klasa, jak lki.

— Cicho, gałgany!.. Bo co dziesiąty dostanie zgę!

Tymczasem zamknięci przez inspektora w komórkę prowadzili następującą rozmowę:

— Za co was Bałan zabrał z klasy? — pytał abczyński czwartoklasista Koteckiego.

— Popsuliśmy tablicę, bo pierwszą lekcję ma obuz, a nikt nie zrobił zadanych przykładów arytmetycznych.

— O, dziś wszyscy oberwiemy, bo Bałan jest bardzo złym humorem — odezwał się Szkopiński.

— I cóż to wielkiego? Prosto z komórki pójdziemy sobie na wagary — rzekł z obojętnością Wabczyński.

— Jakże pójdziemy, kiedy nie mamy czapek? — pytał Srokowicz, widocznie najmłodszy między uwiecznionymi.

— To pan jesteś w czwartej klasie i jeszcze taki głupi! — rzekł Wabczyński. — Nie wiesz tego, że nie tylko czapkę można z klasy podczas lekcji wydostać, ale i wywołać, którego się chce, towarzysza na wagary?

— Chciałbym ja mieć tyle złotych, ile razy wydostałem z klasy podczas lekcji czapkę, płaszcz, książki — odezwał się Kotecki. — Poprostu: czeka się na dziedzińcu, dopóki który kolega nie wyjdzie na „peto foras“ i mówi mu się, żeby ten, co potem będzie wychodził na potrzebę, wyniósł czapkę... Jak nas tu Bałan otłucze, wolno nam będzie na dziedzińcu popłakać niby to, a czapki do nas przyjdą...

— Ale dokądże my pójdziemy? — zapytał Srokowicz, który się niedawno dopiero zaczął puszczać i miał w sobie entuzjazm nowicyusza.

— Najlepiej na Kadzielnie, bo stamtąd, jeśli jest pogoda, słyszać dzwonek szkolny i można, jakby nigdy nic, wrócić do domu na obiad — powiedział Szkopiński.

— A czy wy wiecie, że Bałan po pauzie szuka wagusiarzy i na Kadzielnę najprzód przychodzi? — mówił Kotecki. — Taki stały dureń, a powiadam wam — co on ma za nogi!... Tak gania, że ledwie uciec można.

— Phi! wielkie rzeczy! Nieraz się już z nim bawiłem w zajęcia... Zdejmuje się mundur z grzbietu, okrywa się nim głowę, i w nogi! Niech mię poznaje! Coprawda, to oczy ma bestya bystre — rzekł Wabczyński.

— Cóż my tam będziemy robili na Kadzielni? — zapytał ciekawie Srokowicz.

— Będziemy palili fajkę, pili wódkę, grali w karty — odparł Wabczyński.

Srokowicz drgnął, jakby się zaniepokoił, poczem spytał:

— Czy aby nas w dzienniku nie zapiszą jako nieobecnych?

— Fajarkiewicz, Fajarkiewicz! Widać, żeś pierwszoroczny — zawołał Kotecki. — Cóż ta ich nieobecność znaczy? W najgorszym razie sfabrykujesz świadectwo, żeś był chory, poderzniesz swoją gospodynię i basta: to jedno; a drugie: w klasie nikt cię za nieobecnego nie poda; powiedzą, że inspektor wypukał do kancelaryi. Swoją drogą Bałan, szelma, wie, że choć w dzienniku niema zapisanych nieobecnych, to i tak w klasie różnych brakuje.

— Niby on-to nie wie, że takiemu Driemerowi dosyć, aby ktobądź krzyknął — „ich bin“, a pluder ani spojrzy na klasę przy czytaniu listy... Trzeba mu wyraźnie wrzasnąć — „er ist krank“, dopiero zapisze nieobecnego, — powiedział Szkopiński.

— A Kobuz niby inny! — rzeknie Kotecki. — Ten wszystkiego uczy i tak ma łeb rozklekotany, że nawet nie słyszy, jak uczeń lekcję wydaje. Ile razy mię w trzeciej klasie wyrwał do lekcji, zawszem mu, zamiast botaniki, recytował jeden rozdział z historii świętej starego testamentu: „W krainie żydowskiej żył kapłan pobożny, imieniem Zacharyasz, i małżonka jego Elżbieta; oboje byli w podeszłym wieku, lecz Bóg odmówił im potomstwa“. Przez sześć lat tylko tego jednego nauczyłem się dobrze w szkołach. Kobuz w ręce klapał, mówił: „dobrze, panie, dobrze“, a ja trzepałem przy katedrze, potem szusnąłem nogą i odszedłem. Później zaglądam przez głowy, a on mi daje piątkę i jedzie ze mną do dziennika za pilność.

— U nas, w piątej klasie, są tacy, co całą lekcję na paznogiściu wypisują i czytają — powiedział Wabczyński.

— Ee, u was co innego! — zawołał Kotecki. — Klasa, jak należy, chłop w chłop — to moi koledzy; tylko ja zostałem na drugi rok w czwartej, a oni przeszli.

— Ja także w piątej drugoroczny, a mam kolegów, co już dawno szkoły pokonczyli — rzekł z powagą Wabczyński, któremu Srokowicz przyglądał się z podziwem i szacunkiem.

— U nas-bo teraz w klasie drobiazgi taki, faraki same! — zawołał Kotecki. — Zrobisz co, zaraz zespiegują przed inspektorem.

— Trzeba bić! — powiedział Wabczyński.

— Myślisz pan, że się nie bije? Ja sam prymusowi ucho tak oberwałem, że mu się pewnie nigdy nie zrośnie; podprymusowi wybiłem dwa zęby, a trzeci uczeń dostał raz na pauzie dwadzieścia odlewanych paszków. Teraz się żaden belfrom nie liże: trusie takie, aż miło — mówił Kotecki.

— Widzę, żeś pan zuch — rzekł Wabczyński — to sobie nie mówmy „panie“, możemy się tykać. — I podał Koteckiemu rękę, a po chwili spytał: — Dawno już palisz fajkę?

— Zacząłem, kiedym był drugorocznym w pierwszej klasie: to już piąty rok będzie.

— Ja-bym się chciał koniecznie nauczyć palić fajkę — mówił Srokowicz — ale co zapalę, zaraz *rebekuje*.

— Jak masz swoją własną fajkę, to nabierzesz wprawy i będziesz się potem zaciągał, jak stary, — powiedział Szkapiński.

Po klasach już się lekcje rozpoczęły były, kiedy do komórki wszedł nareszcie Bałanowicz, prowadząc ze sobą czterech trzecioklasistów.

— No, po starszemu na gałąź! Wabczyński, kładź się! — zawołał inspektor.

— A bo ja chcę! — odpowiedział zuchwale piętoklasista.

— Śmierdziuchu jeden, ja ci pokażę!... Srokowicz, idź-no, zawołaj mi tu Jacka! — krzyknął Bałanowicz.

Srokowicz zbłądł, a Wabczyński spojrzał na niego znacząco, jakgdyby chciał powiedzieć: „Idź, ale nie waz się przyprowadzać Jacka“.

Kiedy Srokowicz wyszedł, Bałan począł Wabczyńskiemu prawić morały, kiwając mu palcem przed samym nosem:

— Oj ty nicponiu, gałganie! Niedosyć, żeś nieuk, lampart, jeszcześ i krnąbrny?... Tośmy cię po to do piątej klasy przepuścili, żebyś się tak sprawował?... A pamiętasz, jakieś przy ojcu przysięgał, że się poprawisz?...

— Panie inspektorze, Jacka niema! — rzekł Srokowicz, wchodząc do komórki i rzucając Wabczyńskiemu upewniające spojrzenie.

— Musi być! — wrzasnął Bałanowicz i, poprawiając na sobie szopy, wybiegł, a drzwi komórki na klucz zamknął.

— Lepiej może, żebyś się był sam położył — mruknął Kotecki. — Przyprowadzi Jacka i lunie ci ze dwadzieścia...

— Niech lunie! — szepnął Wabczyński. — Cóż ty myślisz, że ja się przy piątej klasie będę kładł dobrowolnie, bez niczego!... Oho, powiedziałyby osły, że piąta klasa nic nie warta!

Wtem komórka się otworzyła i tuż za Bałanowiczem wszedł ogromny drab ze srogimi siwymi oczyma, pomimo lata ubrany w kozuch. Był to stróż Jacek.

— Bierz go — krzyknął piorunującym głosem

inspektor, wskazując palcem na Wabczyńskiego, który się wtłoczył był w kąt.

Jacek przystąpił do piątoklasisty i wziął go, jak kurczę, w swoje niedźwiedzie łapy, nie zważając bynajmniej na liczne kułaki i kopanie obiema nogami.

Sprawiedliwości stało się zadość. Rozciągnięty na ławie, Wabczyński otrzymał z ręki Bałana piętnaście różeg. Ale ani krzyknął, ani pisał; dopiero kiedy się podniósł z ławy kaźni i ubiór doprowadził do porządku, zaczął rzucić straszne spojrzenia na swych oprawców, pod nosem wymrukując przekleństwa. Bałanowicz udawał, iż nic nie słyszy. Wszyscy obecni tu uczniowie z podziwem spoglądali na bohaterskiego piątoklasistę i z oczu ich znać było, że są gotowi go naśladować.

Skoro tylko obity wyszedł za drzwi, inspektor zawołał:

— Kotecki, czy i ty się nie położysz dobrowolnie?

— A nie! — odpowiedział zapytany z miną zachwałą.

Więc znowu Jacek wprawił w ruch swoje ręce, ażeby pokonać oporność młokosa. Kotecki był krępy, silny, energiczny, zwił się Jackowi w rękach, jak pantera, ugryzł go nawet zębami; ale się spocił, siły młode wnet się wyczerpały: uległ i otrzymał chłostę.

I Szkapińskiego także musiał Jacek wyciągać na ławie; ale z tym poszło już znacznie łatwiej.

Przyszła kolej na Srokowicza, którego w obecności kolegów odwaga zupełnie opuściła: drżał, jak w febrze, i na wezwanie inspektora sam się położył. Tak to zadowolniło Bałanowicza, że wymierzył Srokowiczowi tylko trzy lekkie różgi.

Obity czwartoklasista ów miał jednak łzy w oczach, gdyż po raz pierwszy otrzymywał chłostę. Gdy się wyzwolił, pobiegł czempredzej na dziedziniec, gdzie już nań oczekiwali trzej towarzysze.

— Jakże, sam się położyłeś? — spytał przybyłego Kotecki.

Srokowicz nie spodziewał się tego pytania; pobladł, zawstydzony, i odrzekł:

— Nie, Jacek mię położył. — Znać było, iż chłopca to kłamstwo bardzo dużo kosztuje.

— Pamiętaj-że sobie — rzekł kolega, — że to przy trzeciej klasie! Honoru czwartej klasy nie wolno zaświniąć!...

— A jakbyś to zrobił — odezwał się Szkapiński — tobyś jutro otrzymał takie basy, żebyś się z nich w rok i sześć niedziel nie wylizał!

Zakreślił się Srokowicz, krciło go to nadzwyczajnie, że się źle spisał; pomyślał, iż jutro, albo i dziś jeszcze, trzecioklasiści mogą wypaplać wszystko, co zaszło w komórce. Cóż go czekało? Utrata czci wobec wszystkich zuchów czwartej klasy, do których miał taki pociąg i których pragnął naśladować.

Zebrani w jeden punkt obici oczekiwali teraz na takiego, coby wyszedł z klasy za pozwoleniem nauczyciela na tak zwane „peto foras“. Właśnie spostrzegli czwartoklasistę Barnackiego.

— Słuchaj-no, Barnak! — rzekł Kotecki z tonem wyższości. — Dymaj napowrót do klasy i powiedz zaraz odemnie Kącikowi, żeby prosił „peto foras“ i przyniósł nam tu cztery czapki, bo idziemy na wagar... Powiem ci jutro, co za awanturę zrobiliśmy w komórce Bałanowi.

— Nie mogli wam dać rady? Nie dostaliście rzniętki?

— Myślisz, żeśmy tam w klasie nie mówili: Bałan będzie miał biedę z Kotkiem?

— Dostać — dostaliśmy, ale... — odezwał się Szkapiński.

— Po wieleście dostali? — wypytywał ciekawie Barnacki.

— Ja dostałem piętnaście, tak samo, jak Wabczyński z piątej klasy, a Szkapiński dostał dwanaście — mówił Kotecki.

— No, a jakże ty Sroka? Miałeś dawniej łaski u Bałana; mówiliśmy w klasie, że ci przepuści...

— Ja dostałem dwanaście... to jest, nie rachowałem, ile... — odpowiedział Srokowicz zawstydzony.

— Ej, Sroka, ty mi tak wyglądasz, jakbyś kręcił! Pamiętaj sobie! — odezwał się Szkapiński.

— No, dajcie mi się na poczekaniu zaciągnąć i zaraz polecę do klasy, żeby wam tu przysłać Kącika z czapkami. A jakby jemu Hebus nie pozwolił, bo cierpi coś do niego, to przysłę Janka — prawil Barnak.

Podczas, gdy Barnacki z trzema innymi zaciągał się z fajki w niezbyt przyjemnym ze względu na woń lokalu, Srokowicz uwinął się i pobiegł do gmachu szkolnego. Bez namysłu wpadł do komórki, gdzie Bałan z rąk swych właśnie tylko co wypuścił był ostatniego trzecioklasistę.

— A ty tu czego? — zapytał inspektor.

— Chciałem prosić pana inspektora o łaskę...

— Jakiej chcesz łaski?

— Żeby pan inspektor zlitował się nademną... to jest, żeby... mi dodał jeszcze ze siedem różeg...

— Co takiego?

— Dostałem zamało... Inni dostali więcej...

— Durniu jeden, ruszaj precz!...

— Mój złoty panie inspektorze, będę się za to dobrze uczył...

— Poszedł precz, ośle!

Na te słowa Srokowicz poskoczył do Bałanowicza, tupnął nogą i zawołał:

— Jak pan śmiesz wymyślać mi od osłów!...

— Aha, toś ty taki! Czekał-że, żabo! Położno się!

— Nie położę się! — wołał Srokowicz zabaw-

nym jakimś głosem, w którym przebijał strach i jednocześnie czuć było, że się chłopiec do odwagi zmusza.

Jacek pochwylił natychmiast Srokowicza wpół i, nie zważając, że czwartoklasista gryzł, bił, kasał, wyciągnął go na ławie, jak kota, a Bałan wyliczył mu piętnaście różeg odlewanych.

Promieniejący szczęściem Srokowicz wychodził właśnie z komórki, gdy spotkał Barnackiego, który, przechodząc, po drodze podsłuchiwał, kogo też tak biją.

— Dostałem osiemnaście — rzekł z tryumfem do kolegi zaledwie mogący poruszać nogami Srokowicz.

Barnacki pokiwał głową i uchodził do klasy w obawie, aby się przypadkiem nie spotkać z Bałanem, tak zawziętym dnia tego na skórę uczniowską.

Wnet przybył z czapkami Kącik i czterej towarzysze, wydobywszy się poza obręb gmachu szkolnego, poszli na wagary w kierunku Kadzielni.

Przy krakowskiej rogatce wstąpili do szynku, gdzie sobie kupili wódki i paczkę tytoniu drajkenigu. Tak zaopatrzeni, ścieżkami i miedzami, wśród zbóż zielonych, przemykali się, wesoło gwarząc, aż nareszcie przybyli na Kadzielnię. Było ciepło, więc pozdejnowali mundury, rozesłali je i pokładli się na ziemi.

— Usiedzieć nie mogę — rzekł Wabczyński — szelma Bałan tak cięto bije, że mam rany na skórze.

— Mnie to nawet krew poszła — odezwał się z pewną chlubą Srokowicz. — Ogromnie mi spisa!...

— Moi panowie, tylko baczność! — zawołał Kotecki. — Jest nas czterech i cztery są strony świata, więc niechże sobie każdy jedną obierze i dobrze patrzy, żeby nas tu Bałan nie zeszedł.

— Kotek, lubisz ty wódkę? — zapytał Wabczyński.

— Ho, ho! — zapytaj-no Szkapińskiego, to ci powie, że u mnie golnąć kieliszek szpagatówki łatwiej, niż zjeść kromkę chleba z masłem.

— To się napijmy! — rzekł Wabczyński, poczem dobył flaszeczkę z gorzałką, łyknął i podał Koteckiemu.

Krzywiąc się, mrużąc oczyma i krztusząc się, resztki wódki wypił Srokowicz.

— A kochałeś się ty kiedy w jakiej pannie?... — pytał znowu Wabczyński Koteckiego.

Srokowicz, słysząc te słowa, zarumienił się po same uszy i spuścił oczy. Za to Kotecki wpadł w zapal i tak mówił:

— Wiesz ty co, Wabciu? Jakem przeszłego roku pojechał do moich starych na święta Wielkanocne, tom tam zastał jedną pannę, Krysię... Figlowałem z nią nieraz, mówię ci, no!...

Srokowicz teraz zupełnie się odwrócił, udając, że pilnuje, aby ich Bałanowicz niespodziewanie nie zeszedł.

— Cóż takiego było z tą Krysią? — badał Wabczyński.

— Co?... Myślisz, żem jej nie całował?...

— Eee!... Ja ci już niejedną całowałem! Co to dla mnie znaczy!...

— W drugie święto Wielkanocne — ciągnął Kotecki — powiedziałem sobie, że wyprawię Krysi szmigus, zanim jeszcze z łóżka wstanie. Wiesz ty, że całą noc spać nie mogłem?

Dopiero skoro świt, wziąłem butelkę wody i poszedłem tam, gdzie ona spała... Żebyś ty wiedział! żebyś ty wiedział, człowieku!... Pocałowałem ją w nogę!...

— Myślisz może, że to dla mnie co dziwnego? — Tu Wabczyński nachylił się do ucha Koteckiego i coś szeptał.

Podczas tego szeptania zarumienił się nawet Szkapiński, a Srokowicz, z ogromnemi wypiekami na policzkach, odszedł kilka kroków od towarzyszy.

— Szkapa, nałóż-no pipkę! — zawołał Kotecki — strasznie mi się chce zaciągnąć.

Szkapiński wydobył z kieszeni fajkę góralską i cybuch gięty, jak wąż, opleciony końskim włosieniem; nałożył tytoń, potem skrzesał ognia w hubkę, zapalił i podał zapaloną fajkę Koteckiemu, który rzekł:

— Z tej fajki każdy z nas może się trzy razy dobrze zaciągnąć.

I mówiąc to, począł w siebie wciągać dym, wypuszczając go już to ustami, już nosem.

— O co zakład? — rzekł Wabczyński — że ja sam, jak mnie tu widzicie, trzy razy się zaciągnę i w fajce nic nie zostanie, prócz popiołu.

Teraz Srokowicz zbliżył się do towarzystwa i z wielkim podziwem spoglądał na Wabczyńskiego, który właśnie odebrał był fajkę od Koteckiego, włożył cybuch w usta i począł kurzyć kłębam dymu, jak z komina.

— To rozumiem, to palacz! — zawołał Kotecki.

Dwa razy się tylko zaciągnął Wabczyński i oddał fajkę, w której na dnie był jedynie czysty popiół. Od tego kurzenia piątoklasiście górna warga zupełnie żółkła pod nosem.

— Ja zawsze tak ćmię! — powiedział z dumą Wabczyński. — Dym o mało mi uszami i oczyma nie wychodzi.

Szkapiński musiał nałożyć świeżą fajkę dla siebie i dla Srokowicza.

Kiedy na tego ostatniego przyszła kolej, Kotecki rzekł:

— Pójdź-no tu, Sroku, muszę cię wykierować na człowieka i nauczyć zaciągania się, bo mnie wstyd za ciebie!

Wezwany Srokowicz podeszedł ochotczo, a Kotecki włożył mu cybuch w usta i zakomenderował:

— Raz — pociągnij, dwa — wciągnij, trzy — puszczaj!... Nie krzywź się, niedojdo! Zamykaj gębę i puszczaj nosem!...

Srokowicz, o ile mógł, stosował się do poleceń; nareszcie się zakrztusił i chwycił go nadzwyczajny kaszel.

— Co z ciebie będzie, mazgaju! — zawołał Kotecki. — Umrzesz głupim chyba. Spróbuj-że drugi raz jeszcze!

Więc znowu Srokowicz powtórzył próbę; ale mu łzy z oczu płynęły. Zaledwie teraz wypuścił dym nosem, zbladł ogromnie i uczuł w głowie niezmierny zawrót.

— Oj, jej, jej!... — zawołał — co się ze mną dzieje! — Chwycił się oburącz za głowę i upadł na murawę.

— Patrzcie, jak Malinowski do niego pędzi! — rzekł Wabczyński, z szyderstwem wskazując palcem na powalonego.

— A niech go wytrzęsie! — mówił Kotecki. — Będzie z niego albo człowiek, albo dureń...

Skutki odurzenia się tytoniem wystąpiły właśnie u Srokowicza w całej swej sile; ale towarzysze uważali to za naturalne i nie zwracali na chorego uwagi.

— Jeżeli macie pieniądze — powiedział Wabczyński, to zagram z wami w chlusta. — I mówiąc to, wydobyl z cholewy nadzwyczajnie zbrudzone i poszarpane karty.

— Mam tylko jednego dydka przy duszy — rzekł Kotecki — moja gospodyni dała mi go, ażeby sobie kupił śniadanie podczas pauzy. — Ale ja śniadania nie jadam, bo za cóżbym kupił tytoniu?

— Twój stary musi być skąpy? — pytał Wabcio.

— Skąpy i gderacz, utrapienie mam z nim ogromne.

— A ty, Szkapa, masz grosze? — zapytał znowu piątoklasista.

— Mam piątkę, ale wytarta i wziąć jej nie chcę... Przepisuję ćwiczenia niemieckie temu hrabiemu z szóstej klasy; płaci mi grosz za każdą kartkę, no, i jeszcze mnie kundel orzwał: dał piątkę wytartą — użalał się Szkapiński.

— Ha, to niema z wami co grać! Ja bo zawsze mam pieniądze.

Powiedziawszy to, Wabczyński wyjął sakiewkę i wytrząsnął z niej kilka srebrnych sztuk, między którymi była pięciozłotówka.

— Szkapa, chcesz, zagraj ze mną o ten cybuch w „orzeł czy reszka“.

Szkapiński nie śmiał odmówić i odrazu przegrał cybuch.

— Jakbyście chcieli, możeby się wykapać w stawie na Pakoszu? Gorąco takie — mówił Wabczyński, oglądając wygrany cybuch na wszystkie strony.

— Dobra myśl — rzekł Kotecki — trzeba tylko wiedzieć, która godzina, żeby w sam czas wrócić do domu na obiad.

— A, o! Jedzie tam szosą od Białogona jakiś obywatel, musi mieć zegarek... Skocz do niego na dół i spytaj: która godzina? — odpowiedział Wabcio.

— Ja pójdę do niego; ale wy tu strażujcie, bo mnie coś pika w sobie, że Bałan przyjdzie.

Kotecki zbiegł z góry na dół, gdzie szosą na bryce jechało dwóch jegomościów, odzianych w białe płócienne płaszcze, chroniące od kurzu.

— Moi panowie, powiedźcie mi, która też może być godzina? — przemówił Kotecki śmiało.

Podróżni popatrzyli na niego, potem znacząco spojrzeli po sobie. Jeden z nich kazał woźnicy zatrzymać konie i tak mówił:

— A ty, próżniaku jakiś! Po polach się wałę-

sasz, po drogach, wtedy, kiedy inne dzieci siedzą w szkole i rozum zdobywają! Pewnie twój ojciec nic o tem nie wie!

Kot narazie stracił przytomność, ale niebawem ją odzyskał, pochwycił z szosy garść białego pyłu i rzucił go w same oczy moralizatorowi; tak też i drugiemu się dostało.

— Kuba! — zawołał drugi podróżny — skocz-no raźnie i pochwyć tego łotra!

Woźnica, do którego się to przemówienie stosowało, zeskoczył z kozła i z biczem w rękę puścił się całym pędem za Koteckim, zmykającym na Kadzielnę.

Szkapiński i Wabczyński, siedząc wśród krzaków jałowcu, patrzyli z góry na to, co się dzieje i postanowili bronić towarzysza. Zaledwie się tam Kuba pokazał, już obaj uczniowie rzucili mu się pod nogi i zwalili go na ziemię; Kotecki też zmienił front natychmiast, wyrwał bicz z rąk furmanowi i począł go nim okładać, podczas gdy dwaj towarzysze siedzieli na grzbiecie Kuby.

— O, rany boskie, ratuj, kto w Boga wierzy! — darł się Kuba na całe gardło. — O rety, zmiłowanie Pańskie!...

Dwaj podróżni, słysząc wrzask i lament swojego furmana, wysiedli zaraz z bryczki i pospieszyli na ratunek. Ale gdy przybyli na Kadzielnę, zastali tutaj tylko Kubę, utyskującego i drapiącego się po grzbiecie.

— A dyć to psie-wiary, zbójce, one szkolniki!... Skatowali mnie bez *litosierdzia*, o kęs co nie uśmiercili!... O, rany!...

Zdaleka widać było, jak wśród pól zielonych pospiesznie uchodzili trzej „wagusiarze”; odwracali się czasem, przesyłając ukłon Kubie oraz dwu podróżnym.

— A to łotry! — rzekł starszy podróżny do młodszego. — I oddaj tu dziecko do szkół! Aż skóra na

mnie cierpnie, gdy sobie wspomnę, że mój Wacek jest w tej szkole i ma takie towarzystwo...

— Ooooo! — wykrzyknął Kuba, rzucając się uszczęśliwiony między krzaki jałowcu. — Widzicie go, jak to psia-wiara przywarował!

I z temi słowy pochwycił w obie ręce schorowanego i wybladłego Srokowicza, który po wódce i fajce był jeszcze bardzo cierpiący. Podróżni polecili Kubie zanieść na plecach do bryczki nieszczęśliwego czwartoklasistę i mówili do siebie:

— Ten będzie musiał wydać przed władzą szkolną tamtych hultajów!

Wzięty w niewolę Srokowicz nie wiedział wcale, co się stało i co mu zagraża. Ale wnet wytrzeźwiał i poznał, że jest coś bardzo niedobrego. Milczał jednak przez całą drogę, oglądając się niespokojnie, czy gdzie nie spostrzeże swoich towarzyszy.

Tymczasem podróżni wjechali do Kiele i polecili woźnicy, aby się z bryczką zatrzymał przed gmachem szkolnym.

Było już po jedenastej; Bałan znowu miał jakąś sprawę z pierwszoklasistami, których z piętnastu pędził przez korytarz, jęczących i szlochających, kiedy mu zasłzi drogę dwaj podróżni, przyprowadzający ze sobą Srokowicza.

— Darować takim dzieciom, panie inspektorze, a karać urwisów wyrostków, co ludzi rozbijają po drogach! — rzekł starszy podróżny, widocznie wzruszony widokiem tych piętnastu zapłakanych chłopczków.

Inspektor znał widać owych przybyłych jegomościów, bo się poufale z nimi witał, od czasu do czasu rzucając złowrogie spojrzenia na wylekłego Srokowicza. Odeszli na bok, coś długo rozmawiali; potem podróżni, opuszczając przybytek szkolny, jeszcze raz wstawili się za beczącymi pierwszoklasistami.

— No, kiedy tak panowie proszą — powiedział

Bałałowicz — to połowie tych smarkaczów przebaczam.

Mówiąc to, ręką rozdzielił gromadę malców na dwie części: jednej kazał iść do klasy, drugiej do komórki, dokąd nie omieszkał także zabrać ze sobą i Srokowicza.

Z tym ostatnim zaczął inspektor natychmiast przeprowadzać śledztwo, rzucając pytania categoryczne.

— Skorowicz, będziesz mówił prawdę?

— Będę, panie inspektorze.

— Gdzieś był na wagarach?

— Na Kadzielni.

— Coś tam robił?

— Nic, panie inspektorze.

— Z kim poszedłeś?

— Sam, panie inspektorze...

— Kłamiesz! Mów prawdę!

— Sam, jak Bożę kocham...

— A kto przejeżdżnym panom zasypał oczy piaskiem?

— Juści ja, panie inspektorze.

• 14 Falsz! Gadaj prawdę, bo różgi!...

— Jak Bożę kocham, panie inspektorze.

— Kto wybił na Kadzielni ich furmana?

— Ja, panie inspektorze.

— Śmierdziuchu jeden, kłamiesz!

— Ja, panie inspektorze, jak Bożę kocham...

— Dwadzieścia różeg dostaniesz, jak nie powiesz prawdy! Już ja wiem o wszystkim!

Srokowicz milczał.

— Ze szkoły cię za kłamstwo wypędzę!

Chłopak spuścił na dół głowę i nic nie odrzekł.

— Czekaj, pod różeczką ty mi wszystko wyśpiewasz!... Kładź się!

Chłopiec z uległością wyciągnął się na ławce.

— Mów, kto był z tobą na Kadzielni! — krzyknął Bała.

— Nikt, panie inspektorze, jak Bożę kocham — odrzekł cichym i pokornym głosem Srokowicz.

Różga świsnęła w powietrzu i raz po raz uderzyła dwakroć drżące ciało czwartoklasisty.

— Kto zasypał oczy piaskiem podróznym panom?...

Na to już Bała nie otrzymał odpowiedzi, bo Srokowicz zemdlął.

Musiano go cucić zimną wodą, a potem chorego Jacek na rękach zaniósł do mieszkania.

W Popowie d. 18 lutego 1890.

*Walczyński Taj klasy
dwadziestu*



893A